

Ruth Langan

*Korsarskie  
dziedzictwo*

# PROLOG

## *Konwalia, 1657*

- Winnie! Winnie!

Troje z czworga dzieci Lambertów wbiegło p dem na poro ni te traw wzniesienie, na którym stał ich rodzinny dom, MaryCastle. Gor czkowo poszukiwały zrz dliwej niani, panny Winifred Mellon.

- O co chodzi? - Winnie uniosła głow znad fili anki herbaty. Wida nie zazna chwili odpoczynku. Była na nogach od wczesnego ranka, kiedy to dzieci zerwały wszystkich domowników ze snu, umy liwszy rozegra hała liw walk na własnor cznie wykonane drewniane szpady.

- Bethany spadła! - krzykn ł James, najstarszy z rodze stwa.

Kłopot w tym, e jego trzy siostry chciały mu dorówna pod ka dym wzgl dem. Nie miały inklinacji do szycia, haftu, układania kwiatów ani do doskonalenia si w adnej innej umiej tno ci, niezbdnej młodym damom, za to niezwykle ch tnie pojedynkowały si na drewnian bro b d pływały mał łódk po zatoce.

- Na co si wdrapywała tym razem? - Winnie zostawiła herbat i ruszyła za dzie mi.

- Na skały.

- Wielkie nieba! - Zgarn ła spódnice i pu ciła si biegiem we wskazanym kierunku.

Zanim dotarła do skraju urwiska, daleko w dole dostrzegła poruszane wiatrem włosy o barwie płomienia. Ich mała wła cicielka le ała bez ycia na ziemi.

- Och, co my teraz zrobimy? - Załamała r ce i zacz ła chodzi tam i z powrotem. Wreszcie zwróciła si do

dziewi cioletniej Ambrozji. - Czym pr dzej sprowad tu Newtona Findlaya.

- Dobrze, Winnie. - Dziewczynka pobiegła co tchu w stron zabudowa , zostawiaj c na skałach rozdygotan niani , która dreptała w kółko, dopóki nie przyku tykał stary marynarz.

Newton stracił nog w starciu z rekinem, co poło yło kres jego słu bie na pokładzie „Nieustraszonego”, statku nale cego do ojca całej czwórki. Teraz mieszkał przy rodzinie Lambertów, wykonuj c dla nich ró ne dorywcze prace, a nade wszystko działaj c na nerwy gospodyni, pani Coffey.

- Patrz, Newt. - Winnie wskazała drobn posta daleko w dole. - To Bethany.

- Tak. Widz j . - Zmru ył oczy od sło ca i przywi zał lin do pobliskiego drzewa. A potem rozpoc ł ryzykowne schodzenie po skałach, tym bardziej niebezpieczne, e nog zast pował mu kawałek drewna.

Gdy tylko znalazł si na dole, przypadł do nieruchomej postaci, po czym uniósł do góry głow i zawołał:

- yje! Wiatr j przewrócił!

- Och, Bogu niech b d dzi ki. - Panna Mellon padła na ziemi i rozplakała si , a dzieci skakały wokół niej, wydaj c radosne okrzyki.

Upłyn ła godzina, a mo e wi cej, zanim dziewczynka stan ła na nogach i zacz ła powoli wspina si po linie przed ubezpieczaj cym j Newtonem. Kiedy ju dotarła na gór , spojrzała na niani .

- Ty płaczesz, Winnie?

- Płacz ? - Kobieta przycisn ła koronkow chusteczk do oczu. - Nie, za to ty wkrótce b dziesz. Powiedz mi, jak to si stało, e spadła .

- Chciałam fruwa .

- Fruwa ? - Niania przeniosła wzrok na starego marynarza, a ten tylko wzniósł oczy do nieba.

- Patrzyłam, jak mewy krążyły i nurkowały w ród skał i chciałam sprawdzić, czy dam rad do nich doł czy .

- Doł czy ? - Teraz jej strach ustąpił miejsca znacznie silniejszym emocjom.

Panna Winifred Mellon rzadko wpadała w gniew. Kiedy już do tego dochodziło, na jej bladych policzkach wykwitwały dwie ceglaste plamy, a w zazwyczaj łagodnych błękitnych oczach zapalały się małe kłęby iskierki.

- Tym razem posunęła się za daleko, Bethany. Natychmiast pójdiesz do swej sypialni i spiszesz wszystkie powody, dla których ludzie nie mogą latać. Kiedy skończysz, pokażesz mi, co napisała, a ja powiem ci, jaka jeszcze kara ci czeka.

- Mam być ukarana za to, że próbowałam fruwać ?

- Nie. To kara za brak rozwagi, młoda damo. Jeśli nie położysz temu kresu od razu, na nic moje wysiłki uczynienia z ciebie dobrze wychowanej panny.

Bethany zerknęła na Newtona, ale ten z kamiennym minem zarzucił zwinięty sznur na ramię i powoli odszedł, powłóczył drewnianymi nogami.

Pobiegła za nim. W jej nienaturalnie wysokim głosie wibrowało dziecięce oburzenie.

- To niesprawiedliwe, Newt. Nie zrobiłam nic złego, prawda?

Stary człowiek ostro nie dobierał słowa.

- Wydaje mi się, że panna Mellon ma trochę racji. Nie masz skrzydeł, dziecko.

- Nie, ale mogłabym zrobić sobie skrzydła z... gałązki - powiedziała, zerkając w górę na piękne drzewo rosnące tu obok domu.

- Tak, mogłabyś. I znów byś spadła. Na pewno trochę ci boli. To był paskudny upadek.

- Bardzo boli. Papa mówi, że kiedy coś ci boli, trzeba wziąć się w garść i spróbować jeszcze raz.

- Tak, ale ludzkie ciało jest delikatne i kruche, malutka. Nie zostali my stworzeni po to, by si obija o skały i spada z urwiska. Mogła si zabi .

- Wówczas byłabym w niebie z mam . Papa mówi, e niebo to wspaniałe miejsce.

- Tak. Te o tym słyszałem. Niewielu pali si do tego, by tam pój .

- Czemu tak jest?

Newton si u miechn ł.

- Mo e niektórzy z nas znale li swoje niebo tutaj, na ziemi. Postuchaj, dziecinko. - Powiesił lin na haku w wozowni i zamkn ł drzwi. - Odwlekasz swój kar . Je li chcesz by dorosła, jak twój ojciec, id na gór i zrób tak, jak ci poleciła panna Mellon.

- A potem? Pu cił do niej oko.

- Powiedz jej, e ju nie b dziesz próbowała fruwa .

- Ale ja b d , Newt. Westchn ł.

- Id ju , dziecko. Przyjmij kar jak... - O mały włos nie powiedział: jak m czyzna. Bogiem a prawd te dziewcz ta nie przypominały istot płci e skiej, z jakimi dot d miał do czynienia. Były szalone, uparte i równie twarde, jak ich brat James.

I samowolne.

A on wiata poza nimi nie widział.

# ROZDZIAŁ PIERWSZY

## *Ocean Atlantycki - opodal wybrzeży Kornwalii, 1665*

- Na wprost nas płynie statek bez flagi! - zawołała Bethany Lambert z bocianiego gniazda „Nieustraszonego”, statku należącego do jej rodziny. - Poznaj go. To „Rekin”, okręt piracki. Ciega mała łódź aglowa w barwach angielskich.

Kiedyś z członków załogi znajdujących się na pokładzie wiedział, jaki los czeka łódź. Ostatnimi czasy piraci coraz częściej napadali na małe spacerowe jednostki, przeważnie należące do bogatych arystokratów, napychali kieszenie złotem i kosztownie ciami, a następnie zatapiali pechowe statki i posyłały ich pasażerów na dno oceanu.

„Nieustraszonego” sprawował sekretne misje, a mianowicie czuwał nad bezpieczeństwem angielskich wód. Po śmierci ojca i brata, Bethany i jej siostry bez wahania lubowały, że poprowadzą dzieło ojca jako korsarze w służbie Karola II, króla Anglii.

W odpowiedzi na ostrzegawczy krzyk, Geoffrey Lambert, dziadek Bethany, polecił postawić pozostałe gale, toteż wkrótce zdołali przyspieszyć na tyle, by uplasować się między „Rekinem” a łodzią spacerową. W wyniku tego manewru łódź uniknęła bezpośredniego zagrożenia, a załoga „Nieustraszonego” przystąpiła do morderczej walki z piratami.

- Zbierz siły, dziecko! - zakrzyknął Geoffrey.

W tym momencie o dziób „Nieustraszonego” uderzyła pierwsza kula armatnia, wzniesając morze płomieni i chmurę tego, czarnego dymu. W ciągu paru minut piraci wdarli się na pokład. Ubrojeni w szpady i noże błyskające w słońcu, wykrzykiwali ochrypłymi głosami spronoście mające napęlić strachem serca tych, którzy o mieliby się stawiać im opór.

- Za tob , dziadku. - Bethany spokojnie wycelowała z króciocy.

Zanim starszy pan zd ył si odwróci i unie szpad , napastnik, który składał si do ciosu, miertelnie ranny padł na pokład.

- Newt - ostrzegła z kolei starego marynarza..

Stary odwrócił si w sam por , by unikn ataku, po czym pchn ł pirata szpad . To on wraz z ich dziadkiem nauczył Bethany i jej siostry wszystkiego, co wiedziały o morzu

- Dzi kuj ci, malutka.

Nie zd yła odpowiedzie , osaczona przez trzech gro nych piratów. Pierwszego zatrzymała za pomoc pistoletu, a poniewa nie miała wystarczaj co du o czasu na nabijanie broni, z pozostałymi dwoma rozprawiła si szpad i no em.

- Dobra walka, dziecinko.

Geoffrey Lambert post pił krok i stan ł u boku wnuczki.

Obydwoje, walcz c rami przy ramieniu, zepchn li jeszcze kilku napastników na reling, a nast pnie w spienione wody oceanu.

Wkrótce pokłady obydwu statków spłyn ły krwi . A kiedy wreszcie walka dobiegła ko ca, aden z piratów nie pozostał w ród ywych. Nikt z załogi „Nieustraszonego” nie odniósł powa niejszych obra e , aczkolwiek nie dało si powiedzie tego samego o statku. Kula armatnia uszkodziła dziób, skutkiem czego do ładowni dostała si woda. „Nieustraszony” niebezpiecznie przechylał si na bok, a drewniane deski pokładu spaliły si na w giel. Niby sterany wojownik powlókł si powoli, z trudem, ku bezpiecznemu wybrze u. Gdy odpływał z miejsca walki, załoga dryfuj cego nieopodal małego stateczku, który pozostał na miejscu, dopóki „Rekin” nie znikn ł pod wod , egnała ich wiwatami.

M czyzna stoj cy przy luku swojej kabiny opu cił lunet . Ju sama walka wzbudziła jego nieklamany podziw. A kiedy

jeszcze spostrzegł, że jeden z członków załogi zwycięskiego statku to kobieta, nie mógł uwierzyć własnym oczom. Była ubrana tak samo, jak pozostali marynarze: dopasowane spodnie wciśnięte w wysokie buty, barwna koszula z wydymającymi się na wietrze rękawami, ciasno obwieszana wokół głowy skrywająca włosy chusta. Marynarski przyodziewek nie zdołał jednak ukryć kontur ciała.

W trakcie walki chustka zsunęła jej się z głowy, a burza rudych loków swobodnie spłynęła na ramiona. Kształtne ciało i płomienne włosy tworzyły nieodpartą kombinację, z gatunku tych, których nie da się zapomnieć.

Nieznajoma posługiwała się pistoletem jak młotem. I podobnie jak inni, bez wahania skoczyła w sam rodek bitwy. Przedstawiała wspaniałą widok, bez dwóch zdań.

Wtem do drzwi kabiny ktoś zapukał. Duży pies leciał u stóp swego pana warknął ostrzegawczo.

Zza drzwi dobiegło wołanie jednego z członków załogi.

- Wpływamy do przystani Lands End, milordzie!
- Dobrze. - Uspokajaj co poklepał psa. - Jak się nazywa ten statek, który przyszedł nam z pomocą?
- Nie wiem, milordzie. Mam poprosić na przystani?
- Nie.

Pytanie niewiele było dało. Krążyły pogłoski, jakoby na tych wodach pływało kilka statków, z pozoru handlowych, które miały zapewnić bezpieczeństwo angielskim łodziom. Ich to samo było znane jedynie królowi. Strzegły swojej anonimowości z równą gorliwością, co zwalczały wrogów królestwa. Ale i tak dowiedzieć się nazwy statku. Ma na to swoje sposoby.

Gotując się do zejścia na ląd, rzucił ostatnie spojrzenie na statek, który uratował jego i jego ludzi, a teraz opłynął cyfel i znikł z pola widzenia. Dałby wiele, by wolno mu było przytulić czy się do nich w ich misji oczyszczania morza z piratów.



A jeszcze wi cej, by pozna kobiet , która wiodła tak swobodne ycie i biła si z tak zawzi to ci .

- Skały i mielizny od strony przystani. - Głos dobiegaj cy z bocianiego gniazda z pewno ci nale ał do kobiety, aczkolwiek posta , która wła nie ze lizgiwała si na pokład, miała na sobie taki sam przyodziewek, jak reszta załogi.

- Tak, Bethany. Widz je. Bogu dzi ki, jeste my prawie w domu. - Geoffrey Lambert trzymał pewn r k ster, a załoga rozpocz ła przygotowania do rzucenia kotwicy.

Rejs z niewielkiego Port Hellick do Lands End nie powinien im zaj wi cej ni pół dnia. I tak by było, gdyby nie napotkali piratów.

- Chcesz, ebym wzi ła od ciebie ster, dziadku?

- Tak. - Ch tnie przyj ł pomoc wnuczki.

Dziewczyna, podobnie jak jej siostry, Ambrozja i Darcy, była doskonałym eglarzem. Znała wody opływaj ce wybrze a Kornwalii lepiej ni wi kszo miejscowych m czynn.

- Spójrz, dziadku. Darcy. S z ni Winnie i pani Coffey.

- Pomachała r k młodszej siostrze, niani i gospodyni.

Wszystkie trzy oczekiwały ich na wdowim ganku domu stoj cego samotnie na skrawku ziemi, frontem do oceanu. Jej ojciec, kapitan John Lambert, nazwał go MaryCastle na cze swej ony a ich matki. Natomiast mieszkacy Lands End nazywali go Szale stwem Lamberta i przepowiadali, e ka dy dom postawiony tak blisko brzegu w ko cu zostanie zabrany przez wod . Tymczasem dom, cho ustawicznie atakowany przez wiatr i fale, trwał przez te wszystkie lata niczym forteca.

Gdy tylko statek wpłyn ł do zacisznej zatoczki, marynarze sprawnie zamocowali liny, a mała szalupa kursowała tam i z powrotem, a cała załoga znalazła si na brzegu.

- Nasz ładunek przepadł, dziadku. - Bethany wyszła po drabinie z zalanej ładowni. - Za mokr herbat i korzenie nie dostaniemy wiele.

- To prawda, dziecko. A co gorsza, b dziemy musieli natychmiast zabra si za napraw statku. - Geoffrey Lambert obj ł wzrokiem szkody. - Nie mam poj cia, jak zdołamy za ni zapłaci .

Znu ony i zrezygnowany, zszedł po sznurowej drabince do oczekuj cej łódki.

Bethany zauwa yła, jak zwiesił ramiona i u wiadomiła sobie, e grozi im utrata wszystkiego, na co pracowali. Bez statku nie dadz rady utrzyma domu i starzej cych si słu cych, którzy nie mieli nikogo prócz nich. Je eli jednak nie otrzymaj przyzwoitej zapłaty za ostatni ładunek, nie b dzie ich sta na dokonanie koniecznych napraw na „Nieustraszonym”.

Gdyby Ambrozja i jej nowo po lubiony m , Riordan Spencer, byli na miejscu, nie musiałyby si martwi . Riordan jest zamo nym człowiekiem i z rado ci udzieliłby im po yczki, ale młoda para wypłyn ła w morze na pokładzie jego statku i spodziewano si ich nie wcze niej ni za miesi c.

- Znajd jaki sposób - szepn ła Bethany. A za dobrze wiedziała, e ten ci ar spadnie na jej szczupłe ramiona. Rozejrzała si wokół po raz ostatni, po czym zeszła za dziadkiem do łódki.

Gdy dopływali do wybrze a, załoga, pod kierunkiem starego Newtona, ju sadowiła si na furgonach, które miały zabra wszystkich do wioski. Na brzegu czekała te młodsza siostra Bethany, Darcy, która natychmiast dostrzegła zm czenie na ich twarzach.

- S dz c po wygl dzie „Nieustraszonego”, stoczyli cie ci k walk .

- To prawda.

- Musisz mi o wszystkim opowiedzie .

- Opowiem, ale najpierw daj nam odsapnąć. Gdzie podziały się Winnie i pani Coffey?

- Siedzą w salonie. Lepiej się pospieszcie. Od wielu godzin czekają na wasz powrót.

- Dobrze. - Bethany wzięła siostrę za rękę, a drugą rękę wsunęła pod ramię dziadka. - Chodźmy, dziadku.

Choć walczyła jak mężczyzna i pracowała jak marynarz, była przede wszystkim młodą kobietą. Kobieta, która pragnęła jak najszybciej podzielić się opowieścią o morskiej potyczce z resztą rodziny.

- Och, spójrz tylko na siebie. - Winifred Mellon uniosła głowę na widok wchodzących. Siostry już od lat nie potrzebowały niania, ale kiedy odkryły, że Winnie nie ma dość, wszystkie nalegały, żeby z nimi została. - Jesteś ranna, Bethany.

- To tylko zadrało cię, Winnie. - Dotknęła dłoni ramienia i zdumiała się na widok plam krwi na rękawie koszuli.

Geoffrey Lambert zatrzymał się w progu.

- Gdyby nie jej biegło we władaniu pistoletem, nie byłoby mnie tu z wami.

Młoda kobieta zarumieniła się.

- Nie zrobiłam nic więcej niż pozostali, dziadku.

- Tak uważasz? - Starszy pan pokręcił głowę. - Dzięki Bogu za to, że jesteś taka szybka, dziecko.

Niania przysiadła na brzoisku krzesła.

- Musisz nam o wszystkim opowiedzieć.

- Tak. - Pani Coffey podała kufle z piwem i herbatą, po czym zasiadła na szeszlunku przed kominkiem. Podobnie jak Winnie, pracowała u rodziny Lambertów przeszło dwadzieścia lat. Jak na wdowę przystało, ubierała się wyjątkowo czarno i na przekór mijającym latom chodziła wyprostowana jak struna. Ale ciarę prowadzenia domu w coraz większym stopniu spoczywał na barkach trzech sióstr. - Chcemy poznać ją

najmniejszy szczegół. Czy było to równie ekscytujące, jak nasza... ostatnia potyczka?

Siostry wymieniły u miechy. Obietnica poprowadzenia dzieła ojca dała początek rodzinemu przedsięwzięciu, w którym uczestniczyli nie tylko dziadek i stary Newt, ale również te dwie urocze panie. Owa przygoda odmieniła ich wszystkich, dodała pewno ci siebie siostrom i przywróciła radość życia tym starym ludziom. Kolejna nitka splotu, który na trwałe ich ze sobą związał.

- Rejs nie był nawet w przybliżeniu tak niebezpieczny, jak ten, w którym wszyscy brali udział, pani Coffey. Prawdę mówiąc, było wyjątkowo spokojnie, dopóki nie zauważyli my pirackiego statku, który szykował się do ataku na łódź jakiego szlachcica. Wówczas podjęliśmy walkę z piratami i wkrótce posłaliśmy ich na dno oceanu.

- A co z tamtą łodzią? - Niania powiodła wzrokiem od Bethany do Geoffreya. - Wiecie, co to za jedna?

Bethany pokręciła przecząco głową.

- Nigdy wcześniej nie widziałam jej na naszych wodach. Zresztą, jakie to ma znaczenie? Idzie o zakład, a stoi teraz zaciemniona na przystani. - Szybko dopiła swój herbatnik i odstawiała filiżankę.

Gdy ruszyła ku drzwiom, pani Coffey zawołała:

- Gdzie ty właściwie idziesz?!

- Do siebie. Mam zamiar wziąć gorącą kąpiel, zjeść bez po piechu kolację i udać się do łóżka. Chciałabym tam zostać przez najbliższy tydzień.

- Nie dzisiaj, młoda damo. - Stara gospodyni uśmiechnęła się porozumiewawczo do niani. - Czy nie uzgodniłyśmy, że twoje obowiązki na statku nie przeszkadzają ci w wypełnianiu obowiązków innego rodzaju?

- To prawda. - Bethany spojrzała na siostrę, ale Darcy uciekła wzrokiem.

- Dziś na plebanii odbędzie się głośne czytanie Biblii. A ponieważ Ambrozja jest w podróży po Lubnej, zostałyście tylko ty i Darcy.

- W takim razie dlaczego Darcy nie może mnie zastąpić?

- Ponieważ już się zgodziła uczestniczyć w cotygodniowym spotkaniu kółka szycia, razem z panną Mellon.

Siostry jak na komendę wzniosły oczy do góry. Nie potrafiły sobie wyobrazić dwóch bardziej znienawidzonych zajęć niż głośne czytanie Biblii i zespołowe szycie.

- Spodziewam się, że się tam udasz, Bethany - oświadczyła pani Coffey tym swoim nieznośnym sprzeciwu tonem. - A ja, naturalnie, pojedę z tobą jako twoja przyzwolona.

Bethany zwróciła się do dziadka z błagalnym tonem.

- Dziadku, dopiero co wróciłam z wyprawy morskiej i mam pójdę na czytanie?

- Witanie. - Geoffrey uśmiechnął się szeroko. - Oczywiście, że cię powitają, malutka.

- Czytanie, dziadku. Czytanie Biblii. - Ledwie się powstrzymała, by nie tupnąć nogą. Doskonale zdawała sobie sprawę, że starszy pan słyszał tylko to, co chciał usłyszeć. Wiele lat temu ładunek rozerwał łufę działka pokładowego, skutkiem czego dziadek ogłuchł do cna. Wypadek zmusił go do rezygnacji z węglugi. Ale z biegiem lat jego słuch stopniowo się poprawiał, co zresztą wszyscy zauważyli. Mimo to starszy pan wykorzystywał domniemaną ułomność na swoją korzyść, kiedy mu się tak podobało. - To nie fair.

- Ser? - Starszy mężczyzna pokiwał energicznie głową. - Tak, trzeba podać ser. Newton bardzo lubi ser.

Widzcie Newtona, który właśnie przyszedł z wioski, zwróciła się ku niemu z nadzieją, że przynajmniej on weźmie jej stronę.

Ale ten tylko puścił do niej oko.

- Pewnie si cieszysz, e podczas rejsu nic si tu nie zmienilo, malutka.

- Tak. - Poslala mu ponure spojrzenie, po czym odwrócila si i udala do swej sypialni. - Nic a nic.

- Bethany, slyszala ? - Edwina Cannon, najwi ksza plotkarka we wsi, zlapala j za rami , gdy kierowaly si do oczekuj cego powozu. Obydwie wla nie wyszly z plebanii, gdzie sp dzily minion godzin na sluchaniu, jak przystojny mlody diakon Ian Welland czyta urywki z Ksi gi Psalmow.

Id ca obok nich pani Coffey wygl dala na wielce z siebie zadowolona . Bethany wiedziala dlaczego. Z jakiego dziwnego powodu pani Coffey wymyli la sobie, e jedna siotr Lambert powinna po lubi duchownego. A poniewa Ambrozja ju wyszla za m za pelnego fantazji kapitana statku, Riordana Spencera, a Darcy miala slabo do eglarza o nazwisku Gray Barton, pozostawala tylko ona. Wprawdzie wiele mlodych dam w Lands End wzdychalo na sam widok diakona i niemal spijalo jego slowa padaj ce z kazalnicy, jednak jak na gust Bethany byl stanowczo zbyt poczciwy.

Gdy tylko pani Coffey i pani Cannon wsiadly za nimi do odkrytego powozu, Bethany zwrócila si do Edwiny.

- O czym mialam slysze ?

- Lord Alsmeech zako czył podró po Kornwalii i osiadł w rodzinnej posiadło ci.

Bethany westchn la.

- Spodziewalam si czego bardziej ekscytuj cego. Na przyklad wie ci, e niedaleko wybrze a zauwa ono statek piracki. Albo e znów pojawil si ten tajemniczy rozbójnik, który przezwal si Wladc Nocy. Cala Kornwalia zachodzi w glow , kto to mo e by . Zdawalo mi si , e stary hrabia nie yje.

- Nie chodzi o starego hrabiego, g sko. Mam na my li jego syna, Kane'a. - Edwina rozsiadla si wygodniej, z t czujna , zadowolona min , któr przybierala, ilekro mówila o

m czynach. - Nikt go dotąd nie widział, ale ja wiem, że jest nieprzyzwoicie przystojny.

- Wiadomo też, że to odludek i arogant - odezwała się gospodyni siedząca naprzeciwko obydwu młodych kobiet. - Jedna z jego pokojówek powiedziała naszej pokojówce, że po przyjeździe do rezydencji nie odezwał się ani słowem. Cała służba domowa oraz dzierżawcy i ich rodziny zebrali się, by go powitać. Tymczasem on, zamiast ich pozdrowić, po prostu wszedł do domu i nakazał swemu majordomusowi, by ten polecił wszystkim wrócić do pracy.

- Ale pani Coffey. - Edwina zasznurowała usta. - Jako jeden z najbogatszych ludzi w Anglii miał prawo tak postąpić.

- Miał prawo? - Bethany, zgorszona rozumowaniem Edwiny, spiorunowała ją wzrokiem. - Papa nazywał to klętwą bogaczy. Zamiast poczuwać się do troski o tych, dla których los nie okazał się tak łaskawy, myślał, że cały świat powinien być na ich usługę.

- A czy może na ich za to wini? - Edwina westchnęła z rozmarzeniem. - Mam nadzieję, że któregoś dnia będzie równie bogata, jak królowa. I spodziewam się, że wszyscy będą mi się kłaniać.

- Oto szlachetny cel. - Bethany skrzywiła się, zła, że w drodze do domu jest skazana na towarzystwo tej głupiej kobiety. - Ciekawa jestem, dlaczego lord Alsmeth powrócił do Kornwalii, skoro nie zamierza zachowywać się, jak nakazuje zwyczają uprzejmości?

- Ponieważ się tu ukrywa. Nie jest już tu widzialny w londyńskich wyższych sferach. - Edwina uśmiechnęła się tajemniczo.

- Czemu taki bogacz miałby się ukrywać?

- Może ma długie karciane? - mruknęła pani Coffey.

- Nie. To coś o wiele gorszego niż długie. - Edwina konspiracyjnie zniżyła głos. - Jego ojciec został brutalnie zamordowany, a jego samego osadzono w więzieniu Fleet.

Pozostałe panie głośno nabrały powietrza i zasłoniły usta.

- Teraz wprowadzicie wypuszczono go na wolno, ale nie oskarżono o ten zbrodni nikogo innego. Tylko pomyślcie. Kto skorzystał najwięcej na śmierci starego hrabiego?

- Chcesz powiedzieć, że zabił własnego ojca dla pieniędzy?

- A przychodzi ci do głowy lepszy motyw? To jeszcze nie wszystko. - Edwina wzruszyła ramionami. - Jak powiada, jego ona popełniła samobójstwo w noc po łubn. - Teraz przyciągnęła ich uwagę bez reszty. - Wielu zachodzi w głowę, co mogło sprawić, że panna, utytułowana Angielka wołała wbić sobie sztylet w serce, nie podda się mroźnej woli.

Pani Coffey i pani Cannon wymienili przerażone spojrzenia.

- Kto ci o tym powiedział? - dociekała Bethany.

- Ludzie, którzy mają przyjaciół w Londynie. - Edwina zniżyła głos do szeptu.

- Innymi słowy - Bethany nie zadała sobie najmniejszego trudu, by ukryć zniecierpliwienie - nie wiesz, czy choć jedno słowo z tego, co nam właśnie nie powiedziała, jest zgodne z prawdą.

Edwina aż pobiła z irytacji. No tak, Bethany Lambert zawsze wszystko kwestionuje.

Skrzyżowała ramiona na piersi i wyduła wargi.

- Twoja sprawa, Bethany. Nie musisz mi wierzyć, skoro tak ci się podoba. Tuziny innych powiedzą ci to samo. Nawet ty musisz przyznać, że lord Alsmeech to intrygująca postać.

- Ani w połowie tak intrygująca, jak Władca Nocy.

Na wzmiankę o osławionym rozbójniku Edwina zadrżała.

- Władca Nocy, co takiego! Obrzydliwy złodziej i tyle. Okrutny, brutalny potwór. Mówi, że bierze bogatych dżentelmenów na cel i gwałci ich kobiety. - Cia niej zawiązała wstążki czepka. Właśnie nie wjechali do lasu i konie przeszły w



kłus. - Mimo wszystko uważam, że obecnie wysoko urodzonego d entelmena w ród nas może być przyjemnie lato. Nawet d entelmena tak pospnego i tajemniczego, jak lord Alsmeech. Przyznaj to, Bethany. Nie jesteś go ciekawa choć trochę ?

Bethany wzruszyła ramionami.

- Nic a nic. I bardzo dobrze, ponieważ w tym, aby my, on i ja, kiedykolwiek mieli okazję do... - Spojrzała nad głowami dwóch starszych pań siedzących naprzeciwko i zamilkła.

Zza drzew wynurzył się jakiś chłopiec, który szybko zbliżył się do powozu. Nic dziwnego, że zauważyła go dopiero teraz, kiedy ich doganiał. Siedział na karym rumaku, a sam był ubrany od stóp głów na czarno. Czarne spodnie wciśnięte w wysokie czarne buty. Czarny kaftan. Dolną połowę jego twarzy zasłaniała czarna chusta. Nisko na czoło miał nasunięty czarny kapelusz. A w ręku trzymał groźnie wyglądający czarny pistolet, który właśnie uniósł w powietrze.

Na odgłos wystrzału konie sploszyły się i woźnica z niemałym trudem usiłował je zatrzymać. Kiedy wreszcie mu się to udało, pasażerki wpadły w panikę, bo rzuciło nimi jak szmacianymi lalkami.

Chłopiec zrównał swego konia z powozem i przystawił woźnicy pistolet do skroni. Jego słowa były niewiele głośniejsze od złowieszczonego szeptu.

- Zostań tu, gdzie jesteś, staruszkule, a nie ci się nie stanie. Zrozumiałe ?

Woźnica przytaknął i mocno zacisnął dłonie na lejcach.

Chłopiec zsiadł z konia, po czym dumnymi krokami podszedł do powozu.

Edwina i jej matka zaczęły płakać. Pani Coffey chwyciła Bethany za rękę i ciskała ją tak mocno, że dziewczynka zaczęła drżeć.

- Czego od nas chcesz? - spytała Bethany.

Przez chwilę młody człowiek wpatrywał się w nią bez słowa. Jej miałe pytanie najwyraźniej go zaskoczyło. Zazwyczaj kobiety niemal natychmiast mdlały na jego widok. A i mężczyźni gwałtownie tracili animusz. Zwłaszcza bogaci i utytułowani, którzy mieli najwięcej do stracenia. Tymczasem ta młoda panna nie pokazała po sobie strachu. Prawdopodobnie powiedziawszy, że liśdzie po tych pełnych ognia zielonych oczach, była raczej rozgniewana niż przerażona.

Powiedział po niej wzrokiem, od czubka płomiennej głowy do stóp obutych w solidne trzewiki z długimi noskami.

- Proszę wysiść z powozu.

- Och, wielkie nieba. - Edwina zaczęła jęczeć i kiwać się jak przestraszone dziecko. - On nas wszystkich pozabija.

- Bądź cicho. - Bethany była zła, że nie ma przy sobie pistoletu. Ale kto mógłby przypuszczać, że w drodze na plebani przyda się broń? Poklepała gospodyni po ramieniu, chcąc dodać jej otuchy, po czym podniosła się z miejsca.

Rozbójnik wyciągnął rękę.

- Proszę pozwolić sobie pomóc.

Kiedy spróbował wziąć ją za rękę, parsknęła gniewnie i ostentacyjnie zignorowała jego pomoc. Zeskoczywszy na ziemię, odwróciła się twarzą do pozostałych.

- Chodź, Edwino. Pani Cannon. Pani Coffey.

Na jej nalegania wszystkie trzy damy wysiadły z powozu. Gospodyni stanęła u boku Bethany, a Edwina z matką objęły się ciasno ramionami, pocieszając się nawzajem.

Bethany zwróciła się do rozbójnika.

- Bierz, po co przyszedłeś, i pozwól nam udać się w dalszą drogę.

- Czy bycie się spieszyły?

- I owszem. Byle dalej od takich jak ty.

- Proszę, nie denerwuj go. - Głos Edwiny drżał, a oczy zasnuły się łzami. - Bo on na pewno nas zabije, Bethany.

- Bethany?

Znów poczuła na sobie ten zimny wzrok.

- Lepiej weź sobie do serca ostrze, nie przyjaciółki.

Nie powinna mnie denerwować.

- A to dlaczego? Ty mnie denerwujesz.

Słyszysz to, odchylił głowę do tyłu i za nią się cicho. Wtem spostrzegł brylantowo-rubinowy pierścionek na palcu Edwiny. Jego spojrzenie złodowaciało.

- Oddajcie kosztownieści.

- Och, nie. - Edwina zaczęła się cofać, kiedy popłynął strumieniem po jej policzkach. - Tylko nie mój pierścionek. To prezent od mego ukochanego Silasa. Kiedy obiecał mi całą biuterię Fenwicków. Gdyby ją, nosiłabym tytuł lady Fenwick.

- Silas Fenwick? Tym lepiej. - Wyciągnął rękę i zsunął pierścionek z palca Edwiny. Schował go do kieszeni, po czym zwrócił się do pani Cannon. - Pani poprosz o to samo.

Starsza kobieta drżała, kiedy ją ciskał pierścionek.

- Jeszcze naszyjnik i kolczyki - powiedział tym samym, przenikliwym szeptem.

Gdy oddała mu całą biuterię, wskazał pistoletem sakiewkę dyndając u jej nadgarstka.

- A teraz poprosz o złoto.

Z płaczem rozstała się z sakiewką i patrzyła w odrzwieniu, jak wytrzasza jej zawartość na dłoń. Włożyła monety do kieszeni, a pustą sakiewkę wsunął w drzwiczki włożyła cicielki.

Teraz przyszła kolej na pani Coffey.

- Pani biuteria, szanowna pani.

- Ja... mam tylko to. - Niemal przestała oddychać, gdy odpinała broszkę zdobioną stanik sukni.

Nie zdążyła ją podać jej rozbójnikowi, bo Bethany zamknęła drzwi na ręce gospodyni.

- Proszę zaczekać, pani Coffey. - Zwróciła się do rzezimieszka. - To podarunek od jej matki. Pan Coffey już nie

yje. Została po nim tylko pamięć i ten klejnocik. Nie masz prawa jej tego zabierać.

- Nie mam prawa? - Oczywiście oczy ci się ciemniały, wyrwał broszkę z ręki starej kobiety.

- Tak. Nie masz prawa. Całe życie spędziła, słuchając innym. Nikt, a już najmniej złodziej, nie ma prawa pozbawić tej kobiety jedynej, jakiej drobnej pociechy, która została jej na stare lata.

Przez długi czas chwilami wpatrywał się w Bethany, milcząc. A potem zerknął po sobie nie na broszkę.

- Masz rację. Nie jest wiele warta dla nikogo poza wami cicielkami. - Oddał broszkę, zaskakując tym gestem wszystkie cztery kobiety.

Oczy starszej pani wypełniły się łzami, a palce zacisnęły na drogiem sercu podarunku od zmarłego przed laty matki. Była o włos od utraty swego największego skarbu.

Rozbójnik zwrócił się do Bethany.

- Teraz, kiedy przekonała mnie, bym oddał tę błyskotkę, do ciebie należą wyrównanie moich strat. Czym wzbogacisz mój majątek, moja droga damo?

Uniosła podbródek. Jej oczy miały pioruny.

- Nie jestem twoją drogą damo. I nie mam nic cennego.

- Nic cennego, mówisz? - Przełiznął się po niej wzrokiem, od góry do dołu, z tak bezczelną miną, że wszystkie a zadrżały. - Powinienem za dać podwójnej zapłaty, bowiem bogowie obdarzyli cię o wiele hojniej niż większość miertelniczek.

- Jak mieszkasz? - Bethany, płonąca z oburzenia, chciała odwrócić się do niego plecami.

Złapał ją za ramię. I uwiadomił sobie, że popełnił błąd. Samo dotknięcie wystarczyło, by stracił panowanie nad emocjami, już nie mógł się wycofać. Za pół godziny. Nie baczcie na konsekwencje, rzekł pod nosem:

- Bardzo dobrze. Skoro nie chcesz nic dać dobrowolnie, b d musiał po prostu wziąć to sam. W końcu nie jestem pierwszym lepszym złodziejem.

Zanim zdołała wykonać jakikolwiek ruch, przytrzymał dłońmi jej głowę i przycisnął dziewczynę do siebie. Zsunął czarną chustkę na szyję i dotknął warg Bethany swymi ustami.

Na widok takiego zuchwałstwa jej towarzyszki zaczęły szlochać, przerażone tym, co miało nastąpić. Oto na własne oczy widziały, że mroćce krew w żyłach opowie ci o okrucieństwie tego mężczyzny wobec kobiet nie wyszane z palca. Pani Coffey zastygła, przeżyła zgrozę, a Edwina i jej matka zemdlone padły na ziemi.

Natomiast Bethany przeżywała najbardziej szokujące wydarzenie w swoim młodym życiu. Miała wrażenie, że czas nagle stanął w miejscu. Całowano ją już nieraz. Ale nigdy tak. Ot, pospieszny pocałunek, skradziony przez nią mielonego młodzieńca z wioski. Tym razem nie miała do czynienia z młodzikiem. To był mężczyzna. Mężczyzna, który całował ją tak namiętnie, że stała oszołomiona i bez tchu. Delikatne, zmysłowe wargi błędziły po jej ustach, powoli i umiejętnie. Próbowwała się wyrwać, ale przytrzymał jej głowę mocniej. Kiedy przedłużył pocałunek, poczuła, że całe jej ciało ogarnia żar. Bała się, że jeśli on natychmiast nie przestanie, ona zamieni się w popiół.

Kiedy uniósł głowę, gwałtownie chwyciła powietrze.

- Potraktuj to jako bardziej niż wystarczającą zapłatę, moja pani. - Z uśmiechem zasłonił na powrót dół twarzy i cofnął się o krok, puszczając Bethany wolno.

Z niemałym trudem odzyskiwała równowagę. Miała wrażenie, że ziemia pod jej stopami wciąsiła się przez chylą.

Wołałaby umrzeć, nim dopuści, by ten wyrzutek zorientował się, jak podziałał na niego pocałunek.

- Jesteś ... - jej głos zadrżał, ale wyprostowała plecy, zdecydowana przeżyć przez to bez zajknięcia - najpodlejszym

ze wszystkich stworze . Jak miała napada na bezbronne kobiety? - Nie była w stanie nad sobą panować . Gwałtownie zamachnęła się , gotowa uderzyć go w twardą arogancką twarz.

- Bezbronne? - Zamknął palce na jej nadgarstku, powstrzymując atak Bethany. Odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął miechem. A potem znów zniżył głos do tego intrygującego szeptu. - Wyobraź sobie, że gdyby miała jakkolwiek broń , oczywiście, poza groźnymi oczami, leżałbym teraz martwy na drodze.

- To prawda. - wiadomo , że nie może przeciwstawić się jego sile, doprowadzając ją do szaleństwa. W dodatku musiała jako przetrwać kolejną falę gorączki, która napłynęła znowu, gdy poczuła dotyk rabusia. - Nie zasługujesz na nic lepszego.

- W końcu, moja pani, wszyscy dostajemy to, na co zasługujemy.

- W takim razie z pewnością cię będzie się smażyć w piekło przez całą wieczność .

- Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości. - Puścił ręk Bethany, cofnął się o krok i złożył dworny ukłon. - Dziękuję , że podzieliła się swoimi... skarbami z Władcą Nocy. A teraz, niestety, muszę porzucić twoje fascynujące towarzystwo. - Skoczył na siodło i popędził konia. W okamgnieniu skrył go las.

Edwina i pani Cannon odzyskały zmysły, ale wciśnięte spazmatycznie drżały. Bethany musiała wykorzystać całą siłę swojej perswazji, by uspokoić je na tyle, że w końcu wstały i ruszyły do powozu. Gdy tylko wszystkie znalazły się na powrót w pojeździe, woźnica zaciął konie i ruszył z miejsca, najszybciej jak mógł.

Czarny jeździec obserwował zaprzęg z mroźnymi oczami. Po chwili z jego ust popłynął potok zjadliwych przekleństw. Obrzucał się najgorszymi wyzwiskami, jakie tylko przyszły mu do głowy. Co, u licha, się stało, że pogwałcił swoje zasady,

jakiegokolwiek one s ? Nigdy dot d nie pozwalał sobie na takie rzeczy z adn ze swych ofiar. Prawd mówi c, nigdy go to nie kusilo. Ale w tej aroganckiej istocie bylo co takiego, e zlamal wszystkie reguly, które sobie narzucil. Mo e to ta burza włosow opadaj cych w g stych, płomiennych lokach na plecy, prawie do talii. A mo e pon tne młode ciało, którego powabów nie zdołała ukry prosta suknia. A przede wszystkim wyzwanie w oczach. Oczach, w których m czyzna ch tnie by zaton ł.

Co za wspaniałe stworzenie. Ogie , błysk i gniew. Oto kobieta, która mogłaby rzuci wyzwanie m czy nie.

Pochylił si , by pogłodzi konia po szyi i u wiadomił sobie, e jeszcze nigdy nie spotkał kobiety, która tak by na niego podziała. Zamierzał zobaczy j ponownie. Chocia by po to, by zaspokoi ciekawo .

Bethany. Miała na imi Bethany. Tyle na pocz tek.

Zawrócił konia i znikł w zapadaj cych ciemno ciach.

## ROZDZIAŁ DRUGI

- Och, to było takie straszne. Takie okropne.

Z chwil , gdy przekroczyły próg MaryCastle, pani Coffey rozplakała si jak dziecko.

- Co si stało, pani Coffey? - Winnie i Darcy zaciskały kurczowo r ce i wodziły wzrokiem od płacz cej kobiety do Bethany, a na ich twarzach malowało si rosn ce zaniepokojenie.

- Zostały my... - wargi starszej kobiety dr ały, z wysiłkiem zaczerpn ła powietrza - napadni te przez tego rozbójnika.

- Władc Nocy? - Darcy obj ła j i przytuliła, pragn c pocieszy . - Wyrz dził ci krzywd ?

- Nie. Nie mnie. Ale on... - Znów zaczął płakać, więc Darcy odsunęła pani Coffey na odległość ramienia. Miała ochotę nie potrzęsnąć, ale gospodyni zdołała skończyć zdanie.  
- Zbeczcze cię nasz biedny Bethany.

- Nie! Zamorduj tego drania. - Geoffrey Lambert, który właśnie nie schodził ze schodów, stanął jak wryty. Było rzecz oczywista, że choć znajdował się w sporej odległości od reszty domowników, słyszał każde słowo.

Stara niania z miejsca ruszyła naprzód i chwyciła go za ramiona w obawie, że mógłby upaść.

- Nie wolno ci się denerwować, Geoffrey. Wiesz, że to nie jest dobre dla...

- Nie teraz, Winnie. - Uwolnił się z jej uścisku i wbił wzrok w ukochaną wnuczkę. - Czy ten potwór cię zgwałcił, Bethany?

- Pani Coffey jest w szoku. Nie wie, co mówi. On... po prostu mnie pocałował, dziadku.

- Pocałował cię? To wszystko?

- Tak, dziadku.

Starszy pan przytrzymał się poręczki, czekając, aż jego łomoczące serce zacznie się uspokajać. Wówczas przemierzył resztę schodów i wziął wnuczkę w ramiona.

- Nic ci nie jest, dziecko? Naprawdę?

- Naprawdę, dziadku. - Na moment oparła się o jego tors; kochała te znajome zapachy: morza, soli i tytoniu, które od zawsze stanowiły część jej życia. Po chwili uwolniła się z objęcia dziadka i wzięła głęboki oddech, gotując się na czekające ją pytania.

- Jak wyglądał? - spytała Darcy, wspierając obie ręce na biodrach. Sprawiała wrażenie, jakby miała ochotę zaatakować tego niegodziwca swoim nożem. Nikt w Lands End, mężczyzna czy kobieta, nie władał nożem lepiej od niej.

- Tak jak każdy potwór - powiedziała szybko gospodyni. - Potężny mężczyzna. Cały na czarno. Z zasłoniętymi



twarz . Widziałam tylko jego oczy. Pełne okrucie stwa. Takie jak on. Zbój. Tylko tyle potrafi o nim powiedzieć . - Znów zaczęła płaka , tym razem ciszej.

- Powinna si napi herbaty. - Panna Mellon zwróciła si do Darcy. - Przynie , prosz , biszkopty, które jedli my na podwieczorek. I słój konfitur owocowych.

- Naturalnie. - Młoda kobieta i jej siostra wymieniły spojrzenia. - Nie mówcie nic wi cej, dopóki nie wróc ;.

W ci gu kilku minut cała rodzina zebrała si przy kominku w salonie. Stary Newton równie si do nich przył czył.

- Co skradł ten rozbójnik? - Geoffrey Lambert podzi kował za herbat i nalał sobie kufel piwa, by uspokoi nerwy.

- Pier cionek Edwiny, a tak e bi uteri i złoto jej matki.

- To wszystko? - Darcy skubn ła biszkopta.

- Omal nie zabrał mojej broszki. - Pani Coffey nakryła klejnot dłoni , wci nie b d c w stanie uwierzy w swoje szcz cie. - Ale Bethany powiedziała mu, e nie ma do tego prawa, bo to jedyna rzecz, jaka została mi po moim Nedzie.

- I pozwolił ci j zatrzyma ? - Darcy przeniosła wzrok z dziadka, który słuchał w skupieniu, na starego Newtona.

Gospodyni przytakn ła.

- Powiedział, e nie ma adnej warto ci. Ale ja jestem przekonana, e to apel Bethany do jego poczucia przyzwoito ci skłonił go do zmiany zdania.

- Wła nie. - Darcy wzi ła kolejny biszkopt. - Z tego, co mówicie, wynika, e ten Władca Nocy nie jest zupełnym potworem.

- Tego nie powiedziałam. - Gospodyni pokr ciła głow .

- Kiedy pomy l , jak brutalnie post pił wobec naszej małej Bethany... - Przytkn ła serwetk do dr cych warg.

Darcy zwróciła się do siostry, która od jakiego czasu zachowywała milczenie.

- A co ty powiesz? Czy nasz rozbójnik ma serce? A mo e naprawd jest tak okrutny, jak twierdz wszystkie jego ofiary?

Bethany wzruszyła ramionami.

- Przypuszczam, e powinna spyta o to Edwin i jej matk . Na zmian mdlały i niepohamowanie szlochały nad utrat kosztowno ci.

- Naprawd zemdlały? - Darcy u miechn ła si szeroko.

- Czy by nie zdawały sobie sprawy, e tym sposobem ominie je wi kszo atrakcji?

- Mo e o to im chodziło - stwierdził sucho Geoffrey. - Wró my do tego rozbójnika, Bethany. Potrafiłaby go rozpozna ?

Pokr ciła głow .

- Tak, jak powiedziała pani Coffey, od stóp do głowy był ubrany na czarno i miał zasłoni t twarz.

- A jego głos? - odezwał si milcz cy dot d Newton. - Rozpoznała go?

- Mówił szeptem.

- Oczy? - dociekał dziadek.

- Było zbyt ciemno, by si im przyjrze .

W salonie rozległo si zbiorowe westchnienie zawodu.

- Przynajmniej.. - Geoffrey nalał sobie drugi kufel piwa, niepokieszony, e taka gratka przeszła mu koło nosa - nie miał okazji u y tego pistoletu, który podobno zawsze ma przy sobie.

Bethany przytakn ła.

- Strzelił raz. Po to, eby zmusi wo nic Edwiny do zatrzymania powozu. Potem tylko nim wymachiwał. Czy kogo z niego zabił? - spytała.

- W ka dym razie nic o tym nie słyszeli my. Ale te nikt dot d nie był na tyle nieroztropny, by mu si sprzeciwi .

- Nikt z wyj tkiem naszej Bethany. - Gospodyni znów załamała r ce. - Kiedy pomy l , na jakie niebezpiecze stwo si naraziła , nie mog uwierzy , e przyszło ci do głowy co takiego.

- Nie miał prawa do pani broszki, pani Coffey. Nie mogłam pozwoli , by j zabrał. W ka dym razie nie bez walki.

Stary Newton spojrział porozumiewawczo na Geoffreya Lamberta. Ju pierwsze spotkanie z kobietami z tej rodziny, cho były wtedy tylko małymi dziewczynkami, u wiadomiło mu, e wszystkie trzy nie s skłonne do ust pstw, bez wzgl du na okoliczno ci. Siostry Lambert nie bały si nikogo ani niczego.

Bethany stłumiła ziewni cie i odstawiła swój fili ank na stół.

- Naprawd musz si przespa . Obejr „Nieustraszonego” z samego rana.

- Zdołacie przewie ładunek, który miał trafi do Holandii? - spytała Darcy.

Geoffrey odstawił kufel.

- „Nieustraszonego” mo e ponownie wypłyn w morze dopiero po gruntownej naprawie. B dziemy musieli odst pi rejs do Holandii komu innemu. Pomy lałem, e dobrze byłoby spotka si z lordem Alsmeethem. Wszystkie okoliczne lasy nale do niego, tote potrzebujemy jego pozwolenia na wyci cie kilku drzew na budulec.

Bethany nagle si o ywiła.

- Edwina Cannon opowiedziała mi co nieco o młodym lordzie.

Geoffrey uniósł r k .

- Oszcz d mi uwag Edwiny, dziecko. Je li wszyscy wyra zgod , chciałbym jutro posła Newta na spotkanie z lordem.

Bethany przytaknęła z roztargnieniem. Kiedy już ucałowała wszystkich na dobranoc, uwiadomiła sobie, że wcale nie myślała o lordzie Alsmeece, tylko o innym mężczyźnie. O obleczonym w czerń, tajemniczym nieznajomym, którego pocałunek poruszył ją bardziej, niż była skłonna się przyznać.

- Co ty tu robisz? - Bethany odwróciła głowę od toaletki i spojrzała na siostrę, która właśnie nie weszła do jej sypialni.

Darcy zamknęła drzwi i oparła się o nie, cały czas mierząc Bethany wzrokiem.

- O tej porze powinna już spać - napomniała ją Bethany z racji swego starszeństwa.

- Ty także. - Darcy ani drgnęła. - A tymczasem siedzisz tu i przyglądasz się swemu odbiciu w lustrze.

- Ja nie...

- Nie zaprzeczaj. - Darcy jednym susem pokonała dzielnicę jej przestrzeni. - Powiedz mi, co naprawdę się wydarzyło dzisiaj wieczoru. Proszę.

Bethany westchnęła.

- Nic się nie wydarzyło. Władca Nocy mnie pocałował. A potem dosiadł swego wierzchowca i zniknął w ciemnościach.

- Opowiedz mi o tym pocałunku. - Darcy przyglądała się jej spod rzęs.

Bethany niedbale wzruszyła ramionami.

- To był zwyczajny pocałunek.

Darcy, której instynkt mówił coś innego, postanowiła nie dawać za wygraną.

- A on? Nie sprawiał wrażenia zdenerwowanego?

Bethany zaprzeczyła zdecydowanym ruchem głowy, burząc przy tym płomienne loki.

- Zachowywał się tak, jakby miał mnóstwo czasu.

- Czy w jego pocałunku wyczuła gniew?

- Gniew? - Bethany zagł biła si w fotelu. - Nie. Z cał pewno ci nie gniew. Raczej... rozdra nienie.

- Sob ? - Darcy u miechn ła si .

- Tak. I... cał t sytuacj . Zupełnie, jakby ałował tego, co zrobił, ale nie potrafił si wycofa .

- Czy wydał ci si okrutny? - spytała cicho Darcy.

- By mo e poirytowany. Ale nie okrutny. Zwłaszcza wówczas, gdy oddał broszk pani Coffey. To było tak nieoczekiwanie miłe z jego strony. - Pokiwała głow i zerkn ła na Darcy. - Musz si poło y . Ty te . Oczy ci si same zamykaj .

- Tak. Czas do łó ka. Panie z kółka szycia działaj jak najlepszy napar nasenny. - Darcy pochylila si i ucałowała siostr w policzek. - Miała niezwykły wieczór. Jak to si dzieje, e wszystkie podniecaj ce prze ycia spotykaj moje siostry, a ja sp dzam czas na słuchaniu, jak dziadek i Newt opowiadaj wci te same historie o swoich morskich przygodach?

- Kto musi ich słucha - szepn ła Bethany, oddaj c pocałunek. - Poza tym przyjdzie pora i na ciebie.

- Tak. W ka dym razie mam tak nadziej .

Gdy tylko Bethany została sama, odchyliła kołdr na łó ku i uło yła si wygodnie do snu. Jednak sen nie przychodził. Nie potrafiła przesta my le o niebezpiecznym rozbójniku. Przypomniała sobie, jak wygl dał w chwili, gdy ich usta si zetkn ły: był równie oszołomiony, jak ona. I jak smakował. Mroczny jak noc. Tajemniczy. Na moment jego dotyk złagodniał. Tylko na moment. To wystarczyło, by nabrała przekonania, e rozbójnik ałuje swego post pku. A pó niej przedłu ał pocałunek, zupełnie jakby nie chciał go zako czy .

Obróciła si na drugi bok, zdenerwowana kierunkiem, w jakim pod yły jej my li. Był wyj ty spod prawa. Był człowiekiem, który erował na słabo ci innych. Po wi cała mu

stanowczo zbyt du o czasu. Czasu, na który z pewno ci nie zasługiwał. Z drugiej strony, je li miała by uczciwa wobec siebie samej, musiała przyzna , e dzi ki niemu do wiadczyła niezwykłych dozna . Gor co i zimno jednocze nie. I zawroty głowy z pragnienia. Pragnienia, którego nigdy dot d nie czuła. Pragnienia, którego nie potrafiła okre li .

Wreszcie odpłyn ła w sen, ale nie udało jej si wymaza wizerunku Władcy Nocy ze swego umysłu. Nie zdołała zapomnie siły, któr wyczuwała w jego r kach. Nacisku twardego, muskularnego ciała na jej ciało. I tych oczu, czarnych jak noc i pełnych tajemnic.

Lambertowie ko czyli niadanie, gdy usłyszeli turkot kół, a potem trza niecie głównych drzwi.

Na progu jadalni stan ł Newton. Na jego twarzy malowało si zakłopotanie.

- Co si stało, Newt? - Bethany odstawiała fili ank z herbat .

- Wła nie wracam z rezydencji lorda Alsmeetha.

- Dał nam pozwolenie na wyr b drzew, których potrzebujemy do naprawy statku?

- Nawet nie chciał si ze mn spotka , malutka. Przekazał mi przez swego lokaja, e nie jest zainteresowany sprzeda drewna za adn cen . Powiedziano mi, e on rzeczywi cie nikogo nie przyjmuje. Przykro mi, e was zawiodłem.

Bethany zacisn ła usta.

- To nie twoja wina, Newt.

Pani Coffey znieruchomiła z dzbankiem herbaty w r ce.

- Wygl da na to, e Edwina jednak mówiła prawd .

Darcy podprowadziła starego eglarza do stołu i podsun ła mu wie o upieczony chleb, chc c rozproszy jego smutek.

- Co ta głupia g o nim powiedziała?

- e przyjechał do Kornwalii, by si tu ukry .

- Ukry przed czym? - zainteresowała si Darcy.

Jej ciekawo podzielili wszyscy siedz cy przy stole.

- Sp dził jaki czas w wi zieniu Fleet, wtr cony tam za zamordowanie ojca, cho w ko cu wypuszczono go na wolno . A jakby tego było mało, to pono jego ona odebrała sobie ycie. - Gospodyni pu ciła obiegami z biskoptami, po czym dodała: - W ich noc po lubn .

- Co potwornego. - Darcy odsun ła talerz. - Jak my licie, co mogło j skłoni do takiego kroku?

- Mo e kochała innego - rozmarzyła si panna Mellon.

Ta my l przemawiała do jej romantycznej natury. Przez całe ycie wzdychała do Geoffreya Lamberta. Ostatnio zrezygnowała z ubierania si w biel - symbol panie stwa - na korzy bladego ró u i lawendy, daj c tym samym wnuczkom Geoffreya powód do domysłów, e mi dzy tymi dwojgiem wreszcie zaczyna si co dzia .

- Mo e została zmuszona do tego mał e stwa wbrew swojej woli? - panna Mellon dalej snuła swój w tek.

- Tak dzieje si cz sto - mrukn ła gospodyni, obchodz c stół z dzbankiem herbaty. - Jednak kobiety nie zabijaj si z tego powodu.

- Mo e zdarzaj si i takie. - Darcy upiła łyk herbaty. - Zwłaszcza je li m czyzna, którego s zmuszone po lubi , jest okrutnikiem.

Przy stole zapadła cisza. Bethany spojrzała na dziadka.

- Teraz trzeba pomy le , gdzie znajdziemy kogo , kto sprzeda nam drewno na napraw statku.

Geoffrey skin ł głow .

- Newt i ja popytamy w wiosce. Mo e kto słyszał o wła cicielu ziemskim z dalszych okolic, który ma to, czego potrzebujemy. - Wstaj c od stołu, dodał: - Wstyd, e to miłe miejsce jest teraz skazane nie na jednego, ale na dwóch

niegodziwców. Jeden lord, drugi władca. - Widz c ich pytaj ce spojrzenia, rzucił: - Władca Nocy.

Wybuch miechu rozładował napi cie.

Bethany pod wpływem słów dziadka znów opadły my li, które próbowała odp dzi przez całą noc. My li o tajemniczym m czy nie, którego dotyk wystarczył, by dr ała targana nieznanymi dot d pragnieniami.

Kane Preston stał na balkonie swej sypialni i patrzył na krajobraz rozci gaj cy si poni ej, ale tak naprawdę go nie widział. Do niedawna zakładał, e w miejscu, w którym sp dził tyle szcz liwych lat dzieci stwa, znajdzie spokój. Ale nie zaznał pociechy. Ani w łagodnie faluj cych, zachwycaj cych zielonych wzgórzach. Ani w chłodnym lesie. Ani na skalistym wybrze u. Dom, który niegdy rozbrzmiewał miechem, teraz drwi! sobie z niego cisz . U wiadomił sobie, e przygniata go cierpienie. Dok dkolwiek si udał, odczuwał ból i widział twarze tych, którzy go zadali.

Powinien wiedzie , e nie ma dla niego ulgi. Nawet karygodne post pki, w których kiedy znajdował pociech , teraz wydawały si tylko głupimi, pustymi gestami.

Słysz c pukanie do drzwi, westchn ł i odwrócił si . Pies u jego nóg warkn ł ostrzegawczo. Poło ył dło na jego łbie.

- Wej .

Drzwi otworzyły si i do rodka wszedł lokaj z li cikiem na srebrnej tacy.

- Zaproszenie, milordzie. Na herbat do rezydencji panny Edwiny Cannon. Oznajmiłem posła cowi, e nie składa pan adnych s siedzkich wizyt. Ale ta młoda dama, która musiała si tego dowiedzie ju wcze niej, wykoncypowała sobie, e mo e nakłoni pana do przyj cia zaproszenia, je li poinformuje, e kiedy była zar czona z lordem Silasem Fenwickiem z Londynu. Tym, który zmarł tak niespodziewanie. Chciała te , eby pan wiedział, i jej go ciem



b dzie równie pa ski kuzyn Oswald Preston. - Odchrz kn ł. - Ta młoda dama wydaje si s dzi , e takie fakty jakim sposobem otworz przed ni drzwi, które w przeciwnym razie mogłyby pozosta zamkni te. Czy mam przesła tak odpowied jak zwykle?

Kane zakł ł pod nosem.

- Tak. Wy lij moj stanowcz odmow , Huntley.
- Naturalnie, milordzie.

Słu cy odwrócił si ju do drzwi, gdy nagle Kaneowi przysła do głowy pewna my ł.

- Kiedy jest to przyj cie, Huntley?
- Dzisiejszego wieczoru, milordzie.

Nie skomentował tej informacji ani słowem, wi c lokaj wyszedł z komnaty.

Kane powrócił na balkon i wpatrzył si w senn , mał wiosk w oddali. Nie cierpiał podwieczorków. I nie cierpiał, gdy płaszcyli si przed nim ludzie, na których najwi ksze wra enie robił jego tytuł. Ci sami ludzie, którzy szeptali po k tach i pokazywali go sobie za plecami. Nie t sknił za towarzystwem. Teraz bardziej ni kiedykolwiek pragn ł ulgi w bólu.

Nagle si u miechn ł. Jego plan zacz ł nabiera kształtu. By mo e panna Edwina Cannon wła nie podpowiedziała mu idealne rozwi zanie.

Bethany wbiegła p dem na schody i skr ciła za róg, omal nie zderzaj c si przy tym ze starym Newtonem.

- Spokojnie. - Newt poło ył dło na jej ramieniu. - Gnasz jak statek podczas burzy. Czy by gonił ci rój szerszeni, malutka?

- Gdybym miała jaki wybór, wołałabym szerszenie - mrukn ła przez zaci ni te z by.

- To zabrzmiało powa nie. - Stary eglarz u miechn ł si . - Kiedy wygl dasz tak jak teraz, zwykle ma to co wspólnego z Edwin Cannon.

- Ta głupia g wydaje dzi podwieczorek, a pani Coffey w moim imieniu przyj ła zaproszenie.

.- A co z Darcy?

- Twierdzi, e ma katar. Doskonała wymówka.

- A ty jeste w ciekła, e nie pomy łała o tym pierwsza, prawda? - W oczach starego zapaliły si iskierki.

- Tak. A teraz nie mam innego wyj cia, jak si tam uda , a dziadek b dzie mi towarzyszył w charakterze opiekuna.

- Przynajmniej b dziesz miała z kim porozmawia - zauwa ył ze miechem.

- Gdyby „Nieustraszony” został naprawiony, nie potrzebowałabym wymówek. - Bethany zmarszczyła czoło. - To tylko jeszcze jeden powód, by nie cierpie tego wyniosłego lorda Alsmeetha.

- Zadziwiają ce, mała. - A pokr cił głów , widz c jej min . - Obwiniasz lorda nawet o podwieczorek Edwiny.

- Gdyby „Nieustraszony” nadawał si do spuszczenia na wod , byłabym teraz w połowie drogi do Holandii, a przy odrobinie szcz cia po drodze napotkałabym paru piratów.

Starszy m czyzna odwrócił si , ale nim ruszył w swoj drog , zawołał przez rami :

- Gdyby biedna Edwina Cannon wiedziała, e wolałaby stoczy walk z piratami, ni zło y jej wizyt , to...

- Tak. To szczerza prawda. - Bethany zachichotała, po raz pierwszy odk d usłyszała, e powinna uda si na ten nieszcz sny podwieczorek, i ju weselsza weszła do swego pokoju, by si przebra .

Podczas jazdy powozem do wioski siedziała obok dziadka, pocieszaj c si , e jako przetrwa t wizyt . To przecie zaledwie par godzin. Wystarczy tylko si u miecha , od czasu do czasu przytakn i pozwoli głupiej Edwinie wszystkich

kokietowa , jak zwykle. Miała nadzieję , że nie zabawi tam długo. Wieczorem namówi dziadka na partyjkę szachów albo wybierze się na przejażdżkę po plaży na swojej rozbrykanej klaczy o imieniu Lacey.

- Jesteś dziwnie cicha, Bethany. - Dziadek uśmiechnął się pobłażliwie. Wiedział, jak wnuczka nienawidzi tych wszystkich spotkań towarzyskich, na których zmuszona jest prezentować maniery dobrze urodzonej panny.

- Tak, dziadku. Wciąż myślę o podwieczorku. Jestem przekonana, że Edwina potrafi wypełnić każdą chwilę ciszy brzmieniem własnego głosu, który przypomina mi skrzeczenie sów w stajni.

- Hm, całkiem trafne porównanie.

Oboje jeszcze się mieli, kiedy powóz zatrzymał się na dziedzińcu przed rezydencją Cannonów. Stary Newt zeskoczył z kozła i pomógł im wysiść.

Bethany nachyliła się ku niemu.

- Masz szczęście, Newt. Zostaniesz tu i będziesz grał z innymi w karty.

- Tak, malutka. - Mrugnął. - I popijał piwo. Nie ma tu nikogo, na kim chciałoby się zrobić wrażenie.

- Tam też nie. - Spojrzała na okna rezydencji rozjarzone blaskiem wiec. - Zostawiam to Edwinie, która ma o sobie tak wysokie mniemanie, że zapewne uważa, iż wszyscy mieszkańcy Lands End marzą tylko o tym, by przebywać w jej towarzystwie. A tak naprawdę jedyny powód, dla którego tu przyszli, to chęć zobaczenia kuzyna lorda, ponieważ sam lord odmawia opuszczenia swej posiadłości i zadawania się ze zwykłymi ludźmi.

Położyła dłoń na ramieniu dziadka i skierowała się na schody. Szedł po jej minie, postronny obserwator mógłby pomyśleć, że idzie na szafot. Towarzyszący jej starszy pan cichutko zachichotał.

Kiedy weszli do domu, dobiegły do nich podniesione głosy i miech. Nad wszystkim dominował wysoki, przenikliwy głos Edwiny. Bez wątpienia raczyła go ci najnowszymi plotkami.

Bethany wyprostowała plecy i wkroczyła do salonu. Za nią dreptał dziadek. Edwina królowała w odległym kącie salonu. Wśród starannie dobranych gości krążyły pokojówki z tacami piwa, herbaty i ciasteczek, a gospodyni przy jej boku służyła jak wyjątkowo barwną opowieść, którą skupiła na sobie uwag zebranych.

- To był przerażający potwór. Cały na czarno. Z czarnym pistoletem, którym nam groził. Wszyscy dreszczem ze strachu, tylko ja jedna zdobyłam się na odwagę i rozkazałam mu, by natychmiast zostawił nas w spokoju.

Zachwycony tłumek wydał zbiorowy okrzyk podziwu.

- Cóż za miały postępek, Edwino! - zakrzyknął jeden z młodych dżentelmenów.

Rozpromieniła się.

- To prawda. Ale ta spontanicznie miała mnie drogo kosztować. Przez zemstę skradł pierścienie, który dostałam od mego ukochanego Silasa i pozbawił mnie fortuny w złocie i biuterii. - Na moment zapadła w pełne bólu milczenie, przerwane jedynie westchnieniem.

- Jesteś pewna, że nie zapomniała o paru szczegółach, Edwino?

Na dźwięk głosu Bethany, leciutko ochryplego pod wpływem gniewu, Edwina raptownie uniosła głowę.

- Nie zauważyłam, kiedy weszła.

- Nietrudno się tego domyślić. - Niemal trzęsła się ze złości. Ta głupia kobieta nie ozdobiła swą opowieść tyloma kłamstwami, jak ona by w tym, i mówiła o tamtym wydarzeniu.

- O niczym nie zapomniałam. Właśnie nie dochodziłam do najważniejszego. - Edwina zwróciła się do pozostałych gości z

min wyrażać triumf. - Władca Nocy skradł Bethany pocałunek. Moście sobie wyobrazić jej usta złęczone z ustami takiej bestii?

Tłumek zamilkł, wpatrzony w Bethany. Miny go ci wyrażały zarówno szok, jak i obrzydzenie. Kilku młodych mężczyzn ujrzało ją w całkiem innym świetle. Dostrzegła wyraz ich oczu i poczuła się zhańbiona.

Zakłopotana, odwróciła się do wyjścia, ale powstrzymała ją głos Edwiny.

- Zaczekaj. Jeszcze nie poznała naszego honorowego gościa. - Edwina władczo wsunęła rękę pod ramię nieskazitelnie ubranego młodego człowieka, którego aksamitne spodnie za kolana i koszula z koronkową krawędzią były ostatnim krzykiem londyńskiej mody. - Oswaldzie Prestonie - głos jej drżał z przejęcia - chciałabym przedstawić ci kapitana Geoffreya Lamberta.

- Kapitanie. - Wyciągnęła rękę, którą Geoffrey ucałował.

- Milordzie.

Młody mężczyzna uśmiechnął się.

- Niestety, ten tytuł przysługuje mojemu kuzynowi, Kaneowi. To on jest tym bogatym, utytułowanym Prestonem. - Oswald uśmiechnął się do zebranych. - Ja jestem tylko ubogim krewnym.

- Ubogim, dobre sobie. - Edwina popatrzyła mu w oczy z uwielbieniem. - Mówiono mi, że jesteś właśnie ciciem jednej z najpiękniejszych rezydencji w Londynie.

Oswald odpowiedział jej znaczącym spojrzeniem. Nie darmo cieszył się opinią mistrza w sztuce uwodzenia. Położył dłoń na jej dłoni i cisnął ją najdelikatniej, jak potrafił, po czym zwrócił się do Geoffreya Lamberta.

- Zdaje się, że rozmawialiśmy o moim kuzynie.

- H? - Geoffrey przytknął złocony wtrząsacz do ucha. - Mylił pan, że co tu zginie?

- O moim kuzynie, sir, jeżeli łaska.

- A, laska. Nigdy jej nie używam. - Starszy pan wskazał na swoje stopy. - Wciąż mam dwie sprawne nogi. Ale za to mam kłopoty ze słuchem.

- Och, nie musi mi pan tego mówić.

Oswald i Edwina popatrzyli znacząco na siebie, co miało taki skutek, że Bethany zrobiła groźny min, kiedy Edwina zwróciła się ku niej.

- A oto wnuczka kapitana Lamberta, Bethany.

- Panno Lambert. - Oswald pochylił się nad dłońmi Bethany, muskając ją ustami. - Mieszka pani tutaj, w Lands End?

Nie musiała odpowiadać, bo natychmiast rozległ się piskliwy głos Edwiny.

- Nie mieszkaj w samej wsi, ale w dość osobliwym domu, który nazywają MaryCastle.

Oswald patrzył na nią w taki sposób, że poczuła się wyjątkowo nieswojo.

- Ma pani ochotę na słodycze, panno Lambert?

- Nie, dziękuję. - Nieco dobitniej dodała: - Jeśli mi państwo wybaczą, wyjdę zaczerpnąć powietrza.

Rozmyślnie odwróciła się plecami do towarzystwa, przeszła przez salon i wyszła do ogrodu.

Zaczerpnęła kilka głębokich wdechów, po czym ruszyła dalej, a doszła do kamiennej ławeczki. Nie potrafiłaby powiedzieć, kto zirytował ją bardziej. Niemniej Edwina Cannon czy Oswald Preston, kuzyn lorda Alsmeetha, z tymi swoimi gładkimi manierami. Tacy jak on zawsze działali jej na nerwy. Nieodmiennie odnosiła wrażenie, że skrycie mieli się z ludźmi, którzy zabiegali o ich towarzystwo.

Wdychała delikatny zapach róż i czuła, że zaczyna się odprężać. To wszystko nie miało dla niej znaczenia. Nic jej nie obchodziło Edwina ani jej pompatyczność. Spędziła trochę czasu w ogrodzie, potem wróciła do salonu, odnajdzie dziadka i namówi go do powrotu do domu. Wciąż ma szansę na

wieczorn konn przeja d k . Skoro nie mo e wy plyn na morze, poczu wiatru we włosach i smaku slonej mgietki na wargach, zadowoli si dzikim galopem wzdlu pla y.

Pogr ona w my lach, nie spostrzegla wynurzaj cej si z ciemno ci postaci. Kiedy poczula dlo na ramieniu, zerwala si na rowne nogi i napotkala spojrzenie ciemnych, przenikliwych oczu Wladcy Nocy. Mial na sobie ten sam stroj co poprzednio l cznie z czarnym kapeluszem nasuni tym gl boko na czo lo.

- Wybacz mi, Bethany. Jak widz , zn ow ci przestraszylem.

Tak jak poprzednio mowil zdlawionym szeptem, ktory jako dziwnie dzialal na jej zmysly.

- Dlaczego... tu jeste ? - Zmru yla oczy, nagle pojmuje c. - Przybyle okra go ci Edwin Cannon.

W jego oczach dostrzegla u miech.

- Sami si o to prosz . Zwlaszcza wtedy, gdy z tak gorliwo ci pyszni si swoim bogactwem. Prosz , zaspokoj moj ciekawo . Co robisz tutaj, w ogrodzie? Nie bawisz si dobrze na przyj ciu u panny Cannon?

- Nieszczegolnie.

- Dlaczego?

Odwrócila si plecami.

- Nie twoja sprawa.

Zacisn l dlo na ramieniu Bethany, nie pozwalaj c jej odej . Wyczuwala sil w tych palcach.

- Postanowilem uczyni to moj spraw .

Poczula dreszcz przebiegaj cy wzdlu kr goslupa. A cho wiedziala, e powinna walczy albo ostrzec krzykiem pozostalych go ci, po prostu stala bez ruchu. Ale nie odwracala glowy.

- Ja tam... nie pasuj . Przypuszczam, e tak b dzie zawsze.

Uslyszala jego miech, cichy i niski. Dziwne, ale w tym momencie jej cia lo oblat ar.

- To wszystko? Powinna byś być zadowolona z tego, że nie pasujesz do tych pawów.

- Dlaczego tak ich nienawidzisz?

Przyjmięło to pytanie z uśmiechem.

- Ja ich nie nienawidzę, Bethany. Chcę ich tylko czegoś nauczyć.

- Nauczyć?

- Żadne ich złoto i klejnoty nie są niczym istotnym. Bez nich są po prostu ludźmi. Jedni dobrzy, inni zły. Nawet bez bogactw ich życie toczy się dalej. Niestety, rzadko się uczą. Odczuwają rozpaczliwą potrzebę dalszego gromadzenia tego, czego i tak mają pod dostatkiem.

Zwróciła ku niemu twarz.

- A ty uważasz, że zasługujesz na ich bogactwa bardziej niż oni?

- Czy tak o mnie myślisz?

- Ja nie... - Przełknęła ślinę, zastanawiając się, skąd u niej te wszystkie dziwne uczucia. Powinna się bać i czuć odrazę do tego rabusia, ale jego dotyk nie był ani odrażający, ani groźny. Odwróciła się do Władcy Nocy plecami. - Nie wiem, co mam myśleć.

- A więc nie myśl wcale. - Zaciśnięto dłoń na jej ramionach i przyciągnięto do siebie.

Musiał zsunąć chustę, bo przy uchu poczuła jego ciepły oddech. Całe jej ciało przeszył dreszcz rozkoszy, gdy tajemniczy rozbójnik wyszeptał:

- Tamtej nocy, kiedy ci pocałowałem, Bethany, domyśliłem się, że jesteś inna niż kobiety, które znałem do tej pory. Twoja odwaga, energia, siła woli sprawiają, że jesteś z nich nie przypominasz.

- Przestań. Nie wolno ci mówić takich rzeczy.

Próbowała się wyrwać, ale on zaciśnięto dłoń mocniej, trzymając ją wbrew jej woli.



- Musz przyzna , Bethany, e jeszcze nigdy nie zdarzyło mi si spotka kobiety, która obraziłaby si , słysz c taki komplement.

- Komplement? - Pokr ciła głow tak energicznie, e jej włosy zata czyły na ramionach. - Nazwałabym to pochlebstwem, skoro pochodzi od ciebie.

- Nawet złodziej potrafi rozpozna diament w gar ci szkiełek. A ty, Bethany, jeste klejnotem wartym królewskiej ceny.

- Widz , e władasz słowami równie dobrze, jak pistoletem.

Za miał si cicho.

- Nie chcesz uwierzy , e jeste wyj tkowa? Jak mam ci to udowodni ?

- Mo esz mnie natychmiast pu ci .

Ku jej zdumieniu opu cił r ce i cofn ł si o krok. Przeszył j dziwny chłód. Zwróciła ku niemu twarz. Jego twarz pozostała skryta w cieniu.

- Jestem, jak widzisz, twoim pokornym sług , Bethany.

- Je li jest tak w istocie, w takim razie opu to miejsce, nie niepokoj c zgromadzonych go ci.

- Tego nie mog uczyni nawet dla ciebie, uroczą damo.

Pochylił si i przywarł do jej ust. Poczuela nagłe ukłucie w sercu i wyci gn ła r k , chc c zachowa równowag . Jej dło napotkała muskularny, twardy jak ciana tors. Bethany zadr ała.

W zamierzeniu miał to by krótki pocałunek. Ale gdy ju dotkn ł jej ust swoimi, nie potrafił si opanowa . Musiał si gn po wi cej. Była tak słodka i wie a, jak letni ogród. I całkowicie niewinna, co do tego nie miał cienia w tpliwo ci. To tylko dodawało jej wdzi ku. Przez chwil był dził wargami po jej ustach, napawaj c si ich smakiem. A potem z westchnieniem gwałtownie j obj ł i zacz ł całowa .

Bethany z pocztku instynktownie chciała si broni . Zacisn ła dłonie w pi ci... i nagle znalazła si w najbardziej zadziwiaj cym wirze dozna . Bez udziału wiadomo ci otworzyła dłonie. Palce zacisn ła na gorsie koszuli Władcy Nocy i trzymała si go tak kurczowo, jakby zale ało od tego jej ycie.

Nagle wszystkie my li j opu ciły. Wargi, ciepłe i stanowcze, przesuwaly si po jej wargach powoli, z namysłem, jakby nie mógł si nacieszy ich smakiem. Usłyszała westchnienie, ale nie potrafiłaby powiedzie , czy to westchn ła ona, czy on. Wiedziała tylko, e jego dłonie, te du e, zr czne dłonie pieszczotliwie gładziły jej plecy, zostawiaj c ogniste piecz cie. I cho mogłaby si cofn , nie zrobiła tego. Stała jak przykuta do miejsca, wystawiona na atak najdziwniejszych dozna .

Było jej gor co. Tak gor co, e miała wra enie, i jej ciało płonie. I zimno. Lodowe igiełki przebiegały wzdłu kr gosłupa, wywołuj c rozkoszne dreszcze. Była tak skonfundowana, e nie potrafiła zebra my li. Miała zamkni te oczy. Otworzyła je powolutku i zobaczyła, e Władca Nocy j obserwuje, składaj c pocałunki na jej skroni, policzku, w k ciku ust. A potem znów nakrył wargami jej usta, a ona wtuliła si w jego ramiona.

Cudownie było na ni patrze . Wszystkie jej uczucia odmalowały si w tych pełnych wyrazu oczach. Oczach tak zielonych, jak gł bokie jeziora chłodnej wody. Z łatwo ci odczytał w nich zaskoczenie, potem ch stawienia oporu, a pó niej budz ce si po danie. Jeszcze nigdy nie do wiadczył czego takiego.

Diabeł, który w nim siedział, nakłaniał go do dalszych pocałunków, a oboje stracili rozs dek. Musiał przywoła cał sił woli, by to przerwa .

Kiedy w kościu uniósł głowę, Bethany gwałtownie zaczerpnęła powietrza. W głowie jej się kręciło. Była oszołomiona, ale zdecydowana zachować godność.

- Nie miała prawa.

Zbił ją z tropu, przyznajcie słuszność.

- Najmniejszego.

Choć jej serce waliło jak młotem, zdołała wyrwać się z zaklętego kręgu objęcia Władcy Nocy.

W zielonych oczach dostrzegł gniew. I co jeszcze. Choć zaprzeczyłaby temu, głowę by dała, ale widział w nich budzić się namiętność. Namiętność, która wydawała się czekać, a przywołała ją do życia jęczył pocałunek.

W tym momencie zdał sobie sprawę, że wcześniej czy później będzie musiał ją znów pocałować. Bo chciałby tym, który doprowadził ją do nieuniknionego finału.

- Wprawdzie nie zamierzam odejść, zanim nie uwolnię go od ich kosztowności, ale zapewniam ci, że tobie nic nie grozi, Bethany. Po prostu zostań tu, w ogrodzie, póki nie odjadę.

Zanim zdobyła się na odpowiedź, już szedł szybkimi krokami przez ciemność w kierunku wiateli i miechu.

Po kilku sekundach odzyskała panowanie nad sobą. Wówczas, uwiadomiacz sobie, że w rodoku jest dziadek, zaczęła biec.

Kiedy dotarła do otwartych drzwi, było już za późno. Na odgłos wystrzału zebrani wpadli w panikę. Kobiety szlochały. Niektóre, w tym Edwina i jej matka, już zdygotały zemdlały. Mężczyźni skupili się w rogu salonu, a rozbójnik obchodził gościa po kolei, konfiskując złoto i biuteria.

Gdy podszedł do Geoffreya Lamberta, starszy pan chwycił wiecznik i wymachiwał nim jak mieczem.

Na ten widok stojąca w progu Bethany zawołała:

- Nie, dziadku!

Na d wi k jej głosu rozbójnik zwrócił si ku drzwiom, po czym odwrócił si ponownie, w sam por , by spostrzec, jak starszy pan gwałtownie zamachn ł si wiecznikiem. Uchylił si , a nast pnie zszedł mu z drogi.

- Podziwiam pa sk odwag , sir - powiedział tym swoim przenikliwym szeptem. - Jak pana godno ?

- Kapitan Geoffrey Lambert.

- Lambert. A ta dzika kotka to pa ska wnuczka? Geoffrey u miechn ł si mimo woli.

- Tak. Wła nie tak.

- Wida , e oboje jeste cie ulepieni z tej samej gliny, sir. - Skłonił si nisko, po czym odwrócił si i poszedł ku drzwiom, w progu przystan ł, by oznajmi :

- Władca Nocy dzi kuje wam za wasz hojno .

Na oczach zaskoczonego tłumu uniósł dło Bethany do warg, a po chwili znikł w ciemno ciach.

## ROZDZIAŁ TRZECI

- Cała wie mówi o wczorajszym podwieczorku u Edwiny. - Pani Coffey obeszła stół, nalewaj c herbat .

- Gdybym był młodszy... - mrukn ł Geoffrey.

- Byłe wspaniały, dziadku. - Bethany zwróciła si do pozostałych domowników. - Dziadek jako jedyny w całym towarzystwie próbował powstrzyma złodzieja. Je li sobie przypominasz, dziadku, Władca Nocy pogratulował ci odwagi.

Winnie rozpromieniła si .

- Jakie to szlachetne z twojej strony, Geoffreju. Starszy pan u miechn ł si i nakrył jej dło swój .

Pani Coffey oznajmiła:

- Pokojówka Edwiny powiedziała naszej Libby, że on nawet pocałował cię w rękę.

Bethany spłonęła rumieńcem. Gdyby wiedzieli, co zaszło w ogrodzie tuż przed napadem, byłiby zszokowani. Prawdą mówi ci, że jeszcze była skonsternowana swoim własnym zachowaniem. Długo w noc, kiedy już wszyscy poszli spać, leżała bezsennie, przetrawiając każde słowo, każde minutę. W końcu doszła do wniosku, że chwilowo odebrało jej zdrowy rozsądek. Co innego mogłoby tłumaczyć jej zachowanie? Zapomniała o wszystkim, czego nauczyła się na kolanach swej surowej pani. Pozwoliła zwykłemu rozbójnikowi na tak poufałość. Prawdą mówi ci, nawet jej się to podobało.

- Jesteś dziękuję wyjątkowo cicha. - Darcy zerknęła na siostrę. - Czy to dlatego, że ten wyrzutek skompromitował cię na oczach przyjaciół?

Zanim Bethany zdołała odpowiedzieć, rozległo się pukanie do drzwi. Do pokoju wbiegła młodzianka pokojówka o imieniu Libby, całkiem bez tchu, ze zwitkiem pergaminu w dłoni.

- Przybył posłaniec z wiadomością od lorda Alsmeetha, kapitanie Lambert. Polecono mi, żeby poczekał na odpowiedź.

Geoffrey rozwinął rulon, przeczytał list, po czym powiódł wzrokiem po zebranych.

- Lord życzy sobie, żeby Bethany przybyła dziś do jego posiadłości w związku z kupnem drewna.

Spojrzenia zebranych zwróciły się na Bethany, która była równie zdziwiona, jak i oni.

- Jesteś pewny, że lord chce widzieć się z nami w tym momencie, dziadku?

Podał jej list. Kiedy go przeczytała, spytał:

- Ciekaw jestem, co sprawiło, że zmienił zdanie?

- Nie mam pojęcia, dziadku. - Odsunęła krzesło, podeszła do dziadka i pocałowała go w policzek. - Wiem jedno. Nie wolno nam odrzucić takiej okazji.

- Tak, dziecko. Całkowicie się z tobą zgadzam.

Winifred Mellon wygięła się na przód.

- To niewłaściwe, żeby młoda dama przebywała sama z młodym, utytułowanym dżentelmenem.

- Mogę ci zapewnić, Winnie, że lord Alsmeech nie chce mnie uwieść. Chce omówić sprawę sprzedaży drewna.

- Skąd wiesz?

Bethany ze miechem ruszyła ku drzwiom, by porozmawiać z posłańcem.

- Z tego, co o nim słyszałam, zależy mi jedynie na tym, żeby zostawiono go w spokoju. Jeśli chodzi o mnie, jego życzeniu stanie się zadość, gdy tylko zgodzi się na sprzedaż drewna.

Niebawem usłyszała pukanie do drzwi swego pokoju. Gdy uniosła głowę, zobaczyła stojącego w progu Darcy.

Na widok stroju siostry uśmiech Darcy znikł.

- Chyba nie zamierzasz ubrać się w to na wizytę w rezydencji lorda, prawda?

Bethany spojrzała na prosty biały bluzk i szarą talię i granatową spódnicę.

- Co ci się nie podoba w moim stroju?

- Nic. Jeśli chcesz się zatrudnić jako służąca. Ale jeśli zamierzasz ożenić się na tyle, by zgodził się sprzedać nam swoje drewno, radziłabym, żeby ubrała się w coś nieco bardziej... wyszukanego.

- Uważasz, że powinnam wystroić się w najlepszą suknię?

Na widok przerażenia na twarzy siostry Darcy parsknęła miechem.

- Och, Bethany. - Objęła ją ramieniem. - Oczywiście, że nie. Myśl jednak, że mogłabyś założyć coś lepszego niż ten stary łań.

- Nie zamierzam robić wrażenia na lordzie Alsmeech. Wybieram się tam w interesach.

Darcy uśmiechnęła się.

- Chyba nic by się nie stało, gdyby do tych interesów włączyła ładną sukienkę, prawda?

Bethany odwróciła się i przyjrzała swemu odbiciu w lustrze. Bardzo się napracowała, żeby ułożyć masę rudych loków w ciasny kok. Skromna góra była zapięta pod sam szyję. Prosta, ciemna spódnica sięgała czubków czarnych trzewików z kołnierzykiem skóry.

- Ten strój pasuje do celu, który chcesz osiągnąć. Nie zamierzam się przebiegać. Zwłaszcza dla mężczyzny, który nie wywiadczył Newtonowi nawet prostej uprzejmości przywitania się. - Chwytna szal i skierowała się ku schodom.

Darcy tłumaczyła się, dodała:

- Winnie wci przeżywa, a sama jedziesz do rezydencji lorda. Owiadczyła, że to nie jest w porządku i zdradza się, że lord jest strasznym rozpustnikiem.

- Załóż się, że ten rozpustnik jest brzydszy od ropuchy i ani w połowie tak niebezpieczny.

Schodząca po schodach, obydwie chichotały.

- Jeszcze jedno. - Darcy gładko zmieniła temat. - Postaraj się zobaczyć jak najwiśksze posiadło ci, żeby mogła nam wszystko opowiedzieć po powrocie.

- Naturalnie. Zrobi, co będzie mogła. Choć spodziewam się, że posiadło odzwierciedla charakter tego, kto w niej mieszka. Na pewno jest ciemna, posępna i nieciekawa.

Na dziedzińcu stał już powóz gotowy do drogi.

- Dzień dobry, dziecinko - powitał Bethany Newton.

- Dzień dobry, Newt. - Przyjął jego pomoc przy wsiadaniu do powozu i ułożyła się wygodnie na poduszkach.

Zajął miejsce na kole i ujął lejce. Gdy ruszyli z miejsca, zauważył:

- Punktualna jesteś, malutka. Nie możesz się doczekać ujrzania posiadła ci lorda, prawda?

- Nie mog si doczeka , by kupi jego drewno.  
- C6 , kiedy si tam znajdziesz, powinna si dobrze rozejrze wok6l, dziecinko. Opactwo Penhollow to jedna z, najpi kniejszych rezydencji w Kornwalii. Mo e ju nigdy nie b dziesz miała okazji ujrze jej ponownie.

- To prawda. - Oparła si o zagłówek. - Zwłaszcza gdybym zapomniała o dobrych manierach i powiedziała lordowi, co o nim my l .

- Jeste na tyle m dra, e b dziesz trzyma j zyk za z bami, malutka, dopóki nie usłyszysz, co on sam ma do powiedzenia.

Przytakn ła i nawet zacz ła si u miecha . Stary Newt miał racj , naturalnie. Trafia jej si rzadka okazja zobaczenia, jak yj bogacze. Przez całe swoje młode ycie wysłuchiwała opowie ci o Opactwie Penhollow. Teraz wreszcie miała okazj sprawdzi , czy to wszystko, o czym słyssała, jest prawd .

Las wydawał si ci gn całe mile. Chłodny, mroczny i wilgotny. Było w nim niewyobra alnie du o drewna. Bethany westchn ła z nadziej , e zdoła nakłoni tego odludka do zmiany zdania. C6 w ko cu znaczy kilka drzew dla kogo , kto ma ich tak du o?

Wtem powóz skr cił i wjechał w dług , kr t alej . Krajobraz zmienił si jak za dotkni ciem ró d ki. Bethany rozgl dała si wok6l ze zdumieniem. Zamiast popl tanych chaszczy i g stej ciany drzew, jak okiem si gn ci gn ły si zachwycaj ce, starannie utrzymane ogrody i rozległe trawniki ozdobione dekoracyjnymi fontannami. Dojrzała nawet staw, na którym z i cie królewskim dostoje stwem unosiła si para łab dzi.

Gdzie spojrzeła, widziała ludzi przyszygaj cych wyploty i poleruj cych kamienne fontanny. A kiedy zza kolejnego zakr tu wyłonił si dom, a otwarła usta ze zdziwienia.



Nie był to właściwie dom, raczej pałac. Zbudowany z lekkiego, ółtawego kamienia, l ni cego w blasku porannego sło ca, wznosił si na wysoko dwóch pi ter. Z dachu sterczały stare, kamienne wie yczki strzelnicze. Na najwyszym pi trze pomie ciłaby si cała armia, a jeszcze i tak zostałoby troch miejsca.

Przed domem rozci gał si uroczy, kamienny dziedziniec, który prowadził do dwuskrzydłowych, d bowych drzwi. W chwili gdy powóz si zatrzymał, drzwi szeroko si otworzyły i na zewn trz wyszła drobniutka, siwa kobieta.

- Panna Lambert?

- Tak. - Newton pomógł Bethany wysi z powozu.

- Jego lordowska mo oczekuje pani. - Kobieta marszczyła brwi i wykr cała palce, najwyra niej zdenerwowana. - Nazywam si Dove i jestem gospodyní w Opactwie Penhollow. - Zwróciła si do wysokiego, imponuj cego m czyzny w nieskazitelnej, ciemnej liberii, który wła nie wyszedł z domu. -A to Huntley, lokaj jego lordowskiej mo ci. Zaprowadzi pani do rodka.

- Panno Lambert. - M czyzna powiódł po niej wyniosłym spojrzeniem, po czym odwrócił si , wyra nie zdegustowany. - Prosz za mn .

Bethany zwróciła si do gospodyní.

- Nie wiem, ile czasu przyjdzie mi tu sp dzi . Mo e mogłaby pani zatroszczy si o mego przyjaciela i wo nic , Newtona Findlaya. Za nami długa jazda, a jeszcze czeka nas droga powrotna.

- Zatroszczy si ? - Na twarzy starszej kobiety odmalowało si zaskoczenie, ale po chwili opanowała si i skin ła głow , a jej rysy odrobin złagodniały. - Oczywiście, panienko. - Odwróciła si do Newtona. - W takim razie prosz za mn . Nalej wam herbaty i dam co do jedzenia, a słu cy zajmie si koniem i powozem.

- Dzi kuj pani. - Newton pu cił oko do Bethany.

Zadowolona, odwróciła się i poszła za lokajem do rodka.

Choć udawało jej się nadążyć za jego energicznymi krokami, wchodząc po schodach, nie potrafiła się powstrzymać od kręcenia głową na prawo i lewo.

Ogród i fontanny robiły wrażenie, lecz w trzech Opactwa Penhollow okazało się niecałkowicie przepiękne. Rzeźbione drewniane schody wypolerowano na wysoki połysk. Z sufitu w holu zwisała girlanda obwieszona setkami kryształów i przynajmniej tyłoma płonącymi świecami. Ściany zdobiły wytworne gobeliny. Hol na pierwszym piętrze był obwieszony portretami szlachetnie urodzonych mężczyzn i kobiet, którzy niegdy zamieszkiwali to miejsce. Mijała ich wizerunki, łowiła wzrokiem pełne wyświeczone miny i zamknięte spojrzenia. Zapewne obecny mieszkaniec tego domu odziedziczył równie wyniosłość swoich przodków.

Lokaj zatrzymał się przed zamkniętymi drzwiami, zapukał, po czym uchylił klamkę i otworzył drzwi, oznajmił:

- Przyszła panna Lambert, milordzie.
- Dziękuję ci, Huntley. Wprowadź ją.

Starszy mężczyzna odsunął się na bok i Bethany weszła do rodka.

W komnacie rozległo się ostrzegawcze warczenie, które nieco ją spłoszyło, ale szybko ucichło.

W pokoju było tak mroczno, że przez chwilę nic nie widziała. Okna zasłaniały ciężkie draperie, a płonące na kominku ognie pojedynczo wieca na biurku stanowiły źródło światła.

W końcu zdołała wyłowić z mroku psa przypominającego wilka, który jej się przywiliźnił i wlepił w nią łaskawe spojrzenie.

Kane Preston siedział za biurkiem. Na pierwszy rzut oka sprawiał wrażenie zasmuconego. Ale jego spojrzenie było pełne zaniepokojonego. Ale odruch współczucia przyszył jak mydlana bąbelka, gdy Bethany poczuła na sobie zimne spojrzenie lorda.

- Witam w Opactwie Penhollow, panno Lambert. - W jego głosie dawało się wyczuć pewno siebie i lekkie znudzenie.

- Dziękuję, milordzie.

Spojrzał na lokaja.

- Powiedz pani Snów, aby przysłała herbatę.

- Słucham, milordzie.

Kiedy drzwi się zamknęły, wskazał na krzesło z wysokim oparciem stojące po drugiej stronie pokoju.

- Proszę usiąść, panno Lambert.

Zajęła wskazane miejsce, nieco zdumiona tym, że gospodarz nie podniósł się na jej powitanie. Edwina mówiła o nim jako o młodym lordzie. Skoro wiek nie stanowił przeszkody, to może dlatego, że jest inwalidą?

- Zaskoczył mnie pański list, milordzie.

- Dlaczego?

- Bo z Newtem nie chciał się pan nawet spotkać.

- Z Newtem?

- Z Newtonem Findlayem.

- Naturalnie. To ten marynarz.

- Ten marynarz jest przyjacielem rodziny... póki rekin nie odgryzł mu nogi, pływał z moim ojcem i dziadkiem. Teraz pracuje dla nas w MaryCastle.

- MaryCastle?

- Ojciec nazwał tak dom, który wybudował dla mojej matki. Wczoraj wysłali my Newta do Opactwa Penhollow z pytaniem, czy byłby pan skłonny sprzedać nam trochę drewna potrzebnego do naprawy naszego statku, „Nieustraszonego”. Pan nawet nie chciał się z nim spotkać.

- To prawda, ale przecie nie wiedziałem, że ten marynarz pracuje dla waszej rodziny.

- Dowiedziałby się pan, gdyby uczynił mu pan to grzeczność i się z nim spotkał.

Zmrużył oczy.

- Czy pani mnie łąje, panno Lambert?

Przygryzła warg , przypominaj c sobie rad Newta, eby trzymała j zyk za z bami. Za pó no. Słowa ju zostały wypowiedziane. Teraz nie pozostawało jej nic innego, jak brn dalej.

- Ja... có , chyba tak. To, czy odwiedza pana kto wa ny, czy najskromniejszy mieszkaniec Kornwalii, nie powinno mie adnego znaczenia. Ka dy jest wart chwili pa skiej łaskawo ci, milordzie.

Wpatrywał si w ni w całkowitym milczeniu przez cał minut , po czym spu cił wzrok na le c przed nim otwart ksi g . Podczas gdy Bethany czekała z niepokojem na to, co usłyszycy, zacz ł robi notatki na marginesach.

Przygl dała si twarzy Alsmeetha w migotliwym wietle wiecy. Miał wyniosł , arystokratyczn min , regularne rysy i zmysłowe, pełne usta. G ste ciemne włosy opadały na szerokie czoło. Mo na byłoby go uzna za przystojnego, gdyby nie gorzki grymas, który wykrzywił k ciki ust. Ale to oczy lorda przykuły jej uwag , kiedy tylko unosił głow , sprawiały, e zastygała w bezruchu. Ich spojrzenie było zimne i nieust pliwie.

Cisz panuj c w komnacie od czasu do czasu m ciło syczenie i strzelanie bierwion na kominku. I gło ne dyszenie psa, który wci j czujnie obserwował.

Im dłu ej lord pisał w milczeniu, tym bardziej nieswojo si czuła. Czy by j sprawdzał? Mo e chciał podra ni jej nerwy do ostateczno ci, a potem rozpocz przemow ? A mo e na tyle mało dla znaczyła, e o niej zapomniał?

Poczuła niejaka ulg , gdy rozległo si pukanie do drzwi. Huntley wniósł do komnaty srebrn tac z zastaw do herbaty i umie cił j na stoliku przy biurku.

- Mam nala , milordzie?

- Nie. Dzi kuj , Huntley - odparł Kane, jakby poirytowany, e mu przerwano. - Zaraz si tym zajmujemy.

- Naturalnie, milordzie. - Słuchając wyszedł z komnaty, bezszelestnie zamykając za sobą drzwi.

Kane powrócił do księżki.

Po mniej więcej dziesięciu minutach uniósł głowę :

- Napije się pani herbaty, panno Lambert?

- Tak. Proszę.

Wskazał tacę.

- Mogłaby pani nalewać ?

Skwapliwie skorzystała z tej sugestii. Wreszcie miała się czym zająć. Wszystko było lepsze od przymusowego siedzenia w zupełnej ciszy. Podeszła do stolika i napełniła dwie filiżanki. Jedną chciała podać lordowi, gdy wychylił się ku niemu dłoń z filiżanką, pies zawarczał ostrzegawczo. Bethany zastygła w bezruchu.

- W porządku, Storm.

Słyszając głos lorda, pies uspokoił się i położył na podłodze.

- Czy Storm to wilk?

- Jego pochodzenie jest nieznane. To kundel, ale sądzę, że po jego wyglądzie, ma sporo z wilka - przyznał Alsmeech.

Podawała mu filiżanki. Kiedy ich palce się zetknęły, poczuła nieoczekiwany dreszcz i przestraszyła się, że rozleje herbatę.

- Moje... - Cofnęła się, czując instynktowną potrzebę stworzenia dystansu między nimi i usiadła na krześle naprzeciwko biurka. - Powinniśmy porozmawiać o sprawie, która mnie tu przywiodła.

- Moje.

Uwiadomiła sobie, że intryguje ją wyraz jego oczu. Pewnie tak patrzy kot igrający z myszami.

Odstawił filiżanki i złożył ręce, ani na chwilę nie odrywając badawczego spojrzenia od twarzy Bethany.

- Rozumiem, że przyszła tu pani w sprawie kupna drewna na budulec. Sporo o tym myślałem. Sądzę, że można to załatwić, ale ja ustalić cenę.

Serce zaczęło bić jej żywiej. Bez względu na to, ile zapłaciła lord, trzeba będzie znaleźć jakiś sposób, by zapłacić za drewno. Przez wzgląd na dobro rodziny.

- Czego pan da, milordzie?

- Oto moje warunki, panno Lambert. Po pierwsze, przez cały czas wyrobisz dla pani przyjeżdża wraz z drwalami do mojej posiadłości.

- Mam przebywać w lesie?

- Nie. Tutaj, w Opactwie Penhollow, w moim domu.

Zamrugnęła oczami.

- Z jakiego powodu?

Na jego twarzy nie drgnął ani jeden mięsień.

- Nie muszę podawać powodu, panno Lambert. Jestem lordem.

Ogarnął go gniew. Co za arogancja.

- Co będzie robić w pańskiej rezydencji?

- Będzie mi pani dotrzymywała towarzystwa tutaj, w bibliotece. Może też pani zwiedza dom i ogrody. Po drugie, moim życzeniem jest wypłynąć w rejs na „Nieustraszoną”, gdy tylko zostanie naprawiona. Oczekuję, że będzie mi pani towarzyszyła podczas tej wyprawy.

Jego dania okazały się tak nieoczekiwane, że nie mogła zebrać myśli.

- To... niemożliwe.

- Dlaczego? Chce mi pani powiedzieć, że nie umie pani pływać, panno Lambert?

- Oczywiście, że umiem. Pochodzę z rodziny wioślarzy.

- Wziął głęboki oddech. - Czuj się zobowiązana przypomnieć panu, że „Nieustraszona” to statek handlowy, nie łódź spacerowa.

- Gdybym chciał popłynąć na łodzi spacerowej, zrobiłbym to. Chcę popłynąć na pokładzie waszego statku.

Zmrużyła oczy.

- Dlaczego?

- Ponownie przypominam, e nie musz podawa adnego innego powodu poza tym, e takie jest moje yczenie. Spu ciła głow i wpatrzyła si w swoj fili ank .

- Nie jestem na to przygotowana. Przyszłam tu, by kupi drewno.

Jego głos, niski i gł boki, sprawił, e po jej kr gosłupie przebiegł dreszcz.

- Jestem gotów sprzeda pani to drewno, panno Lambert. Je li uwa a pani moj cen za wygórowan , prosz nie zapomina , e jestem jedyn osob w całej Kornwalii, która mo e pani dostarczy tego, czego pani potrzeba.

Uniosła głow i napotkała jego ciemne spojrzenie.

- Pan da zbyt wiele.

- Zbyt wiele? S dziłem, e prosz o wyj tkowo mało. Drzewa, które chce pani wyci , rosły przez wiele lat. I wiele lat trzeba b dzie czeka , by na ich miejscu wyrosły nowe. - Co na kształt u miechu przemkn ło przez jego usta. - Zawieramy umow , panno Lambert?

Wahała si przez czas krótszy ni uderzenie serca, próbuj c domy li si motywów jego post powania. Wreszcie z wahaniem skin ła głow .

- Zgoda, milordzie. Doskonale pan wie, e musz przyj pa skie warunki. Nie mam innego wyj cia.

Ciemne spojrzenie przesun ło si po twarzy Bethany, a potem utkwilo na jej wargach. Chocia lord si nie poruszył, niemal czuła nacisk jego ust na swoich. Przez całe jej ciało przeszła fala gor ca.

Czas jakby si zatrzymał i Bethany poczuła, e zaschło jej w gardle. Serce przyspieszyło swój rytm. Ogarn ła j dziwna t sknota. Wreszcie zebrała si na odwag i wstała. Nagle onie mielona, odwróciła si i odstawiła pust fili ank na mały stolik.

- Musz ju i . Chciałabym si po egna , milordzie.

- Do jutra, panno Lambert. Oczekuj pani z samego rana.

Szarpnęła za klamkę. W holu czekał lokaj, który towarzyszył jej podczas drogi do powozu. Stary Newton stał już na dziedzińcu.

- Wszystko w porządku, dziecinko? - spytał, pomagając jej wsiąść.

- Tak, Newt.

Przyglądał się jej przez chwilę, zaintrygowany rumieńcami Bethany. Pomyślał, że prawdopodobnie zdenerwowała się i powiedziała rzeczy, których wkrótce będzie dawała.

- Czy by odmówił sprzedaży drewna?

- Nie, Newt. Zgodził się.

Stary mężczyzna rzucił jej badawcze spojrzenie, po czym wdrapał się na koziołki i pociągnął za lejce.

Kiedy powóz potoczył się naprzód, Bethany uniosła głowę i spojrzała na balkon. Był pusty, ale odniosła wrażenie, że tu za zasłonami dostrzeże kogoś, kto obserwuje jej odjazd. Znowu poczuła mrowienie wzdłuż kręgosłupa i uświadomiła sobie, że wcale nie została zmuszona do zawarcia wyjątkowo niezwykłej umowy. Umowy z mężczyzną, który mógł się okazać wcielonym diabłem.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Z chwilą powrotu Bethany do MaryCastle cała rodzina zebrała się w salonie.

- No i jak? - niecierpliwiała się Darcy. - Co powiedział?

- Jest gotów sprzedać drewno, którego nam potrzeba.



- Cóż za wspaniała nowina! - Panna Mellon a zaklaskała w dłonie z radości.
- To prawda. - Geoffrey Lambert wziął dzbanek z piwem i zaczął napełniać kufle. - Trzeba to uczcić.
- Poczekajcie. - Bethany westchnęła. - Nie wiecie jeszcze, na jakie warunki przystałam.
- Warunki? - Darcy spojrzała na pozostałych, po czym przeniosła wzrok na Bethany.
- Do końca wyroku dnia muszę towarzyszyć drwalom do posiadłości lorda.
- I zostawać z nimi w lesie? - Darcy uniosła brwi.
- Nie. Lord dał mi do zrozumienia, że mam przebywać w Opactwie Penhollow, dopóki nie skończą pracy.
- Dziwne. - Geoffrey powiódł wzrokiem po zgromadzonych. Nie uszło jego uwagi, że Winnie zacisnęła usta. - Podał powód?
- Nie. Jest jeszcze coś, dziadku. On chce wypłynąć na „Nieustraszoną” w morze, gdy tylko naprawa dobiegnie końca.
- A to dlaczego? - spytał Geoffrey.
- Bethany wzruszyła ramionami.
- Po prostu ma ochotę popływać. Zdaje się, że lubi egłowa i postanowił skorzystać z naszego statku.
- Nie rozumiem. - Darcy przeniosła wzrok z siostry na dziadka. - Lord Alsmeeth jest właśnie cicielem wielu najpiękniejszych majątków w całej Anglii. Mogłoby sobie pozwolić na kupno całej floty, gdyby miał takie życzenie. Na co mu „Nieustraszona”?
- Czy to ważne? - Geoffrey Lambert znowu popatrzył na zebranych. - Czy nie tego właśnie nie chcieliśmy? Lord daje nam swoje drewno. A jeżeli nawet jest ekscentrykiem, który zapragnął popływać na pokładzie statku handlowego, co w tym złego?

- Nie rozumiesz? - Bethany zniżyła głos. - Co zrobimy, jeśli się zorientuje, że „Nieustraszony” to co innego niż zwykły statek handlowy?

- W jaki sposób miałby się tego dowiedzieć?

Bethany wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Sądzi się, że mógłby okazać się dla nas niebezpieczny, dziadku?

Starszy pan zastanawiał się przez dłuższą chwilę, zanim odparł:

- Myślę, że jeśli zachowamy należytą ostrożność i ukryjemy broń, powinien uznać „Nieustraszonego” za statek handlowy. Moglibyśmy zabrać go na krótki rejs wzdłuż wybrzeża i wrócić przed zmrokiem. Dlaczego miałaby z tego wyniknąć jakaś szkoda?

- On nie sprawia wrażenia naiwnego. Z drugiej strony... - Bethany wzruszyła ramionami - chyba nie mamy wyboru.

- Pozostała jeszcze jedna kwestia do rozważenia. - Geoffrey na chwilę zawiesił głos. - Czy masz coś przeciwko przebywaniu w jego towarzystwie? Pamiętaj, dziecko, że wybrzeże zajmie naszym ludziom kilka dni.

Przyszyły jej na myśl dziwne uczucia, które w niej wzbudził lord Alsmeth. Uczucia, których nie zdołała jeszcze uporządkować i nazwać. Nie tyle strach co... fascynacja. Tak. Przerażająca fascynacja. Bez wątpienia spowodowana przez plotki Edwiny. A potem pomyślała o swojej rodzinie i o tym, że „Nieustraszony” jest dla nich wszystkim źródłem utrzymania.

- Postaram się to jakoś znieść.

- W takim razie od razu pojedź z Newtem do wioski i wynajmiemy drwali, którzy z samego rana przystąpią do wyrębów. - Dziadek poklepał ją po ramieniu. - Dobra robota, Bethany. Ani się obejrzymy, a „Nieustraszony” będzie gotów do rejsu, dzięki tobie.

Po wyjściu obydwu młodych dziewczyn pospieszyła do swego pokoju, gdzie przebrała się w wygodniejszy strój. Wyczerpująca, szybka przejażdżka po plaży na Lacey, o to czego potrzebowała, by rozjaśnić umysł. I rozproszyć niepokój nurtujący ją na myśl o warunkach narzuconych jej przez pewnego aroganckiego arystokratę.

Wydawało się, że witał ją stanowczo za szybko. Kiedy zeszła na dół, wszyscy siedzieli już przy niadaniu. Darcy obrzuciła siostrę krytycznym wzrokiem.

- Kolejny zgrzebnny strój? Co się stało z wszystkimi twoimi ładnymi sukienkami?

- Nie wybieram się na jeden ze snobistycznych podwieczorków Edwiny. Po prostu towarzysz wieśniakom pracującym przy wyrobieniu.

- Powiedziała to tak, jakby zamierzała sama trzymać siekierę - za nią stała Darcy.

- Może i nie. Zdaj sobie jednak sprawę z tego, że moja obecność w opactwie należała do umowy, którą zawarłam z lordem. Chcę wypełnić mój część kontraktu. Skoro nie mówił, jak powinnam się ubierać, bóg się ubiera, jak mi się podoba.

Darcy stłumiła śmiech.

- Czy to ma być jego kara?

- Jeśli chcesz tak to potraktować.

- Powiedz mi - siostra spowaśniała - czy lord Alsmeech jest tak ekscentryczny, jak o nim mówi?

Bethany skinęła głową.

- Tak. Czasami sprawia wrażenie... niemal zasmuconego. Kiedy indziej rozgniewanego. I jest zbyt wyniosły jak na mój gust. Za to jego posiadłość jest jedną z najpiękniejszych, jakie widziałam. - Zwróciła się do pozostałych domowników. - Wszystko, co słyszeliśmy o jego rezydencji, to szczerą prawdą. Dom, a właściwie pałac otaczają cudowne ogrody z fontannami i wszędzie, gdziekolwiek by

spojrze , a roi si e od słu by. Lord yje w takim luksusie, e nawet nie potrafimy sobie tego wyobrazi .

- A ty b dziesz patrze na to wszystko własnymi oczami. - Darcy pochyliła si e ku niej. - Opowiedz nam co jeszcze, Bethany. Jak tam jest w rodku?

- Ładniej ni w pałacu królewskim w Hampton Court. ciany s obwieszane bogato haftowanymi gobelinami, a z sufitów zwisaj wspianałe kryształowe yrandole. Z tego wszystkiego korzysta wył cznie on i jego słu cy.

- A ci słu cy? Jacy s ?

- Jego lokaj, Huntley, przera a mnie. Nigdy si nie u miecha.

- A czy lord si u miecha?

- Nie, a jego gospodyni robi takie wra enie, jakby si go bała.

- Có - pani Coffey prychn ła z pogard - mo e ma powód, by si ba . Mo e boi si , e pan ka e j wychłosta , je li co mu si nie spodoba.

- Zaraz, zaraz, pani Coffey. - Geoffrey Lambert przykrył r k dło wnuczki. - Nie przera ajmy naszej biednej Bethany jeszcze bardziej.

- Nie boj si , dziadku. - Bethany uniosła głow i nawet zdobyła si na u miech, cho jej serce trzepotało jak ptak na uwi zi.

Newton spiesznie dopił herbat i wstał od stołu.

- Czas w drog . Słysz turkot wozów na dziedzi cu.

Bethany zło yła serwetk i pod yła za nim. Na dworze wit zabarwił niebo na ró owo. Newton pomógł jej wspi si na twarde siedzenie ci kiego wozu, jednego z tych, które miały posłu y do holowania kłód. Potem usiadł obok niej i uj ł lejce. Ruszyli, a za nimi potoczyły si furmanki wie niaków wynaj tych do pracy w lesie.

W trakcie jazdy u wiadomiła sobie, e jej my li znów zaprz ta sławny rozbójnik, który zaatakował ich wła nie w

tych lasach. Nie do , e wci nie dawało jej spokoju wspomnienie jego miałego pocałunku, teraz doł czyły do niego równie niepokoj ce rozwa ania o lordzie Alsmecie. Dlaczego ustalił te dziwne warunki? Czy by uwa ał, e bogactwo i tytuł daj mu prawo do wykorzystywania jej jak dziewczki z ober y? Chyba nie. Przypomniała sobie, e zachowywał si wobec niej zgodnie z nakazami grzeczno ci. Je li nawet zbywało mu na serdeczno ci, w ka dym razie okazywał szacunek. Postanowiła post pi tak samo. Dzi b dzie chłodna, pełna rezerwy i postara si trzyma go na dystans. Zrobi wszystko, co b dzie musiała, by jako wypełni te par godzin, a nadejdzie pora powrotu do ukochanego domu rodzinnego.

W lesie oczekiwał ich wyniosły Huntley, który wskazał Newtonowi grup wysokich drzew, przeznaczonych do wyci cia.

- Ka de zostało osobi cie obejrane przez lorda – wyja nił - i zaznaczone na jego polecenie siekier . Wyci i wywie z lasu mo na tylko drzewa oznaczone w ten sposób.

Newton skin ł głow , po czym przywołał wie niaków, którzy zacz li ci ga koszule, gotuj c si do pracy.

Tymczasem lokaj zwrócił si do stoj cej przy wozie Bethany.

- Jego lordowska mo wysłał po pani powóz, panno Lambert. Sam czeka na pani w Opactwie Penhollow.

Bez zwłoki poszedł przodem do powozu i Bethany, chc c nie chc c, pod yła za Huntleyem. Pomógł jej wsi i po chwili zapadła si w najbardziej mi kkie poduszki, na jakich kiedykolwiek siedziała. Dwa starannie dobrane białe konie ruszyły wawo przez las, a pó niej kr t alej prowadz c do Opactwa Penhollow. Skoro było jej tak wygodnie, dlaczego czuła si jak owieczka prowadzona na rze ?

Pokonała strach, postanawiaj c przetrwa ten dzie tak gładko, jak to mo liwe.

- Powiedz mi, Huntley, od jak dawna lord ma kłopoty ze zdrowiem?

- Ze zdrowiem, panienko?

- On nie jest... dotkni ty niemoc ?

- Nie, panno Lambert. Lord cieszy si doskonale kondycj .

- Ale... sp dza tyle czasu za biurkiem.

- To prawda. Ma wiele posiadło ci, którymi musi si zajmowa . Bardzo skrupulatnie prowadzi ksi gi i rachunki.

Kiedy wjechali na dziedziniec i lokaj pomógł jej przy wysiadaniu, posłała mu u miech.

- Witam, panno Lambert. - Stoj ca na progu gospodyni wygl dała na równie zdenerwowan , jak wczoraj. – Lord Alsmeech czeka na panienk w bibliotece.

Huntley poprzedzał Bethany na schodach i napsuszonym tonem zaanonsował jej przybycie.

- Dzi kuj , Huntley.

Tak jak poprzednio, pies warkn ł gro nie, ale na polecenie swego pana z miejsca si uspokoił. Kane siedział za biurkiem. Sło ce wpadaj ce do biblioteki przez szpar pomi dzy ci kimi kotarami o wietlało połow jego twarzy, drug pozostawiaj c w cieniu, co nadawało lordowi cokolwiek sataniczny wygl d. W promieniach sło ca czarne włosy nabrały niebieskawego odcienia, a wyniosło oblicza stała si bardziej wyrazista. Cho aden muskuł nie drgn ł na jego twarzy, odniosła wra enie, e za tym kamiennym spokojem ukrywa pełen zadowolenia z siebie, triumfalny u miech.

- Dzie dobry, panno Lambert.

- Dzie dobry, milordzie.

- Zd yła pani zje niadanie?

- Tak.

Skin ł głow .

- To dobrze. Prosz si rozgo ci , a ja zajm si prac .

Pochylił głowę nad księgami, dając Bethany do zrozumienia, że na razie rozmowa dobiegła końca.

Przez moment stała bez ruchu. Potem, widząc, że została zostawiona sama sobie, zaczęła spacerować po pokoju. W pewnej chwili zatrzymała się i dotknęła antycznej, wysadzanej klejnotami rękawicy z miecza wiszącego nad kominkiem.

Uniosł głowę.

- Sze pokole używało tego miecza do walki.

- A pan jest siódmym lordem Alsmeech. - Teraz z kolei zatrzymała się przy drzwiach księgozbiorku stojących na półkach. - Czy wie pan, co jest w każdym z nich?

- Tak. To część mego spadku.

- Wiem coś o spadkach i dziedzictwie - zauważyła znacznie łagodniejszym tonem.

- Eglowanie?

Skinęła głowę i zwróciła się ku niemu.

- Lambertowie od zawsze byli marynarzami, jak daleko możemy sięgnąć pamięci.

- Ale teraz rodzinne przedsięwzięcie prowadzi pani dziadek.

Uniosła wyzywająco podbródek.

- Dlaczego wszyscy zakładają, że tylko synowie mogą kontynuować tradycję?

Wydało jej się, że na jego wargach zagościł cień uśmiechu. Znikł równie szybko, jak się pojawił, a lord odchylił się do tyłu w fotelu, nie spuszczał z Bethany wzroku.

- Ponieważ tak jest od zawsze, panno Lambert.

- Tak. Zawsze zajmuj się tym, czy nie, którzy ustalają reguły zabezpieczające ich interesy i władzę. Gdybym ja rzuciła w Anglii... - Urwała, przerażona tym, co właściwie nie uczyniła. Pouczyła lorda Alsmeecha! Odwróciła głowę, chcąc ukryć rumieniec dobitnie świadczący o jej konsternacji. - Czy miałby pan coś przeciwko temu, abym wyszła na powietrze i trochę pospacerowała?

- Absolutnie nie, panno Lambert.

Odprowadził Bethany wzrokiem do drzwi, a kiedy je za sob zamkn ła, wstał i podszedł do okna wychodz tego na ogród.

Wkrótce j dostrzegł. Szła poro ni t traw cie k , przecinaj c ogród ró any, od czasu do czasu zatrzymywała si , dotykała jakiego kwiatka, po czym pochylała si i wdychała jego zapach.

W pewnej chwili przystan ła obok jednego z ogrodników i wdała si z nim w rozmow . Starszy m czyzna poprowadził j ku fontannie.

Słysz c pukanie do drzwi, Kane zawołał:

- Wej !

- Milordzie, pani Dove chciałyby wiedzie , czy pana go b dzie na południowym posiłku?

- Tak, Huntley. Panna Lambert zostanie z nami prawdopodobnie a do zachodu sło ca.

- Rozumiem, milordzie.

- Huntley?

Lokaj zastygł w pełnej oczekiwania pozie.

- Czy rozmawiała z tob podczas drogi?

- Nie, milordzie. Spytała tylko, czy ma pan kłopoty ze zdrowiem.

- Ze zdrowiem?

- Ta młoda dama zdaje si s dzi , e pan... jest słabego zdrowia, milordzie, poniewa nie odchodzi pan od biurka.

- Słabego zdrowia. - Odwrócił głow i zamy lił si .

- Jeszcze co , milordzie?

- Nie. Dzi kuj .

Kiedy za słu cym zamkn ły si drzwi, ponownie przeniósł uwag na ogród rozci gaj cy si w dole. Z pocz tku nie widział nic prócz starannie przystrzy onych ywopłotów i kamiennych ławeczek. Wreszcie j wypatrzył. Spacerowała w



towarzystwie starego ogrodnika, z nar czem barwnych kwiatów w ramionach.

Po paru minutach doszedł go odgłos kroków. Szybko zasiadł za biurkiem. Po chwili rozległo się pukanie do drzwi, do rodka weszła podekscytowana Bethany.

- Prosz zobaczy , co dał mi Quinlan. - Przeszła przez pokój i zło yła nar cze ró na stoliku obok biurka.

- Quinlan?

- Pa ski ogrodnik. Có to za uroczy starszy człowiek. Jego ojciec był eglarzem, który przybył tu z Irlandii. Poznał czaruj c kornwalijsk pi kno i nigdy nie wrócił do ojczyzny. Quinlan jest najmłodszy z ich dwana ciorga dzieci. Gdy miał osiem lat, ojciec przyprowadził go do Opactwa Penhollow. Pracuje tu od tamtego czasu. Prosz tylko spojrze na ró e, które udało mu si wyhodowa w pa skich ogrodach. Powiedział mi, e to szczepki ró pa skiej matki, przywiezione przez ni z Londynu. Pa ski ojciec lubił si z ni przekomarza , twierdz c, e nie przetrwaj . Tymczasem prosz spojrze . Nie tylko przetrwały, ale wci kwitn ... - Urwała, by zaczerpn tchu.

W tym momencie do rodka wpadła jedna ze słu cych z kilkoma srebrnymi wazonami w r kach. Młodziutka pokojowa zerkn ła na zmarszczone brwi pana i wbiła wzrok w podłóg .

- Och, dzi kuj ci, Petulo.

Gdy tylko Bethany wzi ła wazon, słu ca umkn ła z pokoju.

- Biedna Petula. Ma zaledwie jedena cie lat i jest wyj tkowo nie miała. Najbardziej boi si pana. Zdaje si , e pan j przera a, milordzie. - Nie przerywaj c mówienia, przyst piła do układania ró w wazonach i co par chwil przygl dała si krytycznie swemu dziełu, a prezentowały si dokładnie tak, jak chciała. - Prosz spojrze . Czy nie s cudowne? - Odwróciła si do Kane'a, który przez cały ten czas nie powiedział ani słowa, ale patrzył na ni z min wyra aj c

ni to rozbawienie, ni to zdumienie. - Pani Dove powiedziała, że mogłaby wziąć kilka wazonów. Mam nadzieję, że nie ma pan nic przeciwko temu.

Uwiadomił sobie, że choć Bethany jest tu zaledwie od paru godzin, już zna imiona słucej i ogrodnika, a właściwie całe historie ich rodzin.

- Gdzie pani zamierza je postawić, panno Lambert?

- Te... - uniosła wysoki srebrny wazon wypełniony białymi różami - będzie doskonale wyglądać na pańskim biurku.

- Kiedy już je tam umieściła, z aprobatą skinęła głową. - Ich zapach sprawi, że pańska praca wyda się o wiele przyjemniejsza, nie sądzi pan?

Odruchowo wciągnął w nozdrza słodki aromat. Omal się nie uśmiechnął, ale w porę się powstrzymał.

- A reszta?

- Pomyślałam, że róże dam pani Dove, może na stół w salonie. A czerwone na stół w jadalni. Czy ma pan coś przeciwko temu?

Pokręcił głową.

- To będzie... bardzo miłe widziane.

- W takim razie dobrze. - Wzięła dwa pozostałe wazony i wybiegła z pokoju. Po paru chwilach usłyszał jej kroki na schodach i głos, miękki i zdyszany, którym wołała gospodyni.

Zaczął pisać w księdze, ale po chwili przerwał, by powłóczyć kwiaty. Ich widok ożywił dawno pogrzebane wspomnienie kluczej w ogrodzie matki, dogłębniej swoich róż. Tak bardzo je kochała. A ojciec wciąż się z nią przekomarzał. Tymczasem róże, jak powiedziała Bethany, nie tylko przetrwały w tym surowym klimacie, ale rozkwitły. Może symbolem, zadumał się. Z zamyslenia wyrwało go pukanie do drzwi.

Do pokoju wszedł Huntley.

- Pani Dove przygotowała ju południowy posiłek, milordzie.

- Dzi kuj , Huntley. Znajd pann Lambert i sprowad j do sali paradnej.

- Tak, milordzie.

Po wyj ciu lokaja wstał od biurka, wdzi czny, e mu przerwano rozmy lania. Takie bujanie w obłokach nie ma adnego sensu. Jeszcze chwila, a uwierzyłby w wieczn miło i szcz cie po wsze czasy. Ze zmarszczonym czołem udał si do jadalni. Pies oczywi cie towarzyszył swemu panu.

- Prosz bardzo, panno Lambert.

Huntley usun ł si na bok i Bethany znalazła si w komnacie mog cej z łatwo ci pomie ci dwie cie osób. Przy przeciwległych cianach były kominki, w których płon ł ogie . Po rodku stał długi stół nakryty na dwie osoby.

Kane siedział ju u jego szczytu. Storm warował u stóp lorda.

Lokaj odsun ł krzesło obok pana domu.

- Czy tylko my dwoje b dziemy tu jedli? - Bethany rozejrzała si po sali.

- Tak.

Widz c wyraz jej twarzy, u wiadomił sobie, jak dziwnie musi to wygl da w oczach kogo nieprzyzwyczajonego do takiej ceremonialno ci.

Na znak dany przez Huntleya do sali wkroczyli szeregiem słu cy, ka dy z półmiskiem pełnym smakołyków, które przedstawiano panu do aprobaty. Gospodyni dr cym głosem anonsowała kolejne potrawy i czekała na gest Kane'a.

- Pieczona g , milordzie.

Na skini cie Kane'a lokaj nało ył niewielki płat drobiu na jego talerz, po czym post pił tak samo wobec jego go cia.

- Łoso , milordzie. A oto baranina. Sezonowe warzywa, milordzie, z tutejszych ogrodów, z Opactwa

Penhollow. Konfitury owocowe do biszkoptów, milordzie. Piwo, milordzie. Herbata dla pani?

Bethany wpatrywała się w milczeniu w rosnące stoły jedzenia na talerzach.

Wreszcie gospodyni spytała:

- czy pan sobie czego jeszcze, milordzie?

- czy pani sobie czego jeszcze? - Kane spojrzął na gościa.

Bethany komicznie wykrzywiła usta.

- Moje kogo, kto pomógłby mi to wszystko zje.

Słyszcie jej słowa, słuchajcie zachichotali, po czym zakaszleli, by to ukryć.

Kane zwrócił się do ponurej gospodyni.

- Na razie dziękujemy, pani Dove.

- Naturalnie, milordzie. - Starsza kobieta dała znak słuchaczom, którzy pospiesznie wyszli z komnaty, zostawiając ich samych, nie licząc lokaja, który stał w sporej odległości od stołu.

- Proszę mi powiedzieć - Bethany spojrzała na pana domu - czy każdego dnia pan tak jada?

- A czy inni jadają inaczej?

Czy by z niej korzystał? Nie była tego pewna.

- Dlaczego mówi pani szeptem, panno Lambert?

- Ponieważ ... - zerknęła w kierunku Huntleya stojącego z rękami założonymi za plecami i wzrokiem utkwionym w przeciwną stronę - ta sala jest tak duża. Przysięgam, że jestem w katedrze. Czuję się dziwnie, mówię głośno.

- Proszę mi zaufa, panno Lambert. Moje pani tu mówi wszystko, co się pani podoba. - Pociągnął łyk piwa. - Co pani je w MaryCastle, panno Lambert?

- Głównie ryby. Przecież jesteście myśliwymi. Mój ojciec a do miernicy był kapitanem „Nieustraszonego”. Zginął wraz z moim bratem, Jamesem, przed dwoma miesiącami.

- Tak niedawno? Przykro mi. - W jej oczach dostrzegł ból. Ból, który rozumiał a nadto dobrze. - To musiał by straszny cios.

- Tak. - Rozprostowała dłoń, którą przed chwilą zwinęła w pięść, i zmusiła się do skupienia uwagi na pięknych rzeźbach dekorujących stół. - Ale w związku z tą straszną tragedią wydarzyło się coś dobrego. Chodzi o kapitana Riordana Spencera, który przywiózł nam tę smutną nowinę. O to został z nami i zdobył serce mojej siostry Ambrozji. Zaledwie dwa tygodnie temu tutaj, w Lands End, odbyły się ich zaślubiny.

- Riordan Spencer jest mężem pani siostry?

- Tak. Zna go pan?

- Znam.

- Bardzo go polubiliśmy. - Jej twarz promieniała i miał okazję dostrzec wiatło, które pojawiało się w oczach, kiedy była szczęśliwa. - Teraz, skoro należy do rodziny, będzie pływał na „Nieustraszonym” jako kapitan. Ma także własny statek. Nazwał go „Wojownikiem”, chcąc w ten sposób upamiętnić swój pierwszy statek o tej nazwie, zniszczony przez piratów. Właśnie teraz Riordan i Ambrozja są w podróży po Lubnej. Płyną „Wojownikiem”. Mąż mojej siostry obiecał pokazać jej wszystkie egzotyczne lądy.

Kane słuchał w milczeniu. W pewnym momencie przerwała, aby nabrać tchu. Za każdym razem, gdy się odzywała, odnosił wrażenie, że po każdej kolejnej tamie i Bethany coraz bardziej się odsłania.

Lubił słuchać tego lekko zdyszanego głosu. Głosu, który działał na jego zmysły jak chłodny, poranny wietrzyk.

- Egzluje pani, panno Lambert?

- Och, tak. To znaczy... od czasu do czasu. - Poczuli, jak na jej twarz wypływa rumieniec i zbesztala się w duchu. Oszukiwanie nigdy nie szło jej dobrze. - A pan, milordzie?

- Tak. Cz sto my l sobie, e gdybym nie czuł si zobowi zany do kontynuowania rodzinnej tradycji, wyruszyłbym na morze.

- Naprawd ? - Rozpromieniła si . Oto temat, na który mogła mówi bez przerwy i nigdy jej nie nu ył. - A wi c zdarzało si panu wypływa w morze?

- Wiele razy. Za ka dym razem stwierdzałem, e coraz trudniej mi powraca na l d.

Przytakn ła.

- Newt nazywa to syreni pie ni morza. Mówi, e kiedy kogo zauroczy morze, nigdy nie b dzie naprawd szcz liwy, je li nie postawi stopy na pokładzie okr tu, nie poczuje smaku soli na wargach i morskiego powietrza w płucach.

Kane poci gn ł łyk piwa.

- Cho nie jest pani m czyzn , panno Lambert, odnosz wra enie, e doskonale pani wie, co on ma na my li.

- Ja... w istocie.

Widz c, e oblała si rumie cem, zmienił temat.

- Nic pani nie je. Chyba nie chce pani zrani uczu pani Dove, prawda?

- N... nie. - Mimo ekscytacji wywołanej rozmow , zdołała przełkn par k sów. Po chwili uniosła głow , najwyra niej zaskoczona. - Wyborne.

- Przeka pani komplementy gospodyni. - Skosztował jedzenia i patrzył z aprobat na pałaszuj c Bethany. Nawet sporo zjadła, zanim odło yła sztu ce.

Gdy tylko sko czyli, lokaj podszedł do drzwi i wezwał gospodyni , która przybyła w asy cie kilku słu cych.

- yczy pan sobie jeszcze czego , milordzie?

Pan domu spojrział na Bethany, po czym pokr cił głow .

- My l , e mieli my do , pani Dove. Nasz go chciał by przekaza pani wyrazy uznania.

Starsza kobieta rozpromieniła się na tak nieoczekiwaną pochwałę.

- Dziękuj.

Kane zwrócił się z kolei do Bethany.

- Wzywaj mnie obywateli, panno Lambert.

- Tak szybko?

Na jej twarzy dostrzegł konsternację.

- Jeśli pani sobie życzy, może pani rozejrzeć się po domu. Tutaj, w Opactwie Penhollow, jest wiele do zobaczenia.

- Dziękuję, milordzie. - Ponownie się uśmiechnęła.

Popatrzył w ślad za odchodzącą Bethany. Dziwne, ale od tego niezwykłego uśmiechu zrobiło mu się znacznie ciężko na sercu.

Późnym popołudniem wezwał lokaja do biblioteki.

- Huntley, gdzie jest teraz panna Lambert? - spytał.

- Z tego, co wiem, ostatnio była w stajniach, milordzie.

- Co robiła?

- Gawdziła ze stajennym i oglądała konie.

Kane odwrócił się od okna.

- Sprowadź. Widzę, że wozy wyjeżdżają z lasu. Jeden z nich wkrótce powinien tu podjechać, by zabrać je do domu.

- Tak, milordzie. - Lokaj pospiesznie odszedł.

Kiedy Bethany powróciła do biblioteki, Kane siedział przy biurku, przed nim leżała otwarta księga, a u nóg, jak zwykle, spoczywał pies.

- Huntley wspomniał, że była pani w stajniach - powiedział, unosząc głowę.

- Tak. Pana stajenny, Richmond, był dla mnie bardzo miły.

- Richmond? - Zastanawiał się, czy poznała również historię jego rodziny.

- Powiedział mi, że jego córki, wszystkie cztery, mają rude włosy, choć nie tak rude jak moje.

Właściwie ciwie nie powinno go to dziwić. Ta młoda kobieta miała w sobie coś takiego, że ludzie od pierwszej chwili darzyli ją zaufaniem.

- A jej ona, Cara, oczekuje kolejnego małżeństwa. Wiąkszość z tych jest przekonana, że on liczy tym razem na syna. A tymczasem nie miałby nic przeciwko kolejnej córce. Powiedział, że jego zdaniem dom wypełniony kobietami ma mnóstwo uroku. Właściwie nie tak zwykły mawia mój ojciec. Czy to nie miłe?

- Tak. Miłe. - Ciekawe, dlaczego sam dwoi się jej głosowi, że człowiek chce się u niego? - Co się pani o moich koniach?

- Świetnie, milordzie.

- Lubi pani je dziś konno?

- Tak. Nałdzie to jedna z moich najwspanialszych przyjemności.

Uśmiechnęła się.

- Tak myślałem. Wygląda pani na kobietę, która potrafi robić dobrze wiele rzeczy. Je dziś konno. Eglowa.

- Uwielbiam je dziś konno po plaży, tuż za MaryCastle, kiedy reszta rodziny już smacznie pije. - Marzycielsko zniżyła głos. - Wówczas udaję się, że jestem na wiecie sama jedna. To uczucie, którego nie da się z niczym porównać.

- Nie boi się pani, że ktoś na pani napadnie?

- Nasz dom stoi w sporej odległości od wioski, toteż w jego okolicy nigdy nie spotykam jeźdźców późnym wieczorem.

- A co z tym rozbójnikiem, Władem Nocą?

Pokręciła głową.

- Nie mam nic, czego mógłby chcieć. Słyszałam, że okrada tylko bogaczy.



- S rzezy cenniejsze od złota i klejnotów, panno Lambert. - Zauwa ył, jak si zarumieniła, po czym szybko spu ciła głow . - Podobno skradł pani pocałunek?

Czy by cały wiat wiedział o tym upokorzeniu? Przemogła si i spojrzała prosto w oczy lorda.

- Nie znaczył wi cej dla niego ni dla mnie. Nie wi cej ni szelest wiatru w gał ziach drzew.

- Jest pani tego pewna, panno Lambert?

Jej oczy rzucały iskry.

- Tak.

Przez chwil patrzył na ni w taki sposób, e jej serce zacz ło bi szybciej. Wtem z dziedzi ca dobiegł odgłos ko skich kopyt i skrzywienie wozu.

Odetchn ła z niewypowiedzian ulg .

- Zdaje si , e Newt po mnie przyjechał.

- Tak, panno Lambert. Oczekuj pani jutro.

- Do widzenia, milordzie. - Wybiegła tanecznym krokiem z biblioteki i zbiegła po schodach do czekaj cego na ni Newtona.

Gdy wdrapała si na siedzenie wozu, uniosła głow . Za wybrzuszonymi kotarami zobaczyła czyj cie . Znów miała uczucie, e lord Alsmeech obserwuje jej odjazd.

Wyprostowała si i patrzyła przed siebie, dopóki nie zostawili posiadło ci daleko w tyle.

## ROZDZIAŁ PI TY

- Opowiedz nam o wszystkim - nalegała Darcy, kiedy cał rodzin zasiedli do wieczornego posiłku. - Co robiła ?

- Zwiedziłam ogrody lorda w towarzystwie jego ogrodnika Quinlana i zjrzałam do stajni wraz ze stajennym

Richmondem. Posiadło jest tak rozległa, e obejrzenie  
wszystkiego pewnie zaj łoby całe lato.

- artujesz - obruszyła si panna Mellon.

- Nie, Winnie. Widziałam te ziemie tylko przelotnie,  
tyle co podczas jazdy. Wydad si ci gn bez ko ca.

- Chciałabym dowiedzie si czego wi cej o lordzie. -  
Darcy podniosła fili ank do ust i przygl dała si siostrze znad  
jej kraw dzi.

Bethany zmarszczyła czoło.

- Zdaje si , e zajmuje si wył cznie dokonywaniem  
oblicze w swoich ksi gach i rejestrach. Cały dzie sp dził w  
bibliotece.

- Nie obchodzi mnie, jak sp dza czas. Chc wiedzie  
co o nim samym. - Darcy spojrzwała na pozostałych. - Czy jest  
wysoki, czy niski? Gruby czy szczupły? Stary czy młody?

- Trudno powiedzie . Nigdy nie wstaje w mojej  
obecno ci. Zawsze tkwi za biurkiem. Nosi ciemny kaftan. Ma  
ciemne włosy. Jego oczy wydaj si ciemne. I, jak s dz ,  
preferuje ciemno . W bibliotece, w której przesiaduje, s  
ci kie kotary, zawsze zasłoni te, by nie dopuszcza do  
wn trza wiatła słonecznego.

- Mo e jest kalek - zauwa yła łagodnie panna Mellon.  
- Albo ma jakie blizny.

- Nie pomy lałam o tym. - Bethany z namysłem skin ła  
głów . - Mo e masz racj , Winnie. Spytałam lokaja, czy jego  
pan jest chory, a on powiedział mi na to, e przeciwnie, jest  
okazem zdrowia. Je li jednak ma jakie blizny czy inne  
okaleczenia, to by tłumaczyło, dlaczego zachowuje si , jakby  
si z czym krył.

Gospodyni, która do tej pory zachowywała milczenie,  
stwierdziła:

- To by tak e tłumaczyło, dlaczego jego ona popełniła  
samobójstwo w noc po lubn .

- Ale pani Coffey! - Bethany uniosła głowę, wyrażając niezgodę. - Umówiliśmy się, że nie będziemy powtarzać obrzydliwych plotek Edwiny.

- Tak. To prawda, ale trudno mi zapomnieć o tym, co powiedziała. Zwłaszcza teraz, kiedy jesteś zmuszona przebywać sama z mężczyzną, który z tego, co o nim wiemy, może być... potworem.

Bethany pochyliła głowę i powoli popijała herbatę. Prawdę mówiąc, ona również nie mogła o tym zapomnieć. Podczas obydwu wizyt w bibliotece zastanawiała się, czy lord się przed czym skrył? A może po prostu został zraniony, nie tylko na ciele, ale również na duszy? Wyjaśnić to, dlaczego adena z jego słuchaczami nie chciał o nim rozmawiać. Jak to i to, dlaczego jego gospodyni była tak zdenerwowana w jego obecności. Mimo wszystko, lord Alsmeeth nie robił na Bethany wrażenia okrutnika. Wydawał się raczej... zdezorientowany. A może skrzywdzony?

- W takim razie za jedno może podziękować lordowi Alsmeethowi. - Głos Darcy przerwał jej zamyślenie.

- Za co?

- Ponieważ jedziesz tam jutro wczesnym rankiem, pani Coffey postanowiła nie zmuszać cię do uczestnictwa w dzisiejszym głosnym czytaniu psalmów. Zamiast ciebie na plebanii pojadę ja.

Na widok zmarszczonego czoła siostry Bethany uśmiechnęła się szeroko.

- Musz pamiętać, żeby podziękować lordowi już od samego progu.

Gdy zajechali do lasu, Huntley już na nich czekał, tak jak poprzedniego ranka. Chwilę później zaoferował Bethany swoją pomoc przy wsiadaniu do wspaniałego powozu, ale odmówiła.

- Czy miałby coś przeciwko temu, gdybym zajęła się powożeniem, Huntley?

Biedak był tak zaskoczony, że patrzył na nią szeroko otwartymi oczami, nie wiedząc, co począć. Wreszcie zdołał wykrztusić :

- Powożeniem, panienko?

- Tak. - Wspięła się na siedzenie woźnicy i ujęła lejce.

- Nigdy nie powoziłam tak pięknym zaprzęgiem. Wiesz, że one nawet kopyta stawiają jednocześnie nie?

- To prawda, panno Lambert.

Gdy tylko usiadł obok niej na konie, szarpnęła za lejce i konie ruszyły z gracją.

- Wspaniale. Dokładnie tak, jak się spodziewałam. Poruszaj się jak jeden. Czy nie są wspaniałe?

- Tak, panienko. Rzeczywiście są wspaniałe - mruknął, poroźniemy trochę o oczekujących go karze. Chyba że Bóg da, i lord będzie zbyt zajęty, by zauważyć moment ich przybycia.

Gdy wjechali na szeroki podjazd prowadzący do rezydencji, Bethany odwróciła się do lokaja.

- Jak się jego lordowska mój dziś czuje?

- Dobrze, panienko. Dlaczego pani pyta?

- Miałam nadzieję, że mój zechce sprawić sobie dziś jak przyjemno. Pojeździ konno, pospaceruje, a mój wybierze się na przejażdżkę po okolicy.

- Wiem w tym, czy kiedykolwiek coś takiego przyszło mu do głowy, panienko. Opuszcza bibliotek prawie wyłącznie na posiłki.

- To straszne - westchnęła Bethany.

Gospodyni oczekiwała na nich na dziedzińcu, widząc należało to do zwyczaju. Była do tego stopnia zdenerwowana, że trzęsła się jak osika.

- Przykro mi, ale nie będzie panienska mogła od razu zobaczyć się z jego wielmożnością, panno Lambert. Jest teraz u niego kuzyn, Oswald Preston.

Bethany zauważyła, że gospodyni i lokaj wymienili znaczące spojrzenia. I choć nie padło ani jedno słowo,

zmiarkowała, e adne z nich nie jest zadowolone z tej porannej wizyty.

- Mo e napije si panienka herbaty, eby oczekiwanie si nie dłu yło?

Skin ła głow .

- Dzi kuj , pani Dove. Z przyjemno ci .

- Jak to, potrzebujesz pieni dzy? - Kane obserwował kuzyna, który ulokował si na krze le naprzeciwko biurka i wyci gn ł nogi w nonszalanckiej pozie. - Co si stało z pieni dzmi, które dałem ci przed wyjazdem z Londynu?

- Teraz jestem daleko od Londynu i pilnie potrzebuj gotówki.

- Skoro wiedziałe , e si tu wybierasz, dlaczego nie przywiozłe ze sob na tyle du o, by starczyło ci na pobyt?

- Zakładałem krótki pobyt. - Oswald u miechn ł si znacz co. - Nie mogłem przewidzie , e Lands End wyda mi si tak... atrakcyjne. Te wiejskie dziewczki s wyj tkowo... usłu ne. Po prostu nie potrafi si od nich oderwa .

Kane zmru ył oczy.

- Nie powinienem ci przypomina , e jako d entelmen masz obowi zek zachowywa si tak, aby nie przynie ujmy ani sobie, ani tym pannom.

Kuzyn nie przestał si u miecha , ale jego oczy rzucały ognie.

- Jak powiedziałe , nie do ciebie nale y udzielanie rad. A co do tych dziewczuch... - Wzruszył ramionami. - Nic na to nie poradz , e same mi si narzucaj . W tej zapadłej dziurze nie maj zbyt wielu okazji do spotykania bogatych i dobrze wychowanych m czyzn.

- To pro ci ludzie. O prostych gustach. - Kane nie raz i nie dwa miał sposobno zaobserwowa , jak kuzyn uwodzi kobiety. Zawsze zdumiewało go, e tak wiele z nich szło na lep czaruj cego u miechu i nienagannej prezencji, zgodnej z

naj wie sz mod . Za lepione, nie dostrzegały płytkiego umysłu i miałkiej osobowo ci Oswalda.

- Nie interesuj mnie twoje wykłady. - Preston wyprostował si na krze le. - Postaw si w moim poło eniu. Gdyby mój ojciec przyszedł na wiat przed twoim, to ja siedziałbym za tym biurkiem i gromadził złoto, a ty tkwiłby tutaj, ebrz c o par szylingów.

Kane posiał mu zimne spojrzenie.

- Twój ojciec miał kilka wspaniałych rezydencji w Anglii i rodki na ich utrzymanie. Od jego mierci udało ci si roztrwoni fortun na wszelkie mo liwe wyst pki i jeszcze miesz sugerowa , e powiniene dosta wi cej?

- W takim razie potraktuj to jako po yczk . Pod zastaw mojej rezydencji w Londynie. Po powrocie odwiedz twego prawnika i zwróć dług.

- Jeszcze nie zwróciłe poprzedniego. Przedostatniego równie nie.

- Co mam robi ? ebra ? Czy wówczas uznasz, e wystarczaj co mnie poni yle ?

- Nie pragn przyczynia ci bólu, Oswaldzie. Chciałbym tylko, by wzi ł odpowiedzialno za swoje ycie. - Sztynno wyprostowany, przygl dał si bacznie ponuremu młodemu m czy nie. - Twoim problemem jest brak charakteru, nie pieni dzy.

- Widzisz? Kolejny wykład. Przyszedłem tu po złoto, a dostaj puste słowa.

- Puste jedynie dla tych, którzy nie chc wzi ich sobie do serca. - Kane otworzył ksi g i zacz ł co pisa na arkuszu pergaminu, pop dzany pełnym nieukrywanej chciwo ci wzrokiem kuzyna. Osuszywszy dokument, powiedział: - Zanie to do bankiera w Lands End. On dopilnuje, eby wyptacono ci tysi c funtów.

Zanim Oswald wyrwał mu pergamin z r ki. Kane dodał jeszcze:

- Gdyby był lordem Alsmeehem, Oswaldzie, mógłby by pewny jednego. Ja nie przyjąłbym od ciebie czego takiego. Nie potrzebowałbym twojej pomocy, by utrzymać się przy życiu. Byłbym teraz w Londynie i robiłbym wszystko, by moje posiadło ci przynosiło jak największe zyski.

- I tak byłby najbardziej niebezpiecznym człowiekiem w Anglii. I najbardziej samotnym. - Zadałszy ten ostateczny cios, kuzyn ruszył ku drzwiom. Na progu zatrzymał się i odwrócił. - Żałuję, że całe twoje złoto nie ogrzeje ci tak, jak mnie ogrzewają gorące dziewczki w Lands End.

Pani Dove wpadła biegiem do salonu, mocno w palcach fałdy fartucha.

- Jego lordowska może prosi panią, panno Lambert.

- Tak, pani Dove. - Bethany westchnęła, podnosząc się z miejsca.

W sieni już czekał Huntley, który wprowadził ją na schody i przestrzegł, by zaczekała, a już zaanonsuje.

- Panna Lambert jest tutaj, milordzie.

Kane jak zwykle siedział za biurkiem, a nawet jeszcze kipiał gniewem po wizycie kuzyna, popatrzył groźnie na lokaja.

- Czy dobrze widziałem, że powoziła zaprzęgami?

- Dobrze, milordzie. - Starszy mężczyzna poczuł, jak na jego zazwyczaj blade policzki wystąpił rumieniec. - Nie mogłem temu zapobiec, milordzie. Po prostu... wzięła lejce i byłem zmuszony ustąpić.

Kane trochę się rozchmurzył.

- Powinienem się domyślić, że stało się to bez twojej aprobaty. Ona jest do uparta. Wprowadź ją, Huntley.

- Tak, milordzie. - Lokaj z westchnieniem ulgi odszedł na bok i do rodka wpadła Bethany.

Pies obserwował ją bacznie, ale nawet nie warknął.

- Witam, panno Lambert. Ma pani ochotę na herbatę?

- Dzie dobry, milordzie. Piłam herbat w salonie. Mo e za jaki czas. Wygl dał pan dzi przez okno?

- Dlaczego miałbym to robi ?

- Po prostu po to, by podziwia , jaki pi kny mamy dzie . Sło ce wieci. Jest pi kna pogoda. Wprost wymarzona na agle, jak powiedziałby Newt.

- Naprawd ? - Odło ył g sie pióro, które do tej pory trzymał w r ku i przygl dał si jej uwa nie. Przez cał noc my lał tylko o niej. Prze ladował go obraz Bethany wpadaj cej do jego pokoju, jej zaró owionych policzków, ramion wypełnionych nar czem ró . A teraz jest tutaj, we własnej osobie, uroczo zarumieniona, z włosami wzburzonymi wiatrem. Wygl dała tak wie o i czysto. I słodko.

Przyszło mu do głowy, e jest pierwsz znan mu kobiet , która ubierała si nie po to, by robi na nim wra enie. A z tej racji wywoływała jeszcze wi ksze. G stwina rudych włosów starannie zwini ta w ciasny kok i skromna suknia zapi ta pod sam szyj tylko pobudzały do wyobra ni. Bowiem nawet ten niemal sparta ski strój nie zdołał zamaskowa powabów ciała Bethany.

Mógłby sp dzi cały dzie , przygl daj c si jej i słuchaj c tego cichego, mi kkiego głosu, który koił mu nerwy. Ale czekały na niego ksi gi i liczby. Rachunki dzier awców. Raporty z odległych posiadło ci. Z drugiej strony, nic si nie stanie, je li zrobi sobie krótk przerw .

- W takim razie musz zobaczy dzie , który sprawił pani tyle rado ci. Chod my, panno Lambert. Mo emy podziwia go razem z balkonu.

Odsun wszy na bok ci kie kotary, wyszła na balkon i rozejrzała si wokół, zachwycona.

- Och, to wprost oszałamiaj ce. - Pobiegła wzrokiem w dal, ku zielonym, faluj cym wzgórzom i lasom, które okalały posiadło , po czym spojrzła w dół, na urocze ogrody



rozci gaj ce si przed rezydencj . - Nigdy nie widziałam czego tak pi knego.

- Zgadzam si z pani .

Ton jego głosu skłonił j do odwrócenia głowy. Kane wyszedł za ni na balkon. Nie ulegało w tpliwo ci, e nie patrzy na krajobraz. Patrzył na ni i to w taki sposób, e poczuła si za enowana.

Po raz pierwszy nie ukrył si za biurkiem ani za stołem.

W blasku sło ca wygl dał zupełnie inaczej, ni to sobie wyobra ała. Był wysoki i szczupły. I, jak powiedział Huntley, silny. Nic nie wskazywało na to, by niedomagał na zdrowiu. Miał na sobie dopasowane czarne spodnie, wsuni te w drogie buty z ko lcej skóry. R kawy nieco zmi tej białej koszuli z cieniutkiego płótna były zawini te do łokci. Kruczoczarne włosy wichrzyły mu si nad czołem, zupełnie jakby niedawno przejechał przez nie dłoni . Jego oczy nie były br zowe, tylko zielone. W sło cu l niły jak srebro. Nie brakowało mu nic, wprost przeciwnie, wydał si Bethany wr cz pora aj co przystojny.

U wiadomiła sobie, e si w niego wpatruje. Natychmiast odwróciła si plecami, udaj c, e podziwia widoki.

- Jakie to uczucie wiedzie , e wszystko, jak okiem si gn , jest pa skie?

Podszedł bli ej i ciszył głos.

- Nie wszystko, co widz , nale y do mnie. W ka dym razie jeszcze nie. Ale mo e, je li dopisze mi szcz cie...

Na chwil zabrakło jej tchu. Te miałe słowa przypomniały jej obawy panny Mellon.

- Ja... my l , e teraz napiłabym si herbaty.

U miechn ł si lekko na widok jej wzburzenia. Uznał je za wyj tkowo urocze.

- Naturalnie.

Wrócili do biblioteki, Kane nalał herbat, po czym wyci gn ł do Bethany dło z fili ank. Kiedy ich palce si zetkn ły, poczuła fal gor ca, ale zrzuciła to na karb pogody.

- Trudno byłoby mi wytrzyma w domu ze wiadomo ci tak pi knych widoków jak ten, milordzie. Jak pan mo e siedzie za biurkiem i zajmowa si papierami, skoro tu za drzwiami czeka taka pokusa?

- Nie do wiadczałem pokus, które mogłyby sprawi, bym zapomniał o moich obowi zkach, panno Lambert. A do teraz.

Znów to uniesienie brwi. Tym razem towarzyszył mu cie u miechu. Pochyliła głow i popijała herbat, usiłuj c ignorowa dziwne trzepotanie serca. Bezwiednie wyci gn ła r k, by pogłodzi psa po łbie. Warkn ł ostrzegawczo, wi c spłoszona cofn ła dło.

- Storm nie pozwala si dotkn nikomu z wyj tkiem mnie, panno Lambert.

- Dlaczego?

- Zdaje si, e mnie jednemu ufa. Podejrzewam, i jako szczeniak musiał wiele wycierpie. Nie przepada za lud mi.

- W takim razie dlaczego ufa panu?

- Mo e to nie tyle zaufanie, co potrzeba. Potrzebuje mnie.

- Sk d si wzi ł u pana?

- Znalazłem go podczas burzy. Usłyszałem cichy skowyt, a kiedy dotarłem do miejsca, z którego dochodził, zobaczyłem psa. Biedak le ał przywalony ci kim konarem. Usun łem wi c konar i go uwolniłem.

- I podzi kował panu, zostaj c z panem?

- Podzi kował mi, gryz c mnie w r k.

- Ugryzł pana?

- Tak reaguj zwierz ta, kiedy si czego boj, panno Lambert. Gryz. Zabrałem go do domu i opatrzyłem jego rany.

Pó niej mógł odej , gdzie go łapy ponios , ale on postanowił zosta ze mn .

- I stał si zwierz ciem domowym.

Kane pokr cił głow .

- Storm to nie zwierz domowe, panno Lambert. Jest moim towarzyszem i moim nieustraszonym obro c . Ale nie zwierz ciem domowym.

- Rozumiem. - Odstawiła herbat . - Pomy lałam sobie, e skoro pan jest zaj ty, mogłabym zwiedzi ruiny, które zauwa yłam w oddali. Oczywi cie, je li nie ma pan nic przeciwko temu.

- Nie. Nie mam nic przeciwko temu, panno Lambert. - Jego spojrzenie pow drowało ku rachunkom. Podszedł do biurka. - Je li b dzie pani czego potrzebowała, prosz powiedzie o tym Huntleyowi albo pani Dove.

U wiadomiła sobie, e wła nie została odprawiona. Z westchnieniem podeszła do drzwi. Na progu przystan ła i zerkn ła przez rami - lord ju pogr ył si w pracy, a Storm ulokował si u jego nóg.

Kane uniósł głow , słysz c pukanie. Do rodka wszedł lokaj z min wyra aj c przera enie.

- Zdaje si , e pani Dove straciła głow . Powiadomiła mnie, e panna Lambert yczy sobie zje południowy posiłek w ogrodzie, milordzie. Naturalnie powiedziałem jej, e to si panu nie spodoba.

- Posiłek w ogrodzie? - Zastanawiał si przez cał minut , marszcz c brwi, co nadało jego twarzy ponury wyraz. Potem nagle skin ł głow . - My l , e jako to znios . - Niew tpliwie zauwa ył wyraz zdziwienia na twarzy lokaja, ale było mu to całkowicie oboj tne.

- Naturalnie, milordzie. Zaraz przeka pa sk decyzj pani Dove.

Po wyjściu Huntleya odchylił się w fotelu, głębia zamykając drzwi. A potem wstał od biurka i zszedł po schodach. Storm podał za nim jak zwykle.

Bethany czekała przy drzwiach.

- Tak się cieszy, że zgodził się pan na obiad w ogrodzie. Nie mogłam znaleźć miły o tym długim stole w ponurej, przepastnej sali. Zwłaszcza w taki dzień jak dzisiejszy.

- Rozumiem. Prosiłem panią Dove, aby przygotowała dziś dla pani coś szczególnego.

Była zaskoczona i uradowana.

- Zapewne pani Dove stanie na wysokości ci zadania.

- I ja tak myślę. Od mojego przyjazdu nie mieliśmy tu żadnych gości. Pani jest pierwsza. Obawiam się więc, że nasza droga gospodyni zamierza pani przytoczyć obfity śniadani.

Bethany pokręciła głową, przypominając sobie wczorajszą ucztę.

- W takim razie jedyną moją nadzieją w tym, że zaprosi pan wieśniaków, którzy pracują w pańskim lesie, aby pomogli mi to zjeść.

Za miał się cicho. Ta reakcja była tak nieoczekiwana, że Bethany odwróciła się i spojrzała pytająco na lorda.

- Zdaje się, panno Lambert, że jest pani dokładnie tak osobliwa, jakiej tak długo brakowało w tym miejscu.

- Czy to dlatego tu jestem?

Uśmiech znikł.

- Jest tu pani, ponieważ sobie tego życzy.

- A pan dostaje wszystko, czego pan sobie życzy, milordzie?

- Nie słyszała pani? - Jego głos ociekał sarkazmem. - Jestem rozpuszczonym bogaczem. Wystarczy, że powiem słowo i wszystko jest moje.

- Dlaczego nie bywaj tu go cie? - Pod ała za nim poro ni t traw dró k , uwa aj c, by trzyma si z dala od psa.

Tylko si u miechn ł.

- Poniewa pan Opactwa Penhollow nie znał nikogo, kogo chciałby przyjmowa . A do teraz.

- Ale nas ł cz tylko interesy, prawda?

Jego twarz zastygła w mask oboj tno ci.

- Tak. Naturalnie.

Gdy zbli ali si do ogrodu ró anego, zdj ła szal i przerzuciła go przez rami . W głosie Bethany dawało si wyczu nut zadumy.

- Niewiele mamy dni tak pi knych jak ten. Mo e dlatego ka dy wydaje si szczególny, bo zdarzaj si tak rzadko.

Lord Alsmeech odwrócił si ku niej, z oczami błyszcz cymi podnieceniem.

- Wła nie. My łała pani kiedy o ludziach yj cych tam, gdzie zawsze wieci słó ce? Ciekawe, czy zdaj sobie spraw z tego, e yj w raju? A mo e przyjmuj to po prostu jako co oczywistego, przekonani, e ka dy yje jak oni?

Wzruszyła ramionami, zaskoczona pytaniem.

- Skoro nigdy nie mieli okazji zobaczenia innych l dów i przyjrzenia si yciu innych, czemu mieliby si nad tym zastanawia ?

- Tak. Ma pani racj , naturalnie. - Zni ył głos, zupełnie jakby gło no my łał. - Przede wszystkim musz zobaczy , jak yj inni. Wtedy i tylko wtedy b d w stanie oceni , czy ich własne ycie jest błogosławione, czy przekl te...

Bethany zostawiła lorda własnym my lom, ale kiedy trawiasta dró ka si sko czyła, przed jej oczami odsłonił si tak pi kny widok, e nie potrafiła powstrzyma okrzyku.

- Och! Jak tu cudownie!

W cieniu s katego drzewa, przy kamiennej ławeczce stał stół nakryty cieniutkim obrusem. Promienie sło ca przez czały si przez listowie, rzucaj c złote refleksy na porcelan , kryształ i srebro.

Gdy ju zasiedli obok siebie, podeszła do nich pokojówka ze srebrn zastaw do herbaty. Za ni nadeszli inni słu cy, ka dy niósł półmisek z jak potraw . Tak jak poprzednio, wszystkie dania były anonsowane, a potem, za aprobat lorda, Huntley napełniał talerze pa stwa.

Po skosztowaniu pierwszego k sa Bethany uniosła głow .

- Och, pani Dove, to jest wspaniałe.

- Dzi kuj , panno Lambert. - Gospodyni si rozpromieniła. - Ma panienska ochot na herbat ?

- Tak. Prosz .

Huntley wzi ł srebrny dzbanek, napełnił fili ank , po czym oddał dzbanek słu cemu. Wreszcie cała słu ba odeszła, pozostawiaj c ich w ogrodzie samych, nie licz c lokaja stoj cego w dyskretnej odległo ci.

Bethany zni yła głos.

- Nie m czy pana ci gła obecno tyłu ludzi?

- M czy. - Kane pochylił si ku niej. - Całe ycie jestem otoczony przez ludzi. Nia ki, kiedy byłem mały. Nauczycieli, słu cych. No i, oczywi cie, Huntley. Zjawił si w opactwie jeszcze w czasie mojego dzieci stwa. I wszyscy tytułuj mnie milordem.

- Jest pan nim.

- Nie. To mój ojciec był lordem. Ja jestem Kane Preston.

W jego głosie wyczuła gniew. Odwróciła głow i k tem oka zerkn ła na Huntleya - siedział w pełnym sło cu, nieruchomy jak pos g.

- Marzy pan czasem o tym, by by sam? Całkiem sam? Kane przytakn ł.

- Owszem. S na to sposoby, je li jest si wystarczaj co sprytnym.

- Sposoby?

Na jego wargach dostrzegła cie u miechu. Przykrył dłoni jej r k . Natychmiast poczuła ekscytuj cy dreszczyk i przyspieszone bicie serca. Uniosła głow , ciekawa jego reakcji, ale w tych dziwnych, srebrzystych oczach Kane'a Prestona spostrzegła wył cznie przebłysk humoru.

Skin ł w kierunku jej talerza.

- Je li wkrótce nie zje pani troch , biedna pani Dove pomy li, e nie doceniamy jej ci kiej pracy.

Bethany skwapliwie skorzystała z zach ty. Teraz, kiedy chwila min ła, jej serce stopniowo powróciło do normalnego rytmu.

Jedzenie rozpływało si w ustach. Cieniutkie plasterki pieczeni wołowej. wie utki łośo . Jeszcze ciepłe biszkopty, prosto z piekarnika. Poranny spacer w ród ruin zaostrzył apetyt Bethany, tote w duchu uznała ten posiłek za bardzo wskazany, jak i, oczywi cie, wy mienity.

Powoli popijała herbat .

- Czy pa skie ycie w Londynie bardzo si ró niło od tego tutaj, w Kornwalii?

- Jak dzie od nocy. W Londynie nale y spełnia pewne... oczekiwania. Przestrzega zasad etykiety. Prowadzi interesy. Udziela si towarzysko.

- Brakuje panu tego?

- Ani troch .

- Ale pewnie pan tam wróci?

Nagle oczy Kane'a posmutniały i Bethany u wiadomiła sobie, e znowu zaw drował gdzie my lami. Dok d? Jaki ci ar d wigał? Czy wspominał czas sp dzony w wi zieniu? Oplakiwał utrat ojca i ony? Przyszły jej na my l te wszystkie straszne rzeczy, o których mówiła Edwina Cannon. Mimo woli Bethany, ziarno w tpliwo ci zostało zasiane. Ziarno, które nie

dawało si wypleni . A jednak, chocia okazywał arogancj , upór i porywczy temperament, nie była w stanie uwierzy , e mógł zachowa si jak brutal czy okrutnik wobec ony. Za tym, co si stało, musiało si kry co innego. Je li to si naprawd stało. Znaj c zamiłowanie Edwiny do plotek, mo na przypu ci , e cała opowie została wymy lona, od pocz tku do ko ca. Wła nie! Postanowiła o niej zapomnie . Wkrótce praca przy wyr bie dobiegnie ko ca i nie b dzie ju okazji do widywania lorda Alsmeetha. Zignorowała lekkie ukłucie w sercu. Rozczarowanie? Mało prawdopodobne. Zwłaszcza e pochodzili z dwóch bardzo ró nych wiatów. Jej obecno w opactwie to tylko chwilowy kaprys arystokraty.

Wci gn ła w nozdrza zapach ró .

- Kiedy Quinlan opowiedział mi o ró ach pa skiej matki, przypomniała mi si moja matka. Kochała ró e, ale straciła nadziej , e wyhoduje je w MaryCastle. Porywiste wiatry i słone powietrze zmówiły si , by zniszczy nawet najbardziej odporne z jej kwiatów. Cz sto mawiała, e skaliste wybrze e i przejmuj ce zimno napływaj ce znad Atlantyku nie sprzyjaj przetrwaniu.

Z koka Bethany wymkn ło si pasmo włosów. Musn ł je dłoni , rozkoszuj c si jego mi kko ci .

- Pani matka nie potrzebowała ró , panno Lambert. Po zostawiła po sobie co o wiele cenniejszego.

Ciekawe, czy zdawał sobie spraw , jak na ni działa jego dotyk? Czemu najl ejsze mu ni cie jego r ki sprawiało, e dr ała jak osika?

- Nie próbowała pani słodyczy. - Poło ył małe ciasteczko na jej talerzu. - Prosz zje przynajmniej jedno, inaczej pani Dove b dzie nieszcz liwa.

- Nie mo emy do tego dopu ci . - Po skosztowaniu westchn ła z lubo ci . Kiedy si gała po nast pne, dostrzegła jego min . - Musz si po wi ci dla dobra pa skiej biednej gospodyni.



- Podziwiam kobiety o szlachetnym sercu.

Wymienili u miechy.

Dopijaj c herbat , skin ła w stron widniej cych w oddali ruin.

- S fascynuj ce. Opowie mi pan o nich?

Jego u miech przygasł, a głos nagle stał si ochrypły.

- Mo e innym razem. Obawiam si , e musz ju wraca do pracy.

- Jego lordowska mo prosi pani , panno Lambert.

Bethany zesła z najwy szego pi tra, gdzie podziwiała widoki z okien i pospieszyła do biblioteki.

Stoj cy na balkonie Kane zwrócił si do niej twarz .

- Pani wóz i wo nica nadje d aj , panno Lambert.

- W takim razie ju pana po egnam, milordzie. -

Ruszyła ku drzwiom.

- Do widzenia, panno Lambert. B dzie pani je dzi konno dzi wieczorem? - zapytał jeszcze.

Zatrzymała si .

- My l , e tak.

- Po pla y w pobli u MaryCastle?

Skin ła głow , zaintrygowana napi ciem w jego głosie.

- Tak. Po pla y.

Nie powiedział nic wi cej, wi c odwróciła si do drzwi.

- Do widzenia, milordzie.

Pospiesznie wysła z pokoju i zbiegła po schodach. Na dziedzi cu wdrapała si na wóz i usiadła, patrz c prosto przed siebie. Newton zaci ł konia i ruszyli kłusem. A cho ani razu nie odwróciła głowy, miała dziwne uczucie, e lord wci stoi na balkonie. I j obserwuje. Jak zawsze.

# ROZDZIAŁ SZÓSTY

Wieczorem si ochłodziło. Morze było spokojne. Po niebie płyn ły chmury, od czasu do czasu przysłaniaj c tarcz ksi yca. Bethany zdj ła strój wyj ciowy i przebrała si w star , wysłu on sukni . Góra była wprawdzie przyciasna, a r kawy troch postrz pione, ale to jej nie przeszkadzało. Wprost przeciwnie. Zamierzała wybra si nad morze i poje dzi konno na oklep. Je li nawet Lacey zostanie ochlapana przez przybrze ne fale albo wzbije chmur piachu, staremu ubraniu ju nic nie zaszkodzi. Wy lizn ła si z domu tylnymi drzwiami i pobiegła do stajni.

- Witaj, staruszek - szepn ła, podsuwaj c klaczy marchewk , po czym wyprowadziła j z boksu. – Poje dzimy sobie troch . Tylko we dwie.

Klacz zastrzygła uszami, gotowa do biegu. Nabrały tego zwyczaju przed laty, kiedy ojciec podarował konia swojej redniej córce na dziesi te urodziny. Bethany doskonale pami ta i ten dzie , i t rozmow .

- Dlaczego nie mog eglowa jak James? - pytała w dniu urodzin, połykaj c ły.

- Bo to zbyt niebezpieczne dla mojej córeczki.

- A dla twego syna nie?

- To nie tak. To niebezpieczne dla ka dego, kto wybiera morze. Ale James to... James. Uznał, e jego obowi zkiem jest pój za moim przykładem.

- A ty jeste dumny z jego decyzji.

- Tak.

- To dlaczego ja nie mog zrobi tak samo?

- Wiem, e o tym marzysz, Bethany, ale ja nie chc , eby moja córka yła i pracowała w ród marynarzy. eby ci wynagodzi to rozczarowanie, przyprowadziłem niespodziank . Chod ze mn .

Na dziedzi cu przed domem stał stary Newton, trzymaj c wodge pi knej, dereszowatej klaczki.

- Nazywa si Lacey. Kupilem j od pewnego chłopa w Bretanii, poniewa przypominała mi ciebie. Jest równie dumna i ma tak pi kn , rud grzyw - dodał z u miechem. - Przewiozłem j przez morze na pokładzie „Nieustraszonego”. Miała okazj posmakowa morskich podró y, za którymi tak bardzo t sknisz. Kiedy b dziesz chciała odpocz od nas wszystkich, jed na niej nad morze, Bethany, a za ka dym razem, kiedy to zrobisz, pomy l o mnie.

Padła mu wtedy w ramiona i rozplakała si z rado ci. Potem wsiadła na oklep na klaczk i obie sp dziły wspaniałe popołudnie, igraj c z falami.

Teraz, gdy ju siedziała na grzbiecie Lacey, spojrzała w gór , na pociemniałe niebo i pomy lała o ojcu, który poniósł mier z r k piratów. Ta tragedia na zawsze zmieniła ycie jej i jej sióstr. Z błogosławie stwem Karola II dalej pływały na „Nieustraszonego”, który pełnił rol zarówno statku handlowego, jak i korsarskiego w słu bie królewskiej. Tak długo, jak długo „Nieustraszonego” b dzie nadawał si do rejsów, mogły nie martwi si o swój byt i pozwoli sobie na do wygodne ycie. Ich spi arnia była pełna. Słu cy godziwie opłacani. A dziadek, Winnie i pani Coffey nie musieli l ka si staro ci.

Wci si o nas troszczysz, prawda, ojczu?

MaryCastle szybko zostało w tyle, kiedy Lacey pu ciła si galopem wzdłu brzegu. Bethany zacisn ła dłonie na grzywie klaczy i miała si beztrosko, przepełniona rado ci . Kochała jazd konn dla niej samej. Zawsze uwa ała, e to najlepszy sposób sp dzania czasu prócz lizgania si po falach Atlantyku na pokładzie statku.

Pochyliła głow i mruzczała słowa zach ty do ucha klaczy. Po paru minutach wspi ły si na wzgórze. Na szczycie

przystan ły na chwil , zbieraj c si ły do dalszego, szale czego galopu.

- Spójrz, Lacey. - Bethany wpatrzyła si w „Nieustraszonego” cumuj cego w przystani. - To statek ojca. Ten, na którym do mnie przyłyn ła .

Ko stał bez ruchu, jakby rozumiał ka de słowo.

- Ten sam statek zabierze mnie na obce wybrze a i z powrotem do domu. - Nachyliła si i przejechała dłoni po karku zwiercia. - T sknisz za wielk wod , prawda, staruszko? Ja te - cisa boki Lacey.

Klacz ruszyła galopem z boczem wzgórza, przeci ła pla i wpadła w fale. Mkn ły przez płycizny, wzbijaj c fontanny wody.

Bethany nie znała lepszego sposobu na to, by oczy ci umysł ze wszystkich problemów i uwolni si od kłopotów. Mogła tak galopowa godzinami.

Mkn ły po piaszczystej pla y, zostawiaj c za sob g ły bokie lady ko skich kopyt, które natychmiast zmywały uderzaj ce o brzeg fale.

Nagle Lacey zaryła si w miejscu. Bethany tylko swoim je dzieckim umiej tno ciom zawdzi czała, e nie wpadła głow w wod . Zaciśn ła mocno kolana i wczepiła dłonie w grzywy klaczy, dzi ki czemu zdołała si utrzyma na jej grzbiecie.

O par kroków od niej stał jaki je dziec, cały ubrany na czarno. Bethany zamarła. To był on. Władca Nocy.

- Prosz o wybaczenie. - Mówił tym swoim przejmuj cym szeptem, od którego czuła mrowienie na karku. - Nie zdołałem ci uprzedzi o moim przybyciu.

- Mogłe krzykn .

- Mogłem, ale i tak by mnie nie usłyszała.

Przyjrzała si uwa nie zwierciu i je d cowi. Ogier dyszał i parskał, zupełnie jak po szybkim, wyczerpuj cym biegu. Mimo kapelusza nasuni tego nisko na czoło i chusty,

skrywajcej dolną twarzą jej dłoń, nie sposób było nie zauważyć, że jej równie brakowało tchu. Jego tors wznosił się i opadał rytmicznie. Bez wątpienia przybyli z daleka.

Teraz, kiedy minęło zaskoczenie, poczuła, że gniew bierze górę nad strachem.

- Daleko stąd do bogatych i utytułowanych, których zwykle napadasz.

- Dzisiejszej nocy nie ich szukałem. Przyjechałem zobaczyć się z tobą, Bethany.

Te słowa wzbudziły w niej lęk.

- Długo tu jesteś?

- Na tyle długo, że widziałem twoją sylwetkę na wzgórzu, w świetle księżyca. - Wystarczająco długo, by podziwiać cię przez przybrzeżne fale. Umiechnął się mimowolnie na samo wspomnienie tej sceny. Bethany wydała mu się najbardziej nieustraszoną, najwspanialszą istotą, jaką kiedykolwiek widział. - Zazdroszczę ci twojej wolności.

Pod wpływem spojrzenia Władcy Nocy zaschło jej w gardle. Wprost jej pojechał tymi ciemnymi, tajemniczymi oczami. Chcąc ukryć zdenerwowanie, spytała:

- Czy by ty nie był równie wolny? W końcu ty tu jesteś.

Pochylił głowę.

- Jestem. - Gdyby wiedziała, przez co przeszedł, aby się tu znaleźć. Tym większa była jego radość z osiągnięcia celu. Zawsze lubił wymykać się samotnie pod osłonę ciemności.

- Skoro tu jesteś, to znaczy, że wybrałaś się na przejażdżkę, ponieważ ja nie mam nic, co mógłbyś skraść. - Leciutko trzymała kolanem bok Lacey i klacz natychmiast ruszyła z miejsca. - Jak się zapewne domyślasz, nie pozwól mi złapać. Ani tobie, ani nikomu innemu! - zawołała, nie dając mu czasu na ripost.

Jej ko zata czył w wodzie i pomkn ł wzdłu wybrze a, stopniowo nabieraj c szybko ci. Czarny je dziec powiódł za nimi wzrokiem, po czym, wyczuwaj c, e ogier chce podj wyzwanie, ci gn ł wodze. Ko ruszył z kopyta. Mkn li po piachu, coraz szybciej i szybciej. Pot ny wierzchowiec w okamgnieniu pokonał dziel cy ich dystans. Kiedy si zrównali, rozbójnik odwrócił głow , by spojrze na galopuj c obok kobiet . Wilgotna suknia oblepiała j jak druga skóra. Spódnica zadarła si a do ud, odsłaniaj c pon tne ciało. Włosy unosiły si na wietrze na kształt płomiennej chmury. Oczy l niły nieskrywan rado ci . Jej miech rozbrzmiewał w nocnym powietrzu, czysty jak dzwoneczek. Nagle pochyliła si nisko nad ko skim karkiem i wydała jaki okrzyk. Klacz wysforowała si do przodu. Kiedy dotarł do przystani, amazonka miała si w głos.

- Mówiłam ci, e nie dam si złapa .
- Tak. Masz konia, który dorównuje ci temperamentem, Bethany. Jak ma na imi ?
- Lacey. Dostałam j od ojca.
- Pasuje do ciebie. Wydaje si równie nieokiełznana.
- To prawda. - Bethany roze miała si z zachwytem. -I, jak ja, nienawidzi przegrywa .
- Nietrudno si tego domy li . Jeszcze nigdy nie spotkałem kobiety tak lubi cej współzawodnictwo. - Podjechał bli ej. - Wiesz, e twój widok zapiera mi dech?
- Nie...

Zanim zdołała zaprotestowa , w ułamku sekundy zsun ł chust , przyci gn ł Bethany do siebie i dotkn ł jej ust swymi wargami.

Ten pocałunek nie przypominał poprzednich. Wówczas trzymał emocje na wodzy. Ten pocałunek był brutalny, intensywny, niemal dziki. Czuło si w nim długo tłumione pragnienie. Ten pocałunek sprawił, e stała si bezwolna, a potem wróciły jej siły.

- Przesta . - Odsun ła si , z trudno ci chwytaj c powietrze.

Zsun ł si z siodła, wyci gn ł r ce i wzi ł j w ramiona. Stali w wodzie, która si gała im niemal do bioder.

- Nie. Co ty...?

Zdusił jej protest kolejnym pocałunkiem.

Obydwa konie zata czyły nerwowo wokół nich w przybrze nej fali. Przypłyłw omal jej nie zatopił. Du e m skie dłonie okazały si silniejsze od morskich fal. Nast pny pocałunek był tak nami tny, e w odpowiedzi przyłgn ła do rozbójnika całym ciałem.

- Jeste najwspanialsz kobiet , jak kiedykolwiek znałem - szepn ł z ustami przy jej ustach. - Najwspanialsz - powtórzył i pocałował j jeszcze raz i jeszcze. - Budzisz t sknoty, o których s dziłem, e dawno zostały pogrzebane. Bóg mi wiadkiem, e ci pragn , Bethany. Tak jak nie pragn łem nikogo ani niczego w całym swoim yciu.

Mimo oszołomienia zdawała sobie spraw , e powinna stawi opór, ale ka dy pocałunek, ka de dotkni cie jego dłoni wydobywały na jaw skryte nami tno ci. Uczucia, których istnienia nawet nie podejrzewała, opanowały jej zmysły i pozbawiały zdolno ci jasnego my lenia.

Usłyszał ciche westchnienie. Potem, zanim zdołała zaczerpn powietrza, znów dotkn ł jej ust, a głód, który wyczuła w tym pocałunku, oszołomił j i pozbawił tchu. Rozkoszował si jej ustami, karmił si ni , nasyczał jej słodkim, czystym smakiem. Obsypał pocałunkami jej powieki, policzki, szyj . Obwiodł kontur ust j zykiem, sprawiaj c, e była bliska szale stwa i my łała tylko o tym, by poczu jego usta na swoich. Kiedy w ko cu to zrobił, obj ła go i z arliwo ci , która dorównywała jego arliwo ci, odwzajemniała ka dy pocałunek.

Nie potrafiła si powstrzyma . Musiała pozna ten jego mroczny, tajemniczy smak. Zapami ta . Trzymała dłonie na

jego torsie, ale pragnęła dotykać go w taki sposób, w jaki on dotykał jej ciała.

Przesunęła dłonie po plecach Bethany. Kiedy kciuki napotkały jej pełne piersi, zamarła na moment. Jego dotyk natychmiast zelał, rękę kołysała, choć pocałunki wciąż ją pobudzały.

Cudownie było na nią patrzeć. Na rzęsy, które zatrzepotały, a potem przysłoniły jej oczy, rzucając cień na policzki. Na rumieniec podania, który zaróżowił jej skórę. I na dreszcz, który wstrząsnął jej ciałem, kiedy kciukami potarł czubki piersi.

Odepchnęła go, wiedząc, że powinna położyć temu kres.

Jednak hipnotyczne przyćmianie tych warg, pragnienie jeszcze jednego oszałamiającego pocałunku, sprawiło, że westchnęła, jakby z żalu nad swoją słabością. A potem zarzuciła mu ramiona na szyję i przyłgnęła do niego, podając mu usta i prosząc o więcej.

Dotyk miękkiego ciała był mu najśłodszą torturą. Przez wilgotne ubranie czuł jej piersi tuż przy torsie. Twarde, sztywne sutki sterczały w zimnym, nocnym powietrzu. Udał się do swoich, gdy przesunęła dłonie na jej biodra, by przyćmiewać ją do siebie jeszcze bliżej.

Myślał o tym, że leży z nią na zimnym piasku i daje upust temu straszliwemu napięciu, opanował ją nim bez reszty. Pragnęła jej rozpaczliwie. To pragnienie było niczym demon, który wyrwał się na wolność.

Wydawało się to takie proste. To, jak do niego przyłgnęła i podała mu usta, oznaczało jedno. Przekroczyła granicę. Podobnie jak on, była głucha na głos rozszedku. Gdy tak się nią napawał, rozkoszował jej słodkim, czystym smakiem, usłyszał ciche westchnienie i nagle poczuł się winny. Była panną. Dziewicą. A on wykorzystał jej niewinność dla zaspokojenia własnej przyjemności.



- Bethany. - Z jej imieniem na ustach uniósł głowę i odsunął się od dziewczyny.

- To nie w porządku. Ty znasz moje imię, a ja nie znam twego - zaprotestowała, mierzwiła jednym a drugim westchnieniem rozkoszy.

- Znasz moje imię.

- Tak. Władca Nocy. - Nigdy w życiu nie czuła się tak jak teraz. Oszołomiona, z lekkimi głowami i niemal szalona z podania. Cały wiatr wydawał się wiewać. Woda, która ich otaczała, nie zdołała ostudzić, a raczej kipiła w jej żyłach. - Chciałabym wiedzieć więcej. Chciałabym cię poznać. Dowiedzieć się o tobie wszystkiego.

- Ja muszę... przeprosić, moja damo. - Zaciśnięte dłonie na jej ramionach, by tylko nie zdołały jej przewrócić. Po czym, wzięwszy głębi oddech, przycisnęła czoło do jej czoła. - Obawiam się... przekroczyłem granicę.

Stała bez ruchu i oddychała głęboko, próbując uspokoić oddech. Serce waliło jej jak młotem. Obawiała się, że on usłyszy ją przez szum fal.

- Odprowadź cię do domu.

- Nie ma potrzeby. - Skoczyła na grzbiet klaczy, zakłopotana nagłą zmianą w jego zachowaniu.

- Powiedziałem, że cię odprowadzę.

Chwytał wodze swego wierzchowca, ale zanim wskoczył na siodło, już poderwała klacz do biegu i mknęła po plaży w stronę widocznego w oddali domu.

Obserwował z uczuciem zawodu, jak ją i jej konia pochłonęła ciemność. Po paru minutach ujrzał ich sylwetki ponownie. Bethany odprowadziła konia do stajni, po czym odwróciła się i pobiegła w kierunku pogrzebionego w ciemności domu.

Stał bez ruchu, w drżących dłoniach trzymając uzdę i czekając, aż serce powróci do normalnego rytmu.

Po długim czasie ruszył klusem w drog . Kiedy gnał przez mrok, przeklinał i obrzucał si najgorszymi wyzwiskami, jakie tylko przyszły mu do głowy.

Bethany Lambert jest zbyt delikatna, by wykorzysta j w ten sposób. Zasługiwała na kogo lepszego ni on i jemu podobni. To sprawa honoru okaza nale ny jej szacunek. Jest słodka, dobra i niewinna. Ma te wszystkie cechy, których jemu brakuje.

A jednak, maj c wiadomo tego wszystkiego, pragn ł jej, pragn ł tak desperacko, e zakrawało to na szale stwo.

Sam nie wiedział, jak długo jeszcze b dzie w stanie ci gn t niebezpieczn gr , zanim szale stwo przywiedzie go do ostateczno ci.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Bethany zbudziły odgłosy porannej krz taniny w MaryCastle. Trza niecie drzwi do pokoju dziadka i jego tubalny głos w holu, gdy spytał Libby, ich młodziutk słu c , gdzie jest jego czysta koszula. Głos Libby, która odpowiedziała mu, jak ka dego ranka, e koszula le y na komodzie. Wołanie pani Coffey, e niadanie gotowe. eglarska melodyjka, któr gwizdał powracaj cy ze stajni Newton. Skrzywienie schodów, po których Darcy wspinała si na wdowi ganek, by wyjrze , czy nie bielej w oddali agle statku, którym miał przyby do domu jej ukochany od lat dzieci cych.

Dr cymi palcami wkładała ubranie, gotuj c si do sp dzenia kolejnego dnia w Opactwie Penhollow. Jak znieśie cały dzie w towarzystwie lorda, skoro sercem wci j jest przy Władcy Nocy?

Znieruchomiła, gdy pomyślała o tym, co ich połączyło. To było coś więcej niż kilka skradzionych pocałunków. O wiele więcej – ar i nami tno , i tajemnicze, dzikie pragnienie, o którego istnieniu nie miała dotąd pojęcia. Gdyby nie siła woli Władcy Nocy, mogliby bardzo łatwo przekroczyć wszelkie granice.

Szybko dokończyła ubierania. Włożyła prostą bluzkę i ciemną spódnicę, a włosy zwinęła w warkocz na karku. A potem stała przez długi czas przed lustrem, wpatrując się w swoje odbicie i zastanawiając się, czy po ostatniej nocy nie wyglądała jakoś inaczej. Czy ktokolwiek domyśli się, patrząc na nią, że spotkała się z Władcą Nocy? Czy kilka miłych pocałunków i namiotny ucisk sprawiły, że kobieta wyglądała inaczej? Na bardziej do wiadczonej? Och, wiele by dała, by wyglądała wytwornie, pięknie i... uwodzicielsko.

Poirytowana kierunkiem, w którym podjęły jej myśli, chwyciła szal i wypadła z pokoju, zatrzymując się przy drzwiach. Kiedy ruszyła w dół po schodach, z salonu dobiegł jej obcy głos. Zdziwiła się, gdy po chwili rozpoznała piszczyący dyszkanct Edwiny.

Zamierzała niepostrzeżenie wyliznąć się na dwór, ale Edwina spostrzegła ją, pospieszyła do holu i uczepiła się jej jak rzep.

- Nie uwierzysz, co się stało, Bethany. Właśnie nie opowiadałam twojej rodzinie... - Wcięgnęła młodą kobietę do salonu, gdzie już czekali pozostali domownicy, którym koniecznie chciała przekazać najwiecej nowiny. - O wicie dostałyśmy wiadomość od niejakiej panny Jenny Pike z przytułku dla sierot w Mead. Słyszała o nim?

Choć pytanie zostało skierowane do Bethany, wszyscy zebrani pokręcili głowami z wyjątkiem Geoffreya Lamberta. Starszy pan powiedział:

- Mead to mała wioska rybacka, dość daleko stąd. Nigdy nie słyszałem o tamtejszym przytułku.

Edwina tajemniczo zniżyła głos.

- Nikt o nim nie słyszał. Otóż ta panna Jenna Pike zaprosiła mnie i mam, żebyśmy do niej przyjechały po odbiór naszych kosztowności.

Zebrani wydali okrzyk zdziwienia. Edwina uśmiechnęła się, zadowolona, że jest w centrum uwagi.

- Podobno ubiegłej nocy na progu przytułku ktoś zostawił paczkę. W środku było mnóstwo klejnotów i innych cennych przedmiotów oraz lista nazwisk tych, którym zostały skradzione. Z podpisem Władcy Nocy.

- Czy by to oznaczało, że nasz rozbójnik postanowił wieści uczciwie? - zadumał się głośno Geoffrey.

- Nie sądzę. - Edwina już kierowała się do wyjścia. - Oswald mówi, że to najpewniej oznacza, iż ołnierz króla się na jego tropie, a on chce pozbyć się dowodów przestępstwa i uciec z Kornwalii.

- Oswald?

Po okolicy już od jakiegoś czasu krążyły pogłoski o Edwinie i kuzynie lorda.

- Tak. Nie mówiłam? - Edwina ponownie zniżyła głos. - Oswald Preston spędza duży czas w moim towarzystwie. Co więcej, utrzymuje, że to z mego powodu jeszcze nie wyjechał do Londynu. Mama i ja przypuszczamy, że wkrótce poprosi o moją rękę. - Posłała zebranyemu spojrzenie pełne triumfu.

- Cóż. - Bethany nie miała pojęcia, co właściwie powinna powiedzieć. Upodobanie kobiet do kogoś pokroju Oswalda Prestona stanowiło dla niej zagadkę. Po chwili powiedziała sobie w duchu, że nie powinno jej to dziwić. Edwina również nie poruszała szerokimi horyzontami.

- Wracając do tego niezwykłego wydarzenia - oznajmiła Edwina wyniośle - bez względu na to, co się za tym kryje, mama i ja odzyskamy nasz biuterium. Oswald powiedział, że zaraz pojedziemy do Mead, do tamtejszego

przytułku. -Wyszła w chmurze francuskich perfum, szeleszcząc halkami.

Domownicy, rozważając ostatni zwrot w tej tajemniczej sprawie, udali się za pani Coffey do jadalni, gdzie już czekało nianie. Bethany była dla nich jak centrum niezwykłego nocnego spotkania z Władcą Nocy. Zarówno on, jak i jego wierzchowiec wyglądali jak po długiej, wyczerpującej drodze. Logicznym wytłumaczeniem tego stanu rzeczy byłoby to, że w końcu nie wrócili z Mead. Ale rozbójnik nie sprawiał wrażenia człowieka, który ucieka przed niebezpieczeństwem. Przeciwnie, zachowywał się jak ktoś pogodzony ze sobą. Ktoś, kto ma za sobą nadto czasu. Słowa siostry wyrwały jej z zadumy.

- Jak myślisz, czy Edwina ma rację? - Darcy skubnęła biskopt. - Naprawdę wierzysz, że Władca Nocy wyjechał z Kornwalii, dziadku?

- Mam nadzieję. Niektórzy ludzie w okolicy trochę by odetchnęli.

- Czy ty kiedykolwiek się go obawiałaś, dziadku? - zainteresowała się Bethany.

Pokręciła głową.

- Tyko bogaci muszą się bać. To, co mam, nie przedstawia wielkiej wartości dla jakiegokolwiek rozbójnika.

- Cóż... Obeszła stół i pocałowała go w policzek. - Ty sam jesteś dla nas bardzo cenny.

Zaskoczony i wzruszony, poklepał ją po ramię.

- Co się stało, dziecko?

- To dlatego, że cię kocham, dziadku. I w końcu nie doszłam do wniosku, że nie mówisz ci tego dostatecznie często.

- Nagle wpadła jej do głowy pewna myśl. A pojął ją na twarzy. - Właśnie dlatego ty i Winnie nie moglibyście udać się z mną do Opatwa Penhollow?

- Och, bardzo byśmy chcieli. - Stara niania uśmiechnęła się do mężczyzny siedzącego na wprost niej. Bez wątpienia był to uśmiech kobiety zadurzonej. Potwierdzało to

domysły sióstr, a dziadek i ich stara niania ostatnio zbliżyli się do siebie, i to bardzo. - Obawiam się jednak, że to niemożliwe. Geoffrey i ja obiecaliśmy młodemu diakonowi Wellandowi, że wybierzemy się dziś na plebanię. Diakon planuje zorganizować w niedzielę uroczystość błogosławienia statków i wygłosi stosowne kazanie, toteż chciałby zasięgnąć rady prawdziwego kapitana.

Gospodyni, która obchodziła stół, nalewając herbatę, parsknęła z irytacją.

- To Bethany powinna pojechać na plebanię.
- A to dlaczego, pani Coffey? - spytała naiwnie Darcy.
- Wszyscy w Lands End wiedzą, że młody diakon potrzebuje pomocy. Naszej Bethany przydałby się jej wpływ subtelny, rozsądek młodego człowieka, takiego jak pan Welland.

Bethany tylko westchnęła i ruszyła ku drzwiom, chcąc jak najszybciej uciec.

- Przepraszam. Zdaje się, że słyszysz turkot wozów.
- Nie próbuj robić uników, młoda damo! - zawołała za nią gospodyni. - Mógłby ci się trafić ktoś o wiele gorszy, Ian Welland jest równoważony, solidny... i trzeźwy - dodała po namyśle.

Kiedy Bethany usłyszała Newtona, przyspieszyła kroku.

- Newt mnie szuka. Zatrzymaj pozostałych. Bądź w domu przed zmrokiem.

- Postaraj się! - zawołał za nią dziadek. - I powiedz lordowi, że jutro ja będę ci towarzyszył. Naturalnie, jeżeli nasi ludzie dzisiaj nie skończą wybrania.

- Tak, dziadku. Dziękuję.

Wybiegła z domu i wdrapała się na siedzenie wozu.

- Zdaje się, że bardzo ci spieszą, malutka. - Stary marynarz ujął lejce.

- Tak. Zjawili się w sam por, by mnie wybawić. Pani Coffey znów zabawia się w swatkę.

- Kto jest tym szczupliwym?

- Pomocnik pastora, Welland. Jest przekonana, że byłby dla mnie idealnym mężem.

- A to ci para. - Pokręcił głowę i zachichotał. - Prawdopodobnie przez pierwsze pięć lat małżeństwa zbierałby się na odwagę, by potrzymać cię za rękę, dziecko.

Równie zachichotała.

- Tak. A gdyby ujrzał mnie przypasując szpadę i chowając króciaczki do kieszeni, prawdopodobnie od razu zamieniłby swój sutann na siermięny worek i posypując głowę popiołem, zaczął odprawiać pokutę.

Starszy mężczyzna przytaknął.

- Nie pozwól tej starej kwoce wybierać ci męża, malutka. Wiednie poradzisz sobie z tym sama.

Pokręciła głowę.

- Nie jestem tego taka pewna, Newt. - Odwróciła się ku niemu. - Skąd się wie, czy to naprawdę miło, czy tylko... - Umilkła, zakłopotana.

Choć starała się mówić lekkim tonem, stary człowiek wyczuł w jej słowach nutę niepokoju. Ostatnio coraz częściej spostrzegał u niej oznaki narastającej nerwowości. I rumieniec na policzkach.

Po chwili milczenia powiedział:

- Miło, prawdziwa miłość, oznacza, że troszczymy się o kogoś bardziej niż o siebie. Pragniemy tego, co jest najlepsze dla drugiej osoby, choćby nam samym miało to sprawić ból. Widziałem, jak Riordan Spencer toczył walkę ze sobą, bo pragnął twojej siostry Ambrozji. Ale jeszcze bardziej zależało mu na tym, by być wobec niej w porządku.

- Jak to rozwiźli, Newt?

- Myślę, że Ambrozja po prostu wzięła sprawę w swoje ręce. - Uśmiechnęła się szeroko. - Skoro postanowiła za niego wyjść, biedak nie miał najmniejszych szans.

Widz c jej min , poło ył s kat r k na dłoniach, które trzymała zaci ni te na kolanach.

- Nie martw si zakusami pani Coffey. Jej zabiegi nie maj adnego znaczenia. Ci, którzy szukaj miło ci, rzadko j znajduj . Miło , prawdziwa miło , zakrada si do ciebie, kiedy najmniej si tego spodziewasz.

- Czy kiedykolwiek zakradła si do ciebie, Newt?

- O, tak. I trafiła mnie przez zaskoczenie. - Pu cił do niej oko, po czym zaj ł si zaprz giem.

Bethany zachodziła w głow , czemu, im bardziej zbli ali si do lasu, tym wi kszy niepokój j ogarniał? Wła ciwie cieszyła si na my l o sp dzeniu kolejnego dnia w towarzystwie lorda. Jak to mo liwe? W nocy całowała si z rozbójnikiem. W ci gu dnia rozmawiała, miała si i, co tu du o mówi , flirtowała z lordem Alsmeehem. Czy takie zachowanie nie stawiało jej w jednym rz dzie z kobietami pokroju Edwiny Cannon?

Jej zdenerwowanie przybrało na sile, gdy dojechali do lasu i spotkali si z Huntleyem stoj cym przy wytwornym powozie lorda. Powitawszy Newtona i wie niaków, odprowadził j do powozu, którym mieli uda si do rezydencji. Tak jak poprzedniego dnia, uj ła lejce i pop dziła konie, zadowolona, e ma jakie zaj cie.

- Nie powinna pani tego robi , panno Lambert – ostrzegł surowo Huntley. - Gdybym miał odrobin rosz dku, nie pozwoliłbym na to.

- Nikomu nie powiem, Huntley. To b dzie nasz mały sekret.

Zacisn ł usta. A za dobrze wiedział, e lord na pewno nie przeoczy ich przybycia.

- Witamy, panno Lambert. - Gospodyni tradycyjnie powitała j na dziedzi cu, po czym pospiesznie udała si do swoich zada .



Huntley poprowadził Bethany na górę, do biblioteki i stał cicho w drzwiach, zaanonsował:

- Jest tu panna Bethany, milordzie.
- Dziękuję, Huntley.

Lokaj odsunął się i Bethany weszła do pokoju. Zatrzymała się raptownie, gdy tylko zorientowała się, że nie są sami. Przy biurku lorda siedzieli czterej mężczyźni w ciemnych kaftanach.

Kane odsunął fotel i obszedł biurko. Na widok jej zaróżowionych policzków i pasm płomiennych włosów, które wyśliznęły się z włosa na karku, uśmiechnął się lekko.

- Zdaje się, że wiatr się nieco wzmógł.
- Tak.

Kane spojrzął na mężczyznę, a potem zwrócił wzrok ku Bethany.

- Proszę mi wybaczyć, ale mam teraz spotkanie z moimi prawnikami. Właśnie nie przyjechali z Londynu.
- Rozumiem.

W jej oczach dostrzegł rozczarowanie. On czuł to samo. Może dobrze się stało, bo kiedy na nią patrzył, myślał tylko o tym, by jej dotknąć. A dotykanie panny Lambert mogło doprowadzić do najroźniejszych... komplikacji.

- Proszę się nie krępować i oglądać wszystko, co pani interesuje. Jeśli szybko uporamy się z interesami, może uda mi się zjeść z pani południowy posiłek.

- Naturalnie. - Odwróciła się i szybko wyszła z biblioteki, starając się nie pokazać po sobie rozczarowania. Zamykając drzwi, spostrzegła, że Kane już zasiadł za biurkiem i otworzył pierwszą z licznych ksiąg, które piętrzyły się po jednej stronie. Odniosła wrażenie, że już o niej zapomniał.

Z westchnieniem zeszła po schodach. A potem, wiedziona impulsem, ruszyła w kierunku głosów dobiegających z kuchennej części domu.

Kane wstał od biurka i uciszył dźwięki prawnikom.

- Jestem wdzieczny za tak szybkie zajęcie się tą sprawą. Mam nadzieję, że powrotna droga panów do Londynu przebiegnie bez niespodzianek.

Po ich wyjściu przycisnął dłoń do obolałego karku. Nieścisza dziękując, powiedział im, że musi spędzić z nimi tyle godzin. Niestety, nie udało się tego uniknąć.

Może i dobrze, że tak się stało. Bethany wyglądała tak kusząco, kiedy tu weszła z zaróżowionymi policzkami i zburzonymi wiatrem włosami, że pewnie by ją pocałował, nie zważając na konsekwencje. Długie, nudne godziny spędzone nad księgamis rachunkowymi pozwoliły mu ochłonąć. Musi tylko trzymać się z dala od Bethany przez resztę dnia. Jeśli się postara, powinno mu się udać.

Ze Stormem u nogi zszedł powoli po schodach. Od strony kuchni dobiegł go głośny śmiech. Nigdy dotąd nie miał okazji, by udać się do tej części domu, teraz jednak postanowił sprawdzić, co się tam dzieje. Zajrzał do kilku pomieszczeń i nie zastał w nich nikogo. Rożnięte głosy były coraz bliżej. Zatrzymał się w progu kolejnego pomieszczenia i jego zdumionym oczom ukazała się niezwykła scena.

Bethany stała plecami do niego w otoczeniu słuchających, nie wyłaczając pani Dove i Huntleya. Wszyscy słuchali jak zaczarowani, a ona opowiadała zabawną historię ze swego dzieciństwa.

- ...i były my tam wszystkie, Ambrozja, Darcy i ja, przemoczone do suchej nitki po tej nieoczekiwanej kąpieli w morzu, zmuszone ubrać się w stare ubrania ojca i Jamesa. Ambrozja, o ile sobie przypominam, miała na sobie koszulę ojca i spodnie naszego brata. Moim zdaniem wyglądała w nich całkiem nielepo. Ja z kolei założyłam stare spodnie ojca, na tyle obszerne, że mogłabym się nimi owinąć. A biedna Darcy była tak mała, że koszula Jamesa się gała jej do kostek. A zgadnijcie, kto na nas czekał, gdy zeszłyśmy z łódki na plażę? Sam

burmistrz Lands End. Biedny papa. Zmuszony wyjechał, dlatego jego córki wyglądają jak banda oberwałów.

Słuchajcież li się ze miechu.

- Najgorsze w tym wszystkim było to, że burmistrz przyprowadził ze sobą siostrę, starszą pannę, której papa bardzo się podobał. Może ci się wyobrazi, jak szybko zmieniła zdanie, kiedy zdała sobie sprawę, jaki ciarę przysłoby jej wsiadanie na swoje barki. Nie do tego, że musiałaby zajmować się domem, który wszyscy we wsi nazywają Szaleństwem Lamberta, ale jeszcze i cała nasza rodzina. Po jednym spojrzeniu na nas nabrała przekonania, że mariaż z kapitanem Lambertem to czyste szaleństwo.

Nawet Kane nie mógł powstrzymać się od miechu, wyobraź sobie opisaną przez niego scenę.

Bethany zorientowała się, że jej słuchacz zerkał na drzwi i milknął. Kiedy się odwróciła, zobaczyła stojącego w nich Kane'a.

- Proszę wybaczyć, milordzie. - Pani Dove zaczęła tyłem wycofywać się z pomieszczenia.

Słuchający rozpięchli się. Nawet Huntley odchrząknął, po czym wymknął się w poszukiwaniu jakiegoś zajęcia.

Gdy zostali tylko we dwoje, Kane oparł się o framug i skrzywił się na torsie.

- To była zabawna historia. Prawdziwa?

- Tak. Takie rzeczy często zdarzają się w naszej rodzinie. Zaczynał rozumieć, czemu sama jest tak niezwykła.

- Ażuj, że pani wtedy nie znałem. Czy teraz spotyka pani wiele takich wypadków?

- Za wiele - odparła z westchnieniem.

Umiechnął się i podszedł bliżej.

- Szkoda, że nie zjedliśmy razem południowego posiłku.

- Trudno. Zjadłam tutaj z pańskimi słuchaczami.

- Rozumiem. Teraz podwójnie ałuj , e nie mogłem w nim uczestniczyć .

- Jadł pan tu kiedy ze słuchaczami?

- Nie. Ale widzę , e ominęło mnie sporo... interesujących rzeczy.

Opuściła głowę i przejechała palcem po mące rozsypanej na stole.

- Słucham bardzo mili.

Niewiele mylić, dotknął dłoni jej policzka.

- Jestem przekonany, e oni powiedzieliby to samo o pani.

Spróbowała zignorować ten gest, ale na nic się to zdało. Dotyk jego ręki parzył skórę .

- Czy pan... - Odsunęła się o krok, nie odrywając wzroku od blatu stołu. To było łatwiejsze niż patrzenie na niego ze świadomości , e zauważył zdradliwy rumieniec na jej policzkach. - Czy słyszał pan ostatnie nowiny?

- Jakie nowiny?

Głos przybliżył się . Uświadomiła sobie, e lord stoi tu obok. Nie odwróciła się , ale czuła jego natarczywy wzrok.

- Edwina Cannon i jej matka otrzymały tego ranka wiadomość od niejakiej panny Jenny Pike z przytułku w Mead, e mogła zgłosić się do niej po kosztowno ci skradzione przez Władcę Nocy.

- Interesujące. - Znacznie bardziej interesowało go pasmo włosów, które wyśliznęło się z włosów na jej karku. Nie mógł się temu oprzeć , dotknął go i potarł między kciukiem a palcem wskazującym. Było delikatniejsze od puchu.

Przez całe ciało Bethany przeszła fala dreszczu. Objęła się ramionami, by powstrzymać dreszcz.

- Edwina utrzymuje, e pański kuzyn Oswald podejrzewa, i Władca Nocy wkrótce zostanie pojmany przez oddziały króla i obawia się zostać schwytany z dowodami

zbrodni.- Odwróciła się powolutku. W jego oczach zobaczyła co takiego, a poczuła ukłucie w sercu. - Co pan na to?

Przez ułamek sekundy był niezdolny do myślenia o czymkolwiek. Widział tylko te zielone oczy wpatrzone w jego oczy. A jeszcze tak niedawno wierzył, że sobie z tym poradzi. Wystarczy, że zachowa dystans. Tymczasem teraz, w tej chwili, pragnął zamknąć ją w ramionach i całować, a im obojgu zbraknie tchu. I doprowadzi rzecz do nieuniknionego finału.

Z wielkim wysiłkiem narzucił sobie opanowanie.

- Znam przytułek w Mead.

Otworzyła oczy szerzej.

- Naprawdę?

- Tak. - Po chwili milczenia podjął decyzję. -

Chciałaby pani go zobaczyć?

- Oczywiście! Moemy tam jechać?

- Naturalnie, to aden problem. - Poza tym b dzie miał jakie zajęcia poza wpatrywaniem się w nią jak chory z miłości głupiec. Z widoczną ulgą odwrócił się do wyjścia. - Powiem Huntleyowi, żeby przygotował mały powóz.

Dzie był wymarzony na przejazd. Łagodny wietrzyk szeleścił w gałęziach drzew rosnących po obu stronach drogi rozświetlonej słonecznym przezczajonym światłem przez listowie. Storm wskoczył na siedzenie pojazdu i ulokował się między dwoma paniami a Bethany. Ku wielkiemu zdziwieniu Kane'a po paru minutach pies pozwolił jej się pogłaskać.

- Co pan wie o Mead, milordzie?

- To mała wioska. I biedna. Parę razy w tygodniu Huntley i pani Dove udają się tam po wieśne ryby.

- Dziadek wspominał, że to wioska rybacka. Nic dziwnego, że nigdy tam nie byli my. Sami łowimy ryby na własne potrzeby. Nigdy nie musieliśmy ich kupować.

Szarpnął lejce i koń przeszedł w kłus.

- Tak post puje wi kszo mieszka ców Konwalii. To jeden z powodów, dla których wioska jest taka biedna. Niewielu ludzi wybiera si po ryby do tamtejszych doków.

Odwróciła głow i spojrzała na lorda.

- Sk d pan si o niej dowiedział?

- Mój ojciec cz sto tam bywał. - Wła nie wjechali na wzgórze. W dole wida było niewielk przysta z kilkoma łodziami rybackimi kołysz cymi si na wodzie blisko brzegu. - Bardzo długo nie pozwalał, bym mu towarzyszył.

- Dlaczego?

- Przypuszczam, e kontrast mi dzy naszym bogactwem a warunkami ycia w tej małej wiosce był zbyt du y. Gdy podrosłem, sam znalazłem drog .

Kiedy podjechali bli ej, zauwa yła, e domy s porz dnie utrzymane, ale nawet w połowie nie tak zamo ne jak w okolicach Opactwa Penhollow. Jechali wzdłu nabrze a, gdzie na sło cu siedzieli m czy ni, naprawiaj c sieci, a kobiety kr yły mi dzy wiadrami ryb, robi c zakupy na wieczorz .

Kane zatrzymał powozik, wysiadł i przywitał si z pomarszczonym rybakiem, który wzi ł złot monet , po czym postawił wiadro trzepocz cych si ryb z tyłu pojazdu.

- Reide, oto panna Bethany Lambert.

- Panno Lambert. - Stary człowiek zdj ł czapk i u miechn ł si bezz bnymi ustami, a potem zwrócił si do Kane'a. - Panna Pike b dzie rozczarowana, je li pan do niej nie zajrzy. Nie mówi c o dzieciakach.

- Tak. Wła nie do nich jad . - Kane u cisn ł dło rybaka i wskoczył na siedzenie obok Bethany.

Gdy tylko ruszyli w dalsz drog , podj ła:

- Zna pan pann Jenn Pike?

- Tak. To dobra kobieta - powiedział po prostu. - Mo e najlepsza, jak znam. Jest pi kna, miła i hojna, podobnie jak jej matka.

Bethany poczuła ukłucie w sercu. Zdumiało ją to. Czy by zazdro? Niemożliwe. Nie знаła tego uczucia. Poza tym z pewno ci nie obchodziło jej, z kim lord Alsmeech spędza czas. Tym niemniej jadła przez senną, małą wioskę, przygotowała się na to, że nie polubi kobiety, o której wyrażał się z takim szacunkiem.

Skręcili na wzgórze i minęli stary, walczyli się kościół, w połowie opleciony bujnie krzewami i bluszczem. Tu obok stał stary dom z licznymi przybudówkami, pewnie plebania. Choć był w równie złym stanie co kościół, otaczał go zadbane ogród, a z otwartych okien dolatywał zapach wieńca chleba, który przesycał powietrze.

Zanim Kane zdołał zatrzymać powóz, dobiegły do nich podniesione z podniecenia głosy i drzwi gwałtownie się otworzyły. Na progu stanęła piękna młoda kobieta i otworzyła szeroko ramiona. Ku osłupieniu Bethany lord wysiadł z powozu i ujął obie jej dłonie w swoje, a z drzwi wysypała się gromadka dzieci, które otoczyły ich, krzycząc i piszcząc. Kobieta powiedziała coś cichym głosem i dzieci z szacunkiem umilkły.

- Kto to? - Kobieta uśmiechnęła się, przyglądając się Bethany.

- Chodźmy, panno Pike. - Kane ujął ją za rękę i poprowadził do powozu. - Oto panna Bethany Lambert. Panno Lambert, to panna Jenna Pike.

- Panno Pike. - Bethany wyciągnęła rękę, którą tamta mocno ucisnęła, patrząc jej przy tym w oczy.

- Panno Lambert. Jesteśmy zaszczytzeni pani wizytą. - Odwróciła się do gromadki. - Dzieci, czy możecie się ładnie przywitać z naszym gościem, panną Lambert?

Dzieci pewnie wyrecytowały:

- Witamy, panno Lambert.

Bethany była oczarowana. Nie tylko dziećmi. Równie ciepłym, które dostrzegła w oczach młodej kobiety.

- Dzi kuj . Ciesz si , e tu przyjechałam.
- Milordzie, mo e wprowadzi pan pann Lambert do domu? Wła nie upiekłam chleb. Napijemy si herbaty.
- Dzi kuj . - Wyci gn ł r k i pomógł Bethany zsi .
- A Storm?

Kane pokr cił głow .

- Nie jestem pewien, jak zachowa si w stosunku do dzieci.

- Jest tylko jeden sposób, eby si o tym przekona . - Klepn ła dłoni w nog . Pies zeskoczył i ruszył za nimi.

Weszli do rodka. Wszystko l niło czysto ci , zadbane podobnie jak ogród. Kiedy tylko usiedli przy długim, drewnianym stole, koło nich zgromadziły si dzieci, tymczasem Jenna przygotowała herbat i pokroiła wie o upieczony, jeszcze ciepły chleb.

Bethany policzyła dzieci. Było ich dziesi cioro, w ró nym wieku, od ucz ej si dopiero chodzi dziewczynki z kr conymi włosami do chłopca wygl daj cego na mniej wi cej dwana cie lat. Nie mogła si powstrzyma . Posadziła sobie dziewczynk na kolanach, podsuwała jej kawałki chleba z konfitur i poila łyzkami herbaty.

- Mam nadziej , e nie ma pani nic przeciwko temu? - spytała cicho.

Jenna u miechn ła si .

- Gdzie bym mogła? Panno Lambert, te dzieci bardzo lubi towarzystwo dorosłych. Zwłaszcza je li jest to kto , kto nie ma nic przeciwko tylu wierz cym si małym stworzeniom.

- Bardzo mi si to podoba. Jak mogłoby by inaczej? - Bethany u miechn ła si do nie miałego chłopca i pocałowała w policzek dziewczynk , która dotkn ła jej włosów.

Nie uszło jej uwagi, e dzieci s bez reszty pochłoni te karmieniem Storma, który le ał pod stołem i machał ogonem jak wahadłem.



Wreszcie Jenna usiadła przy stole. Jej oczy błyszczały z podniecenia.

- Musz opowiedzie wam nowiny. Dzisiejszego ranka mały Noah znalazł na progu naszego domu paczk . Wewn trz znajdował si woreczek ze złotem i klejnotami. Do paczki doł czony był list z nazwiskami osób z pobliskich miast i wsi, do których nale te skarby. Polecono mi w nim, bym zawiadomiła tych ludzi, e w ka dej chwili mog odebra swoje kosztowno ci. A podpisał go ten słynny rozbójnik, Władca Nocy.

- Fascynuj ce. - Kane u miechn ł si . - Zna pani tego wyrzutka osobi cie?

Słysz c to, dzieci wybuchn ły miechem. Jenna przył czyła si do nich, ale pokr ciła przez co głow .

- Jestem pewna, e zapami tałabym, gdybym kiedykolwiek spotkała kogo takiego.

- Czy kto z tych ludzi pojawił si po odbiór swoich rzeczy?

- Jak dot d, tylko dwie osoby. Panna i pani Cannon, z Lands End. W towarzystwie młodego człowieka, który przedstawił si jako pa ski kuzyn.

Kane mrugn ł do najstarszego chłopca i podał mu pół biszkopta.

- Jak si zachowywali?

Jenna u miechn ła si , widz c, jak m czyzna i chłopiec dziel si ciastkiem.

- Wygl dali na zaskoczonych samym faktem, e mieszka nas tu a tyle. Obie damy były tak zadowolone z odzyskania bi uterii, e kupiły kilka bochenków naszego chleba. Młody pan dał nam sztuk złota za fatyg .

- Jedn sztuk złota? - Kane nie przestał si u miecha ze wzgl du na dzieci, ale kosztowało go to sporo wysiłku.

- Prosz go nie pot pia , milordzie. To wi cej, ni mieli my, zanim tu przyjechali. - Jenna obj ła ramieniem jedn

z dziewczynką i przytuliła ją do siebie. - Damy powiedziały nam, że złoto i klejnoty zostały skradzione pod grobem pistoletu i że rozbójnik to istny potwór. Jak pan myśli, dlaczego taki brutal miałby zostawiać łup na progu naszego domostwa?

Kane wzruszył ramionami.

- Moje zakłady, że zrobicie z niego dobrego użytkownika.

- Artuje pan. Musiał wiedzieć, że nie zatrzymalibyśmy go dla siebie. Przecież zadał sobie nawet trud podania nam nazwisk okradzionych, żeby mogli odebrać swoje kosztownieści. - Pokręciła głowę. - Chciałabym zrozumieć, co to wszystko znaczyło.

Kane dopił herbaty i wstał.

- Moje z czasem dowiedzi się pani tego, panno Pike. Teraz, niestety, panna Lambert i ja musimy już jechać. - Sięgnął do kieszeni i wyjął stamtąd garstę monet, które rozdał dzieciom.

A następnie wcisnął niewielki woreczek w dłoń Jenny.

- Pan jest stanowczo zbyt hojny, milordzie.

- Nie. Nawet w połowie nie tak hojny jak pani. - Zwrócił się do starszego chłopca. - Dotrzymujesz umowy, którą zawarliśmy, Noah?

Chłopiec zarumienił się.

- Tak, milordzie.

- Jestem z siebie dumny. - Skinął na niego. - Z tyłu powozu jest wiadro z rybami. Powinno wam starczyć na popołudniową wieczerzę.

Chłopiec pospiesznie wybiegł i po chwili wrócił z wiadrem pełnym ryb.

Przy drzwiach Kane przystanął i uniósł dłoń Jenny do ust. Ten gest najwyraźniej wywarł na niej wrażenie.

- A to za co?

- Za to, że jest pani właśnie nie taka, jaka jest.

Pomógł Bethany wsiąść do powoziku, a potem zajął miejsce obok niej i ujął lejce.

Storm, wy ciskany przez wszystkie dzieci, skoczył pomi dzy nich.

- Czekamy na pana, milordzie! - zawołała Jenna. - Na pani tak e, panno Lambert.

- Dzi kuj za zaproszenie. Bardzo ch tnie przyjad tu ponownie.

Bethany odwróciła si i pomachała dzieciom, po czym ruszyli w drog . Najstarszy chłopiec biegł przy powoziku, a dotarli do ko ca zaułka. Wygl dało na to, e zamierzał biec jeszcze dalej, byle jak najdłu ej nie traci ich z oczu.

Kiedy mijali rozpadaj cy si ko ciół, spytała:

- Kim jest Jenna Pike? I dlaczego opiekuje si tyloma dzie mi? Z pewno ci nie jest to dla niej łatwe.

Kane pokiwał głow .

- Nie. To heroiczne zadanie dla jednej kobiety. Ale ona nie potrafi przej oboj tnie, kiedy widzi dziecko w potrzebie. To niewiasta o wielkim sercu, która podobnie jak przedtem jej matka, chce zapewni dom najbiedniejszym z biednych w Kornwalii.

- Czy wszystkie s sierotami?

Wzruszył ramionami.

- W ka dym razie wi kszo . Powiedziała mi kiedy , e jedno z nich zostało porzucone przez matk , bo nie była w stanie zapewni mu jedzenia ani schronienia.

Bethany westchn ła.

- Po prostu serce si kraje. Wszystkie dzieci wygl daj na takie szcz liwe. - Zarumieniła si . - Zawsze wydawało mi si , e sieroty musz by smutne i samotne.

- Tak by było. Gdyby nie Jenna Pike. Ona nigdy nie zastanawia si , jakie koszty przyjdzie jej ponie , zarówno w złocie, jak i w jej własnym yciu. - Szarpn ł lejce i ko przeszedł w trucht. - Ilu m czyzn byłoby skłonnych po lubi pi kn młod kobiet , która ma pod opiek gromad dzieci?

- Nie pomy lałam o tym.

- Ona te nie. Właśnie dlatego jest tak niezwykła. Widzi, że kto potrzebuje pomocy i udziela jej, nie myśli o konsekwencjach. Drogo płaci za swoje dobre serce. Domylam się, że obywają się bez wielu rzeczy, żeby tylko dzieci miały trochę więcej.

- I dlatego pomaga jej pan, daje jedzenie i złoto.

- To niewiele, jeśli się weźmie pod uwagę to wszystko, co ona robi. Zajmuje się pieczeniem chleba, a potem ona i dzieci wiozą go do wioski. Sprzedają, ile mogą. Ale to biedna wioska.

- Tak. Nawet ktoś ciół sprawia wrażenie, że się za chwilę rozpadnie.

- Ostatni pastor zmarł ponad pięć lat temu i nie znalazł się nikt, kto chciałby go zastąpić.

- Co za smutna mała wioska.

- Nie taka smutna. Biedna i tyle. Gdyby trochę ludzi dowiedziało się o Mead i jego mieszkańcach, to mogłoby się zmienić. - ci gnęł lejce. - Lepiej się pospieszmy. Mam przecucie, że stary Newt już czeka, żeby zabrać pani do domu.

Kiedy jechali wiejską drogą w popołudniowym słońcu, Bethany uwiadomiła sobie, jak bardzo lord Alsmeeth troszczy się o te młode kobiety i jej sieroty. Tak samo jak o wioskę, w której mieszkają. Była to zupełnie inna cecha jego charakteru, jak i odmienna od tego, co pokazywał reszcie świata. Cecha, która poruszyła jej serce.

Kiedy przybyli do Opactwa Penhollow, na dziedzińcu stał już wóz wyładowany tymi drzewami. Kane rzucił lejce chłopcu stajennemu i wraz z Bethany wszedł do domu w poszukiwaniu starego Newtona.

Odnaleśli go w kuchni. Siedział przy drewnianym stole obok pani Dove. Oboje mieli się, popijali herbatę i zajadali wie o upieczone biszkopty grubo posmarowane miodem.

- Wasza wielmożność . - Gospodyni zerwała się na równe nogi tak szybko, że omal nie potknęła się o krzesło. Jej policzki, jak zauważyła Bethany, spłonęły rumieciem. - Pili my herbatę, czekajcie na pana.

- Widz . - Zwrócił się do starego marynarza. - To ty jesteś Newton.

- Tak, milordzie. - Newt wstał. - Newton Findlay.

- Panna Lambert czy coś o tobie mówi.

- Ona i jej siostry są jak moje dzieci. - Starszy mężczyzna czyżna zwrócił się do Bethany. - Dobra wiadomość, malutka. Cieliśmy ostatnie drzewo. Jutro możemy rozpocząć prace przy „Nieustraszonym”.

- To rzeczywiście dobra wiadomość . - Zwróciła się do gospodyni. - Cóż, nie bój się już pani płata pod nogami, pani Dove.

- Ale, panienko! Nigdy mi panienka nie zawadzała.

- Dziękuj za wszystko.

- Proszę bardzo, panno Lambert. Miło było pani go cię tu, w Opactwie Penhollow. - Starsza kobieta zerknęła na Kane'a, który od dłuższego czasu nie odezwał się ani słowem. - Jestem pewna, że służyłaby po prostu naszego gościa. Oczywiście, jeżeli nie ma pan nic przeciwko temu, milordzie.

Kane skinął głową .

- Może pani poprosi, żeby zebrali się na dziedzińcu.

- Tak, milordzie. - Zadowolona gospodyni oddaliła się pośpiesznie.

Po paru minutach wyszli na zewnątrz. Służyła im się zebrała. Bethany połączyła się z nimi, a potem zwróciła się do Huntleya, który stał sztywno obok lorda.

- Do widzenia, Huntley. Dziękuj ci za wszystko. Zwłaszcza za to, że pozwolił mi powozić zaprzęgami, mimo iż było to wbrew twoim przekonaniom.

Mężczyzna zarumienił się .

- Cała przyjemność po mojej stronie, panno Lambert.

Odwróciła się do Kane'a, który patrzył na nią z tak przenikliwością, że spłonęła rumieniec.

- Panu też dziękuję, milordzie. Za umożliwienie mi zwiedzenia pańskich ogrodów i domu. I za to, że zawiózł mnie pan dziś do Mead.

- Proszę bardzo, panno Lambert.

Przykucnęła i pogłaskała Storma. Ku zdziwieniu wszystkich obecnych pies polizał jej rękę. Podeszła do wozu. Newton pomógł jej wdrapać się na kozioł, po czym usiadł obok niej i ujął lejce. Koźmi z widocznym wysiłkiem pociągnął wyładowany wóz.

Bethany odwróciła się, by pomachać wszystkim po raz ostatni. Po niedługim czasie koń i wóz zniknęli za wzgórzem i słuchając, rozmawiając po cichu, rozeszli się do swoich zajęć.

Tylko Kane został na dziedzińcu, z psem u nogi. Patrzył, jak kurz powoli zaczyna opadać. Wreszcie odwrócił się i ruszył po schodach, do biblioteki. Na jego twarzy malowała się zaduma.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

- Niezmiernie lubi słuchać, jak diakon Welland czyta urywki z Księgi Psalmów. - Pani Coffey zerknęła na Bethany, która siedziała naprzeciwko niej w powozie. - Ma taki głębioki, dźwięczny głos. Po prostu wspaniały, nie uważasz?

Bethany znacznie bardziej interesowała się chmurami płynącymi leniwie po ciemnym niebie i od czasu do czasu przesłaniającymi księżyc. Wymarzona noc na jeździe na oklepek wzdłuż brzegu. Ale jej plany spełzły na niczym, gdy gospodyni zdecydowała, by udały się na plebanię.

- My l , e talenty diakona Wellanda marnuj si tu, w Lands End.

Na twarzy pani Coffey odmalowało si zgorzenie.

- Ale Bethany! Jak mo esz mówi co takiego?

- Prosz tylko pomy le . Pastor Goodwin prowadzi prawie wszystkie niedzielne nabo e stwa. Udziela lubów. Chrzcí. I tylko od czasu do czasu pozwala młodemu diakonowi na prowadzenie modłów b d błogosławienie statków. Czy wie pani, pani Coffey, e s biedne wioski, gdzie ko cioły popadaj w ruin , a wierni pozostaj bez opieki pastora?

- Trudno mi w to uwierzy . - Starsza kobieta zasznurowała usta. - Gdyby tu, w Kornwalii, było takie miejsce, na pewno pastor Thatcher Goodwin nie zawahałby si posła tam swego zdolnego młodego diakona. Jak cz sto mawia, wszyscy jeste my dzie mi bo ymi.

- Mówi tak, prawda? - Bethany u miechn ła si . Nagle doznała ol nienia. Oczywi cie! To takie proste. Pochyliła si do przodu i cís ła dło starej gospodyni. - Och, pani Coffey. Wła nie podsun ła mi pani wspaniały pomysł.

- Naprawd ? - Starsza kobieta zdziwiona uniosła brwi.

- Tak. Dzi kuj pani.

- Prosz bardzo. - Pani Coffey usiadła wygodniej, zastanawiaj c si , co takiego powiedziała, e dziewczyna cała promienieje.

Po powrocie do domu Bethany wspi ła si na schody za gospodyni i od drzwi rzuciła ostatnie t skne spojrzenie na nocne niebo. Tak bardzo chciała poje dzi na Lacey przed udaniem si na spoczynek. Pragn ła tego bardziej ni czegokolwiek innego, ale niebo pociemniało. Nadci gały burzowe chmury. Udała si wi c do swej sypialni i przebrała w nocn koszul . Rozczesuj c długie włosy, podeszła do okna i spojrzała w kierunku morza.

Serce omal nie zamarło jej w piersi. Czy naprawd na pla y dostrzegła je d ca? Wtem skupisko ciemnych chmur

zastłoniło księżyc, pograjać ziemi w ciemności. Bethany uklękła przy oknie i wytrzymała wzrok. Wreszcie, kiedy chmury się rozproszyły, zobaczyła go ponownie. Spowita w czerną sylwetką na grzbiecie czarnego ogiera wyraźnie rysowała się na tle nieba. Niewiele myśląc, rzuciła szcztok. Pędem wybiegła z pokoju i zbiegła po schodach. W okamgnieniu znalazła się na dworze i ruszyła boso przez piach.

Stał nieruchomo niczym posąg, patrząc, jak się do niego zbliża. W białej nocnej koszuli trzepoczącej wokół kostek, z włosami powiewającymi wokół twarzy przypominała anioła.

- Jak długo tu jesteś? - spytała niskim, zdyszczonym głosem.

- Od kilku godzin. Miałem nadzieję, że pojeździmy sobie razem po raz ostatni, Bethany.

- Ostatni...?

Skinął głową.

- Przyjechałem powiedzieć ci, że muszę opuścić Kornwali.

Podeszła bliżej.

- Bo władzę się na twoim tropie?

- Tak. - Umiechnął się do niej. - To wystarczający powód.

- S jeszcze jakie?

- Moje doszedłem do wniosku, że za bardzo mi na tobie zależy.

- Czy to powód do wyjazdu?

- Tak. Najważniejszy ze wszystkich. Bo przed nami nie ma przyszłości.

- Mogłbyś naprawić swoje postępowanie. Mogłbyś ...

Podniósł rękę.

- To niemożliwe. Jesteś zbyt delikatna, by zwracać się z przestępstwem. Przyjechałem się pożegnać, Bethany. I powiedzieć ci, że już nigdy mnie nie zobaczysz.

- Nigdy?



Pokrcił głowę i wpatrzył się w nią, zupełnie jakby chciał zapamiętać każdy rys jej zachwycającej twarzy.

- To nie fair. Nawet nie znam twego imienia.
- I nie poznasz go.

Westchnęła, wyczuwając stanowczo w jego głosie.

- Nigdy ci nie zapomnę.

- Ja ciebie też. - Zaczęła zawracać konia.

- Zaczekaj. - Podeszła bliżej i chwyciła uźdź jego ogiera. - Dlaczego oddałaś wszystkie kosztowności i złoto, które ukradłaś?

- Nie były mi potrzebne.

- Nie były ci potrzebne? Ale przecie... - Na chwilę zawiesiła głos, rozważając jego słowa. - Skoro ich nie potrzebujesz, dlaczego zadałaś sobie tyle trudu, by je ukraść?

- Może dla czystej przyjemności sprawienia przykroci ich właścicielom. A może chciałem nimi wstrząsnąć.

- Nie rozumiem.

- Ja też nie jestem pewny, czy to rozumiem.

Nie potrafiła dać za wygraną.

- Czy przynajmniej pocałujesz mnie po raz ostatni, zanim odjedziesz?

Oczy Władcy Nocy rozgorzały.

- Po naszym ostatnim... spotkaniu nie byłoby to rozsądne.

- Dlaczego?

- Masz na mnie ogromny wpływ, Bethany.

Była bliska łez. Ujęła jego dłoń, zapominając o tym, co przystoi, a co nie. Nie dbała o to.

- Jeśli mam cię już nigdy nie zobaczyć, przynajmniej daj mi ostatni pocałunek. Chcę mi coś wspominać przez resztę życia.

Poczuła, jak wysuwa dłoń z jej ręki. I nagle, w okamgnieniu, wzięła ją w swoje mocne ramiona. Jego

pocałunek wyrażał narastające pragnienie brania i brania, a oboje zostali nasyćeni.

To było zadziwiające. Trzymał ją w powietrzu, zupełnie jakby nic nie ważyła. Był taki silny. I tak nad sobą panował. Wyczuwała, że się powstrzymuje, walczy ze sobą, nie chce poddać się emocjom, które nim zawładnęły podczas ich poprzedniego spotkania sam na sam.

Z westchnieniem zarzuciła ramiona na jego szyję i oddała pocałunek, kładąc weń całe swoje serce. Jej ciepłe, miękkie wargi przesuwały się po ustach mężczyzny, po czym otworzyły się na jego poszukujący zły zły.

Poddał się rozkoszy, oczarowany tym, jak spontanicznie mu się zaoferowała. Kiedy rozbudzona namiętność wprawiła oboje w ekstatyczne drżenie, odsunął się. Oddychali z trudem. Znowu zawdrowali na skraj samokontroli... Raptownie postawił Bethany na ziemi i patrzył na nią przez długą chwilę, po czym poderwał swego wierzchowca do biegu. Kiedy już dziećmi pomknęli po plaży w chmurze piachu.

Bethany nawet nie drgnęła, póki nie pochłonęła ich ciemność. Potem, z twarzą zalaną łzami, ruszyła w kierunku domu. Wzłiznęła się do łóżka, ale sen nie przychodził. Przez całą noc przewracała się z boku na bok i czyniła sobie wyrzuty, że oddała serce rozbójnikowi. Czy nie wiedziała, że takie szaleństwo nie ma przyszłości? Ale to nic nie zmieniło. Jak powiedział stary Newt, miłość ją zaskoczyła. Teraz będzie musiała żyć ze świadomością, że coś takiego nie przydarzy się jej już nigdy.

- Cóż to? - Pani Coffey stała z rękami na biodrach, gdy Bethany weszła do jadalni. - Mylisz, że teraz, skoro mamy budulec i twoje zadanie w Opactwie Penhollow dobiegło końca, możesz wysypiać się do południa?

- Naprawdę przepraszam. - Bethany zajęła swoje miejsce przy stole i zerknęła na domowników. - Nie chciałam, żebyście na mnie czekali. Ja... nie najlepiej spałam.

- Czy mi si zdawało, czy wychodziła na dwór po powrocie z plebanii? - Siedz ca naprzeciwko Darcy przełamała biszkopt i spojrzała na siostr .

- Ja... - Bethany przerwała, słysz c pukanie do drzwi. Nie mogło si to wydarzy w lepszym momencie.

- Ciekawe, kto to mo e by ? - Gospodyni skin ła na młodziutk słu c . - Libby, otwórz drzwi, a ja zajm si herbat .

Po chwili słu ca wróciła, szara na twarzy.

- Ma pan go cia.

Geoffrey przytkn ł zwini t dło do ucha.

- Co takiego? Go cia, mówisz? Có , nie stój tak.

Wprowad go tutaj, Libby.

- Ale to...

- Wprowad go tu, dziecko - powtórzył starszy pan, wyra nie zniecierpliwiony.

Słu ca po chwili wróciła do jadalni, a za ni wszedł wysoki, nieskazitelnie ubrany m czyzna, którego widok oszołomił i zaskoczył zebranych.

- Kapitanie Lambert - głos Libby dr ał - pa ski go to lord Alsmeech.

Zapadła kompletna cisza, w której słycha było wył cznie skrzypienie oparcia krzesła Geoffreya.

- Milordzie. - Bethany, zaskoczona tak samo jak pozostali domownicy, zerwała si na równe nogi. - Czy mog przedstawi mego dziadka, kapitana Geoffreya Lamberta?

- Milordzie. - Starszy m czyzna wyci gn ł dło , któr tamten u cism ł.

- Kapitanie Lambert.

- A to moja siostra Darcy.

Skłonił si dwornie.

- Panno Lambert.

Darcy omal nie zemdląa na jego widok.

- Newtona Findlaya ju pan poznał. A to nasza niania, panna Winifred Mellon.

- Panno Mellon.

Starsza pani spłoniła si jak piwonია.

- I nasza gospodyni, pani Coffey.

Gospodyni omal nie upu ciła dzbanka z herbat . Kiedy wreszcie udało jej si go odstawi , herbata wylała si na nie nobiały lniany obrus, a pani Coffey musiała chwyci si brzegu stołu, by przy próbie dygni cia nie upa na kolana.

Geoffrey Lambert wskazał puste krzesło obok Bethany.

- Wła nie jemy niadanie. Przył czy si pan do nas, milordzie?

Starsza pani omal nie zemdląła. Lord przy ich stole? To nie do pomy lenia. Przez chwil stała jak ogłuszona, gdy przyj ł zaproszenie.

- Dzi kuj . To bardzo miłe z pana strony. - Kane przytrzymał krzesło Bethany, a potem zaj ł miejsce obok.

Pani Coffey biegiem ruszyła do kuchni, gdzie zacz ła wykrzykiwa rozkazy kucharce, by ta dokroiła chleba, dogotowała jajek, podpiekła wi cej biszkoptów. Powróciwszy do jadalni, bez tchu zacz ła obchodzi stół z tac jedzenia.

Kane nało ył sobie plaster wołowiny i jajka i rozłamał ciepły biszkopt. Skosztowawszy go, uniósł głow .

- Prosz przekaza wyrazy mojego uznania kucharce, pani Coffey. To najlepsze biszkopty, jakie kiedykolwiek jadłem.

- Och, milordzie. - Jej twarz pokryła si purpur , a ona sama wygl dała, jakby miała si rozplaka ze szcz cia. - Gdybym wiedziała, e pan si do nas wybiera, poleciłabym kucharce przygotowa pudding chlebowy. Nikt w całej Kornwalii nie robi lepszego.

- Macie pa stwo szcz cie, e u was słu y, a rodzina Lambertów ma szcz cie, e pani jest z nimi. Nie ywi co do tego najmniejszych w tpliwo ci.

- Jest pan zbyt łaskawy, milordzie.

Starsza kobieta wyszła z pokoju, dygając ceremonialnie ku radości Darcy i Bethany, które wymieniły spojrzenia i by stłumi chichot, jak na komendę zasłoniły usta serwetkami.

- Wczynie pan wstaje, milordzie. - Geoffrey Lambert uważa nie przyglądał się czy nie, którego powrót do Kornwalii wywołał tak wiele pogłosek i plotek.

- Tak. Ciesz się, że pańska rodzina również ma zwyczaj wczynie wstawać.

- Jesteśmy eglarzami, milordzie. Naszym życiem rządzą księżyc, gwiazdy, przypiływy i odpiływy.

Kane skinął głową.

- Podoba mi się to, co pan powiedział, kapitanie Lambert. To wielka pociecha, kiedy się wie, że ma się tak kompetentnych przewodników na zakrętach życia.

- Słuka demu, kto zechce skorzystać z ich pomocy. - Starszy pan upił nieco herbaty i przeniósł wzrok z gościa na wnuczka. - Czy przybył pan do nas z jakiego szczególnego powodu, milordzie?

- Tak. - Kane odstawił filiżankę. - Wolałbym jednak pomówić o tym na osobności. Może moglibyśmy porozmawiać w salonie po niadaniu?

- Naturalnie, milordzie.

Bethany nagle straciła apetyt. Czy lord przybył tu, by oskarżyć ją, że miała miało powozić jego zaprzęg? A może był zły, bo zjadła południowy posiłek w towarzystwie jego słuchych? Cokolwiek zrobiła, na pewno zamierzał powiedzieć dziadkowi, że przekroczyła granice. Czy za da zwrotu drewna?

Nonsens. Dotrzymała umowy. W każdym razie jej pierwszej żądzie. Gdy tylko „Nieustraszony” zostanie naprawiony, zabierze lorda na przejażdżkę, na którą tak nalegał. Może nie będzie tak długa i trudna, jak się spodziewa,

ale b dzie miał swój rejs na pokładzie statku. I tym sposobem warunki umowy zostaną spełnione.

Nie potrafiła opanować zdenerwowania. Za to dziadek nie wydawał się w najmniejszym stopniu zainteresowany tym, co tu robi lord. Z doprowadzając do szafu pedanterii spokojnie zjadał wołowinę, biszkopty, popijał herbatę, jakby nic poza tym go nie obchodziło. Kiedy wreszcie ten dłuży się posiłek dobiegł końca, Geoffrey odłożył serwetkę i powiedział do gospodyni:

- Doskonałe niadanie, jak zawsze, pani Coffey.

Teraz zwrócił się do panny Mellon.

- Poczekaj na mnie w ogrodzie, Winnie.

- Dobrze, Geoffreyu. - Niania z uśmiechem wstała od stołu. - Bethany, Darcy, może przejdziecie się ze mną po ogrodzie?

- My lałam, ale zostaną z dziadkiem - mruknęła Bethany.

Starszy pan poklepał ją po rękach.

- Idź z Winnie, moja droga. Lord i ja mamy sprawę do omówienia.

- Ale...

Pokręcił głową.

- Idź już. - Zerknął na nią. - Proszę ze mną, milordzie.

Może nie przeszli do salonu i zamknęli drzwi. Bethany z westchnieniem rozgoryczenia udała się za siostrami i starą nianią do ogrodu, gdzie zmuszona była wysłuchać rozwlekłego wykładu Winnie o krzyżowaniu gatunków.

Bethany siedziała na kamiennej ławeczce w ogrodzie. Kiedy tamtędy spostrzegła, że dziadek i lord idą w jej kierunku. Szedł przed nią dziadka, sprawa, którą przed chwilą omawiali, musiała go niebawem zaskoczyć.

Zaniepokojona, pospieszyła ku niemu i ujęła jego rękę.

- O co chodzi, dziadku? Co się stało?

- Dziecko... - Przyglądał się jej przez chwilę w milczeniu, po czym odchrząknął. - Lord przybył tu spytać, czy może się o ciebie starać.

- Starać się... - Wiedziała, że ma otwarte usta. Wiedziała, że wszyscy na nią patrzą. Jednak nie była w stanie wydusić słowa. Wyobraziła sobie różne rzeczy, ale czego takiego nie przewidziała.

Starszy pan położył dłoń na jej ramieniu.

- Powiedziałem lordowi, że nie widzę przeszkód. Ale jeśli ty masz coś przeciwko temu... - Przyglądał się wnuczce badawczo, patrząc jej w oczy. - Nie dam mojej zgody, póki nie poznam twych uczuć, Bethany.

Uczuć? Musiała zmagać się z tak wieloma pogmatwanymi, cierającymi się emocjami. Spodziewała się, że zostanie zganiona. Tymczasem on chciał ubiegać się o jej rękę. Najbogatszy człowiek w Kornwalii. Zauważyła, że gospodyni splótła dłonie, przytłoczona potencjalnymi następstwami. Winnie promieniała. Takie sprawy przemawiały do niej jak do romantycznego, choć leciwego serca. Co do Darcy, siostra u niego machała się od ucha do ucha. Ale co ona sama o tym myślała? Co czuła?

Wreszcie odzyskała głos.

- Dlaczego chce się pan ubiegać o moją rękę, milordzie? Nie jestem wysoko urodzona. Nie mam tego posagu.

- Takie rzeczy mnie nie interesują, panno Lambert

- A powinny. Bądź tacy, którzy powiedzą, że stara się pan o kobietę poniżej pańskiego stanu.

- Pozwólmymy im mówić, co im się podoba. Nigdy nie zamierzałem w ten sposób przypodobać innym. Wolę polegać na swoim własnym osądzie. - Zawiesił głos. - Czy zdanie innych liczy się dla pani, panno Lambert?

Pomyślała o szeptach i plotkach.

- Nie.

- Tak się działo. - Po chwili spytał: - Mogła się pani stara, panno Lambert?

- Ja... - Przyszły jej na myśl te rzadkie momenty, kiedy się uśmiechała. Przypomniła sobie, co czuła, kiedy dotknął jej ręką czy musnął pukiel włosów. Ciepło, które rozlewało się po jej ciele od tego zwykłego dotyku, było wręcz niewiarygodne. Z każdym razem musiała zmagać się z dziwnym pragnieniem, by na dotyk nie odpowiedzieć dotykiem. Ale od czego takiego daleko do miłości.

A co z uczuciami dla Władcy Nocy? Czy nie byłoby nieuczciwością pozwolić jednemu z nich czy nie ubiegać się o niego, podczas gdy jej serce należało do innego? Do przestępcy. Nie mogła o tym zapomnieć. Do mężczyzny, który nigdy w świetle dnia nie byłby mógł deklarerować swojej miłości. Do mężczyzny, który poza paroma chwilami niewiarygodnego uniesienia nie może ofiarować nic więcej. Adnej przyszłości. Czy nie powiedział tego, nim rozstali się ostatniej nocy? Rozstali się na zawsze.

Na zawsze. To te jego słowa. Nieodwołalność tych słów nie pozostawiała adnej nadziei.

Wzięła głębię, bolesny oddech i uświadomiła sobie, że jej uczucia do przestępcy muszą zostać pogrzebane. Głęboko i całkowicie. Na zawsze. Bez nadziei, i o tym kiedykolwiek. Co do uczuć wobec tego mężczyzny, nie miała pojęcia, jakie wlać w niego. Och, miała taki zamęt w głowie. Wątpiła, że nie ma przy niej Ambrozji albo matki. One wiedziałyby, jak postąpić.

Uniosła nieco podbródek.

- Ja... nie przychodzi mi do głowy aden powód, eby się temu sprzeciwić, milordzie. Za to znam wiele powodów, dla których pan nie powinien składać takich deklaracji. Przede wszystkim...

- Nie teraz, panno Lambert. - Pokręcił głową i leciutko uśmiechnął się do Bethany. - Zadbam, eby miała pani



mnóstwo czasu, by opowiedzieć mi o wszystkich swoich wadach. I wylicz wszystkie moje niedocignięcia. Tymczasem, jeżeli nie ma pani nic przeciwko temu, chciałbym przysłać tu dziś wieczorem karetę, którą Huntley przywiózłby pani wraz z całą jej rodziną do Opactwa Penhollow na uroczystą wieczerzę.

Zwrócił się do Geoffreya Lamberta.

- Z góry dziękuję panu za zgodę.

- Ma pan. O ile da mi pan słowo d'entelmena, kiedy pan okazywał mojej wnuczce należytą jej szacunek - powiedział stanowczo starszy pan.

Bethany uwiadomiła sobie, kiedy dziadek usłyszał każde słowo, które padło tu przed chwilą. Lord skinął głową i podał mu dłoń.

- Daj panu moje słowo, kapitanie Lambert. Słowo d'entelmena.

Stała nieruchoma jak posąg, podczas gdy mężczyźni ciskali sobie ręce. Mimo słowa całej przebiegłej nagły chłód. Co ona właściwie zrobiła? Och, wielkie nieba. Co ona zrobiła? Opatrzyła utratę jednej miłości, zgodziła się właściwie zaakceptować zaloty innego. Zamyśliła się, czy jej biedne serce kiedykolwiek będzie takie samo.

- Kto by pomyślał, kiedy będziemy spędzać wieczór w Opactwie Penhollow? - Pani Coffey wykręcała ręce i przyglądała się swemu odbiciu w lustrze stojącym w holu. Uczesała włosy w ciasny koczek, z którego ani jeden włos nie miał się wysunąć. Sztywno wykrochmalona sukienka z czarnej satyny zdobił jej jedyny klejnot. Broszka od ukochanego Neda.

Panna Mellon siedziała na pobliskiej ławie. Ona z kolei wybrała sukienkę w bladobrzoskwiniowym kolorze, z dobranym do niej szalem. Siwe włosy okalały jej jasną twarz niczym pierzasta chmurka.

- Czy to nie miłe ze strony Bethany, że nalegała, by my również przyjęły zaproszenie?

- Tak. To cała ona. Zawsze była taka uprzejma. Nic dziwnego, że lord Alsmeech zwrócił na nią uwagę. Przecież miał parę dni na to, żeby się jej przyjrzeć - Gospodyni nagle odwróciła się od lustra. - Mylisz, że obserwował nasz Bethany z myślą o staraniu się o jej rękę?

- Nie zdziwiłoby mnie to. - Winnie cię niej otuliła się szalem. - Bethany trudno nie zauważyć.

- O tak. - Pani Coffey westchnęła. - Łatwiej byłoby zignorować burzę na Atlantyku niż nasz dziewczynkę.

Obydwie kobiety jeszcze się uśmiechały, kiedy po schodach zeszła bohaterka wieczoru w towarzystwie Darcy.

- Zamierzasz iść w tej sukni? - Gospodyni patrzyła na Bethany z przerażeniem.

Dziewczyna miała na sobie prostą suknię z bladzielonego jedwabiu, zachodzącą wysoko na szyję, z długimi, w skromnych kawami. Tali podkreślała szarfa w kolorze ciemniejszej zieleni.

- A dlaczego nie? - Spojrzała po sobie. - Czy by była nieodpowiednia?

- To nie jest twoja najlepsza sukienka. Nawet nie jedna z lepszych.

- Jest w sam raz, pani Coffey. - Rozejrzała się wokół. - Gdzie jest dziadek i Newton?

- Czekaj na zewnątrz. Chcieli zaczerpnąć świeżego powietrza.

- Mnie te to dobrze zrobi. - Bethany uniosła spódnicę i ruszyła ku drzwiom.

Kiedy je otwierała, przed domem zatrzymała się wytworna karetka lorda, ciągnięta przez parę idealnie dobranych białych koni. Siedzący obok woźnicy Huntley zszedł z kozła i stanął na baczność.

- Wsiadamy, moje panie! - zawołał Geoffrey Lambert.

Bethany ruszyła pierwsza. Po drodze zatrzymała się i uśmiechnęła do lokaja.

- Dobry wieczór, Huntley.

- Dobry wieczór, panno Lambert.

- Chciałabym, żeby poznał moją rodzinę. Mój dziadek, kapitan Geoffrey Lambert. Moja siostra, Darcy. Nasza niania panna Mellon. Gospodyni, pani Coffey. Przyjaciela domu, Newtona Findlaya, już znasz.

Skinął im sztywno głowę, pomógł paniom przy wsiadaniu do powozu, po czym podał rękę mężczyznom.

Stary marynarz w koszuli i ciemnym kaftanie czuł się jak prowadzony na ciec. Drewniana noga stuknęła o podłogę karety.

- Wołałby pewnie siedzieć z przodu, Newt? - spytała Bethany.

- Wiesz, nie tak, malutka.

- To idź tam. Jestem pewna, że Huntley nie będzie miał nic przeciwko temu. Huntley! - zawołała. - Newt chciałby do was dołączyć czy?

Starszy mężczyzna posłał jej spojrzenie pełne wdzięku i wysiadł z karety, po czym wdrapał się na kozioł, obok lokaja. Woźnica szarpnął lejce i ruszyli.

Mimo późnego popołudnia było ciepło, a lekki wietrzyk niósł zapach oceanu i aromat letnich kwiatów.

Kiedy wjechali do lasu, Geoffrey zadarł głowę i popatrzył na wysokie drzewa.

- Dzięki hojności lorda nasz statek zostanie naprawiony.

- Zdajesz sobie sprawę, dziadku... - Bethany zniżyła głos - że gdy tylko „Nieustraszone” zostanie naprawione, lord zechce na nim popłynąć. - Powiodła wzrokiem po twarzach pozostałych pasażerów. - Jak uważacie, kiedy powinniśmy mu wyjawić, co naprawdę robimy?

Geoffrey wzruszył ramionami.

- Na wszystko przyjdzie czas, Bethany. Na razie bym si tym nie martwił.

- Ale ja si martwi , dziadku. Moim zdaniem dwoje ludzi nie powinno mie przed sob sekretów. W ko cu kolejny krok to... - Nie była w stanie wypowiedzie tych słów. Oficjalne zar czyny. To brzmiało zbyt ostatecznie. Zbyt przera aj co.

Widz c jej wahanie, stara niania poklepała j po r ku.

- Jeste zdenerwowana, to zrozumiałe. Mam jednak nadziej , e nie dopu cisz, by zakłóciło ci to rado z tego wieczoru.

Przełkn ła lin .

- Oczywiście, e nie, Winnie. Tylko... - Spojrzała na siedz cego naprzeciwko dziadka, któremu duma rozsadzała pier . Na my l, e miałaby go rozczarowa , a si skurczyła. - Wszystko dzieje si tak szybko.

- Tak ju jest w tym yciu - powiedziała starsza kobieta z westchnieniem. - Przez długi, długi czas wydaje si , e nie dzieje si nic. A potem nagle wszystko nabiera przyspieszenia, a my mo emy tylko wstrzyma oddech i trzyma si mocno, gdy wypadki ci gn nas za sob .

Bethany odwróciła głow i przygl dała si mijanym krajobrazom. Lepsze to ni przypatrywanie si rodzinie i u wiadomianie sobie, e wszyscy wygl daj na takich zadowolonych, podczas gdy ona czuje... Nie wiedziała, co czuje. Była jak odr twiała. Oszołomiona. I przera ona, e cała sprawa tak nagle wymkn ła si jej pod kontroli. Jak to si stało? Chciała przecie tylko kupi troch drewna potrzebnego do naprawy statku. A teraz, par dni pó niej, o jej r k starał si lord. M czyzna, którego tak naprawd nie znała.

Kareta wjechała na długi, kr ty podjazd. Bethany usłyszała westchnienia podziwu i przypomniała sobie swoje własne zdumienie, kiedy u wiadomiła sobie rozmiary posiadło ci lorda.

- Wielkie nieba. - Siedz ca obok niej panna Mellon na chwil zaniemówiła, szukaj c odpowiednich słów. - Nigdy nie my lałam, e kto poza samym królem mógłby mie takie ogrody. Tylko popatrz, Geoffrey. - Wskazała na fontann l ni c w popołudniowym sło cu. - To doprawdy niezwykle!

- Rzeczywi cie. - Geoffrey Lambert wpatrywał si w widoczny w oddali dom z tak estym , jakby ogl dał sam pałac Buckingham.

Kiedy zajechali na dziedziniec, cała rodzina zamilkła. Przed domem czekał lord, który wyszedł im na powitanie. Wspaniale wygl dał w ciemnych spodniach i kaftanie. Przy nodze stał Storm. Nieco w tyle oczekiwali gospodyni i kilkoro słu cych gotowych spieszyc z pomoc .

Newt i Huntley zeszli z kozła, a pozostali wysiedli z powozu, wspieraj c si na usłu nie wyci gni tych dłoniach personelu jego lordowskiej mo ci.

- Witam! - zawołał pan domu, zbli aj c si do go ci.

Ka dego obdarzył u miechem, ale jego spojrzenie zatrzymało si na Bethany.

- Wspaniała posiadło - zauwa ył Geoffrey, ciskaj c wyci gni t r k Kane'a.

- Dzi kuj . Dzisiejszy wieczór jest szczególny. Mam jednak nadziej , e w ci gu najbli szych tygodni pan i pa ska rodzina b dziecie mieli okazj zwiedzi całe Opactwo Penhollow. - Odwrócił si . - A oto moja gospodyni, pani Dove. Doło yła wszelkich stara w nadziei, e uczyni pa stwa pierwsz wizyt u nas tak przyjemn , jak to mo liwe.

Biedna kobieta wygl dała tak, jakby jej nerwy były w strz pach. Zdobyła si jednak na słaby u miech, po czym wróciła do domu, nadzorowa prac kucharek.

- Proponuj , by my najpierw udali si do ogrodu ró anego, a przed kolacj napijemy si piwa w głównym salonie. - Kane poczekał, a panie pójd przodem, a sam

doł czył do Geoffreya i Newta. Storm bezszelestnie poszedł za nimi.

Rozmawiając z młodymi dziewczynami, Kane nie odrywał oczu od młodej kobiety w zielonej sukni. Była nienaturalnie cicha, podczas gdy jej siostra i obie starsze kobiety trajkotały jak najte.

- Och, to cudowne, milordzie. - Panna Mellon zatrzymała się przy klombie białych róż, okalającym niewielką fontannę.

- To było ulubione miejsce mojej matki.

- Nietrudno domyślić się czemu. - Starsza kobieta uśmiechnęła się ze zrozumieniem.

Wszyscy przystanęli i przez chwilę wsłuchiwali się w szum rozpryskującej się wody i szczebiot ptaków.

- Wyobraź sobie, spędza pan tu wiele czasu, milordzie. - Pani Coffey pochyliła się, by powłóczyć przepiękną różę.

- Nie tyle, ile bym chciał, ale może teraz wszystko się zmieni. - Uśmiechnęła się do Bethany, która natychmiast poczuła na sobie spojrzenia całej rodziny.

Poprowadził ich w głęboki ogród, po drodze pokazując poszczególne odmiany róż. Od czasu do czasu przysiadali na ustawionych w cieniu ławeczkach.

Po powrocie do domu poszedł przodem do salonu, gdzie już czekał służący, a na srebrnej tacy stały kryształowe pucharki i dzbany. Gdy tylko usiedli przy kominku, służący podał im pucharki z piwem.

Pan domu skosztował piwa i spytał:

- Jak przebiega naprawa pańskiego statku, kapitanie Lambert?

- Posuwa się bez przeszkód, dzięki pańskiej hojności, milordzie.

- Kiedy znów wypłyniecie?

- Mo e za tydzie , je li pogoda si utrzyma.  
Najpó niej za dwa.

- Tak szybko? Z rado ci to słysz , bo i ja na tym skorzystam. Nie mog si doczeka tego rejsu.

- Wkrótce pa skie yczenie si spełni, milordzie. Newt dobrał doskonał grup cie li z doków Lands End.

- A wi c jestem twoim dłu nikiem, Newt. - Lord podał r k staremu marynarzowi, który j u cisn ł, zaskoczony i niepomiernie uradowany.

- Mo e nie b dzie mi pan chciał dzi kowa , milordzie. ycie na pokładzie „Nieustraszonego” nie przypomina ycia, które pan tutaj wie dzie.

- Wcale tego nie oczekuj - zapewnił Kane z u miechem

Tymczasem w drzwiach salonu stan ł lokaj.

- Podano do stołu, milordzie.

- Dzi kuj , Huntley. - Zwrócił si do zebranych. - Proponuj , eby my sprawdzili, co pani Dove nam przygotowała.

Podał Bethany rami . Nie miała innego wyboru, jak je przyj . Kiedy poprzedzali reszt towarzystwa w drodze do sali jadalnej, zastanawiała si , czemu znowu poczuła to dziwne ciepło. W ko cu tylko dotkn ł jej r ki. To nerwy, pomy lała przygn biona. Znalazła si w sytuacji, z któr sobie nie radziła. Czemu ten m czyzna tak dziwnie na ni działa? Ona, która w całym swoim yciu nie zaznała dotychczas uczucia strachu, dr ała na my l o tym, na co przystała. Konkury! Ze strony obcego człowieka.

Jej rozs dek chyba spał.

W sali jadalnej za ka dym miejscem stał słu cy. Lord zasiadł u szczytu stołu, Bethany po jego prawej stronie, Darcy po lewej. Stary Newt zaj ł miejsce pomi dzy dwiema starszymi damami, za Geoffrey na drugim ko cu stołu.

Do sali weszła pani Dove, a za nią sznur słu ebnych, ka da z nakrytym półmiskiem. Tak jak zawsze, ka de danie było prezentowane lordowi do akceptacji, a potem cz stowano nim go ci.

Kiedy przyst pili do jedzenia, Kane spojrzął na Bethany. Mówił cicho, tak eby tylko ona go słyszała.

- Straciła pani apetyt. Czy co si stało?

- Nie. - Uparcie wpatrywała si w swój talerz. - Za du o wra e , jak s dz .

Kane nie spuszczał z niej wzroku, a kiedy uniosła głow , zobaczył w jej oczach co takiego, e z trudem powstrzymał u miech.

- Co to? Nerwy? My lałem, e jest pani nieustraszona, panno Lambert.

- Ja te tak my lałam. Zdaje si , e s rzeczy, które wprawiaj mnie w popłoch, milordzie.

- Na przykład?

- Prosz si rozejrze wokół. Czy moja rodzina mo e nie by pod wra eniem takiej parady bogactwa?

- Chciałaby pani, ebym był biedny?

- Naturalnie, e nie. Ale my jeste my... tacy zwyczajni.

- Panno Lambert, wyzw ka dego, kto nazwie pani rodzin zwykł .

- Zgoda. Niezwyczajni, ale... pro ci. Nigdy nie mieli my okazji przebywa w takim wspaniałym otoczeniu.

Wła nie w tym momencie odezwała si pani Coffey.

- Milordzie, ta uroczna kolacja przypomina mi czas sp dzony z Jego Królewsk Mo ci w Hampton Court.

- Hampton Court? - Spojrzął na gospodyni . - Obawiam si , e panna Lambert nie wspominała o takiej przygodzie. Jak to si stało, e byli cie w królewskiej rezydencji?

- Byli my... - gospodyni rozejrzała si po zebranych i dotarło do niej, e wła nie odkryła jeden z pilnie strze onych



rodziny sekretów - w Londynie z m em Ambrozji, Riordanem Spencerem. On bardzo dobrze zna króla.

- Tak. Wiem o tym. - Spojrzał na Bethany. - Kolejna historyjka o zwyczajnej rodzinie?

Zdobyła si na słaby u miech.

- Zupełnie o tym zapomniałam.

- Którego dnia poprosz , eby mi pani opowiedziała t histori , panno Lambert.

- Tak, milordzie. Jestem pewna, e pan to zrobi.

Mo esz na to liczy , pomy লা.

Po chwili odwrócił si do młodszej siostry Bethany.

- Prosz mi powiedzie co o sobie, Darcy. Czy pani kocha jazd konn i egłowanie tak samo jak pani siostra?

- Tak. egłowanie to moja pasja. A co do koni, wprawdzie je d , ale nie przepadam za tym tak bardzo jak Bethany. Moje serce i dusza nale do morza.

- I do Grahama Bartona - dodała Bethany.

- Tak. Do Graya. - Na sam d wi k imienia ukochanego Darcy si rozpromieniła. - Poznałam go, gdy miałam pi lat. Kocham go niemal od tamtej pory.

- W takim razie to bardzo szcz liwy młody człowiek.

- Kane zwrócił si z kolei do Geoffreya Lamberta, który wła nie delektował si dokładkami wszystkich potraw. -Musz panu, kapitanie, pogratulowa dwóch tak pi knych wnuczek.

- Wła ciwie s a trzy. - Starszy pan za miał si wraz z innymi. - Naprawd uwa am si za szcz liwego, e je mam. Nadały nowy sens memu yciu, gdy po wypadku na pokładzie statku byłem zmuszony zrezygnowa z funkcji kapitana.

- Wygl da na to, e wrócił pan do zdrowia.

Geoffrey skin ł głow .

- Prawie zupełnie straciłem słuch na skutek wybuchu samopału na pokładzie „Nieustraszonego”, ale nie przeszkadza mi to tak bardzo.

Lord zwrócił si z kolei do starej niani.

- A pani, panno Mellon? Jak słyszałem, jest pani u rodziny Lambertów od wielu lat.

- Tak, milordzie. Odkąd dziewczynki były małymi dziećmi, sierotami bez matki.

- Nieco niesfornymi, założyła się. - Umiechnęła się.  
Odpowiedziała mu uśmiechem.

- Bardziej niż trochę. Nigdy przedtem nie miałam do czynienia z tak żywymi dziećmi. Zamiast uczyć się szycia i robienia na drutach, rzucały kamienie do oceanu albo pływały po zatoce w swojej małej łódeczce. Myślałam, że doprowadzą mnie do nagłej śmierci.

- Jeszcze może to zrobi, Winnie - powiedziała Darcy ze śmiechem.

Starsza pani pokiwała głową.

- Niech pan jej nie wierzy, milordzie. Przyjmij mnie pod swój dach jak członka rodziny. Nie wiem, co by się ze mną działo, gdyby mnie nie zmusiły do pozostania, choć już od dawna mnie nie potrzebują.

- Wciąż ci potrzebujemy, Winnie. - Darcy i Bethany uśmiechnęły się. - Kto inny zmuszałby nas do uczestnictwa w kółku szycia, kiedy wolałyśmy my śpiewać? I kto pilnuje, żebyśmy chodziły na godzinne czytanie psalmów, kiedy chcemy zostać w domu i ogrywać dziadka w szachy?

- Tak. Rzeczywiście. - Przyznała z całkowitą powagą.  
- Moim obowiązkiem jest zadbać o waszą edukację. Nawet jeżeli na każdym kroku rzucacie mi kłody pod nogi.

Widząc, że wszyscy skończyli jeść, gospodyni postawiła przed lordem tace z najrozsudniejшими ciastami.

- Wyglądaj wspaniale, pani Dove. Myślę, że moi goście i ja przeniesiemy się z deserem do salonu.

Skinęła głową i odesłała służących z sali jadalnej. Kiedy na powrót znalazła się w salonie, rozniesiono tace z ciastami, gospodyni podała paniom herbatę, a Huntley zajęła się nalewaniem piwa dla mężczyzn.

- Milordzie. - Geoffrey Lambert wznosił pucharek. - Moja rodzina i ja chcielibyśmy podziękować panu za ten uroczy wieczór.

Kane uśmiechnął się i podniósł swój pucharek.

- Zapewniam pana, kapitanie Lambert, że pańska gościnnieść znacznie przerasta moją. - Spojrzał na Bethany. - To, co pan mi daje, jest bezcenne.

Winnie westchnęła głośno. Sama nie potrafiłaby powiedzieć nic bardziej romantycznego. Również pani Coffey skinieciem głowy wyraziła swój aprobat.

Geoffrey opróżnił pucharek i odstawił go na tacę.

- Myślę, milordzie, że powinniśmy już ruszać do domu. Przed nami długi dzień, skoro chcemy jak najszybciej naprawić „Nieustraszonego”.

Parę minut potem udali się na dziedziniec, gdzie z pomocą służących usadowili się w oczekującej karecie. Kiedy Bethany wyciągnęła rękę, Kane ujął ją w obie dłonie i podniósł do ust.

- Dobranoc, moja pani. Bezpiecznej i przyjemnej drogi do domu.

Znow przeszedł jej ten dziwny dreszcz.

- Dziękuję panu, milordzie. Jest co ... - zgaśniła się w duchu za zdenerwowanie, które sprawiało, że potykała się o własne słowa - jest co, co muszę panu powiedzieć.

- I powie pani. Ale nie dziś. Jutro przyjdę po pani powóz. - Zwrócił się do Winnie. - Mam nadzieję, panno Mellon, że zechce pani towarzyszyć Bethany do Opactwa Penhollow.

Starsza kobieta uśmiechnęła się, zachwycona zaproszeniem. Ten dobrze wychowany dżentelmen bardzo dbał o to, by nic nie zaszkodziło reputacji damy jego serca.

- Bardzo zaszczycona, milordzie.

Gdy konie ruszyły, Bethany obejrzała się szybko za siebie. Kane stał na dziedzińcu, z psem u nogi, odprowadzając

wzrokiem karet . Kiedy skierował si do domu, Darcy nachyliła si do siostry i szepn ła:

- Dlaczego nie powiedziała mi, e lord jest taki przystojny i wiatowy?

Słysz c to, niania skin ła głow .

- To prawda, jest wiatowy, ale mnie najbardziej uj ło jego poszanowanie zasad.

Gospodyni przytakn ła.

- A na mnie najwi ksze wra enie zrobiła jego uprzejmo .

- Wi c to tak. - Bethany nie mogła si nie roze mia . - Czy to oznacza, e nie dajecie wiary ponurym opowie ciom Edwiny?

- To głupia panna. - Pani Coffey podkre liła swoje słowa machni ciem r ki. - Pewnie zemdleje, kiedy si dowie, e sam lord Alsmeech stara si o twoj r k .

Bethany gło no wci gn ła powietrze. Nie pomy łała o Edwinie i jej małoszkowych plotkach. Skoro usłyszysz nowin , z pewno ci zemdleje. Taka ju jest i nic nie mo na na to poradzi . Kiedy doje d ali do MaryCastle, próbowała opanowa wewn trzne dr enie. To prawda, im bardziej poznawała lorda, tym wyra niej widziała, e za mask surowo ci, któr pokazywał wiatu, krył si wra liwy człowiek. A poza tym - cho obchodził si z ni równie delikatnie, jak ła Welland -jego dotyk niew tpliwie sprawiał jej przyjemno . Ale to wszystko było takie ostro ne. Tak starannie kontrolowane. Zupełnie jakby obawiał si zrobi co , co mogłoby zach ci ich do czego ... wi cej. Władca Nocy pokazał jej, na czym polega nami tno . Jego pocałunki sprawiały, e puls Bethany przyspieszał, a ciało oblewa fala gor ca. Wystarczyło\* e zamkn ła oczy, a tamte uczucia wracały z cał moc . Uczucia, jakie absolutnie nie powinny mie miejsca w yciu kobiety, o któr ubiegał si inny m czyzna. Mo e wła nie to przera ło j najbardziej. Czują,

e post puje nie fair wobec lorda, pozwalaj c mu my le , e jej serce pozostalo nietkni te. Jutro powie mu o Wladcy Nocy, nawet gdyby miala tym wywoła gniew Kane'a. Dalsze milczenie byloby nieuczciwe. Wyzna mu swoje winy.

Och, dlaczego ycie musi by takie skomplikowane? Nie mogła si doczeka pój cia do łó ka. Dopiero tam, wtulona w po ciel, próbuje uporz dkowa zam t w głowie.

## ROZDZIAŁ DZIEWI TY

- Jeste pewna, e to odpowiedni strój, Bethany?- Panna Mellon zmarszczyła nos na widok zapi tej pod sam szyj prostej bluzki si gaj cej talii i długiej, granatowej spódnicy. - Nie s dzisz, e lord wolałby zobaczy ci w czym odrobin bardziej... wytwornym?

- Prawdopodobnie nawet nie zauwa y, co mam na sobie, Winnie. Je li dzisiejszy dzie b dzie przypominał poprzednie, lord zamknie si w swojej komnacie, sp dzaj c czas na przegl daniu ksi g. Zdaje si , e to jedyna rzecz, która naprawd go interesuje.

- Gdyby to, co mówisz, było prawd , nie prosiłby twego dziadka o pozwolenie na ubieganie si o twój r k .

Nagrod starszej pani był rumieniec na policzkach Bethany, najlepszy dowód, e trafiła w czuły punkt.

Bethany do pó na w noc dr czyła si tym, jak powiedzie lordowi o rozbójniku. Była mu winna całkowit uczciwo , bez wzgl du na skutek tego wyznania. Naturalnie obawiała si , e lord za da natychmiastowego zerwania ich znajomo ci, co, w razie gdyby stało si powszechnie wiadomym, przyniosłoby wstyd jej rodzinie, niemniej jednak nie widziała innego wyj cia.

Obydwie poderwały się, słysząc turkot kół.

- No, dobrze. - Starsza pani westchnęła. - Załóż przynajmniej ładny czepek i szal.

Kiedy już ulokowała się w okazałym powozie lorda, uniosła głowę i wydała okrzyk oburzenia. Bethany, wbrew jej zaleceniom, chwyciła naprzeciwko zwyczajny biały szal i pogardziła czepek, wystawiając włosy na podmuchy wiatru. Huntley stał przy powozie, gotów do pomocy, ale Bethany nie spieszyła się do wsiadania.

- Jak myślisz, czy w końcu pozwoliliby mi powozić zaprzęgiem?

Stary lokaj się zatrząsnął.

- Panno Lambert, proszę nie nalegać. Gdyby jego lordowska mość to zobaczył, biedny chłopak mógłby stracić posadę w Opactwie Penhollow. Chciałaby pani wziąć coś takiego na swoje sumienie?

- Czy jego lordowska mość mógłby zrobić coś tak okrutnego?

Lokaj nie pokazał po sobie żadnych emocji.

- Jako lord Alsmeth ma do tego prawo.

- Ale czy zrobiłby coś takiego, Huntley? Musz to wiedzieć.

Starszy mężczyzna zniżył głos.

- Nie byłem świadkiem podobnego wydarzenia od czasu, kiedy obecny lord przejął tytuł. Choć, prawdę mówiąc, jego przodkowie byli znani z surowości.

Wypuściła z płuc nie wiadomie wstrzymywane powietrze.

- Dziękuję ci, Huntley. - Zajęła miejsce naprzeciwko panny Mellon i pogryzła się w męch. Nie mogła obarczać obecnego lorda Alsmetha odpowiedzialnością za postępowanie jego przodków. Ale, jak często mawiała Winnie, niedaleko pada jabłko od jabłoni.

Na dziedzińcu Opactwa Penhollow powitała ich gospodyni, która jak zawsze przypominała klęk nerwów.

- Jego lordowska mo przeprasza, ale ma nieoczekiwan wizyt kuzyna i prosi, eby panie rozgo ciły si w salonie. Czy mam poda herbat ?

- B dzie nam bardzo miło. - Bethany weszła do rodka za pann Mellon.

W drodze do salonu usłyszały kroki na schodach. Po chwili zobaczyły Oswalda Prestona, który wła nie schodził na dół. Twarz miał wykrzywion gniewem. Na ich widok zatrzymał si , z r k na por czy schodów.

- Co tu si dzieje? Panna Lambert, prawda?

- Tak. - U miechn ła si . - Bethany Lambert. A to moja niania i przyjaciółka, panna Mellon.

Potraktował starsz kobiet jak powietrze.

- Czy pani tak e przyszła tu po pro bie, panno Lambert?

- Po pro bie? Pan wybaczy, ale nie rozumiem. - Przeniosła spojrzenie na lorda, który stał u szczytu schodów, obserwuj c ca scen w milczeniu.

Oswald pod ył wzrokiem w lad za jej spojrzeniem. W jego głosie d wi czała pogarda.

- Tak. Mój kuzyn lubi mocno trzyma rodzinn kas . Cieszy go, kiedy zmusza mnie do ebrania o najmniejszy okrawek jedzenia z jego stołu. - Przemierzył reszt schodów i otarł si o Bethany, przechodz c obok. A potem rozmy lnie gło no powiedział: - Radz uwa a , panno Lambert. Niech pani nie przedłu a swojej wizyty. Ma pani do czynienia z kim , kogo bawi władza nad innymi.

Trzasn ł drzwiami, wychodz c. Po paru chwilach usłyszeli stukot ko skich kopyt na dziedzi cu, a potem zapadła cisza.

Kane zszedł ze schodów i Bethany przez chwil miała wra enie, e w jego oczach dostrzega błysk gniewu, ale gdy zatrzymał si tu przed ni , był ju całkiem spokojny.

- Dzie dobry, panno Lambert. Panno Mellon.

- Milordzie.

Bethany odpowiedziała dr cym głosem. Zdaje si , e nie był w nastroju do wysłuchiwanie wyja nie w sprawie rozbójnika. Musiała jednak spróbować .

Uniósłszy na powitanie dłoń Bethany do ust, przyglądał si badawczo jej twarzy. Było jasne, e słowa Prestona bardzo ją wzburzyły.

- Jest... co , o czym powinnam panu powiedzieć , milordzie.

- Mam nadzieję , e to może trochę poczekać . Proszę wybaczyć , ale mam tego ranka pilną pracę do wykonania. Proponuję , by cie panie pozwiedzały Opactwo Penhollow. Może uda mi się dołączyć do państwa na południowy posiłek.

- Naturalnie. - Dziwnie przygnębiona Bethany patrzyła za nim, kiedy się odwrócił i wszedł na schody.

Cóż , nie miał nawet tyle czasu, by wysłuchać jej opowieści o czymś , co nie dało jej spać w nocy. Niech więc tak będzie. Powie mu, kiedy nadarzy się sposobność . Podjęwszy tę decyzję , poczuła się znacznie lepiej. Ujęła pannę Mellon pod ramię .

- Chodźmy, Winnie. Zawsze się zastanawiałam, ile komnat jest w Opactwie Penhollow. Teraz możemy oglądać je do woli.

Starsza kobieta pozwoliła się poprowadzić w głąb domostwa. Wchodziły do pustych komnat, podziwiały portrety i zaglądały wszędzie, gdzie się dało, wietnie się przy tym bawąc .

- Wiedział pan, e jest tu sześćdziesiąt sześć komnat, nie licząc wieży, milordzie? - spytała Bethany w trakcie wymienitego południowego posiłku, podczas którego zasiadła po prawej stronie Kane'a. Pannie Mellon wyznaczono miejsce po lewej.



- Policzyła je pani? - Kane prezentował teraz znacznie lepszy nastrój niż rankiem. Nawet pogłodził psa, który leżał u jego nóg.

- Tak. I wszystkie są bardzo interesujące. Znalazłyśmy kufry pełne sukien, a także galerię fascynujących portretów, choć muszę przyznać, że jeden z nich nie przypominał pana.

Wargi lorda wykrzywił przelotny grymas, mimo to zbył milczeniem i uwag.

- Co pani myśli o Opactwie Penhollow, panno Mellon?  
- zwrócił się do Winnie.

- To bez wątpienia najpiękniejszy dom, jaki kiedykolwiek odwiedziłam. Mam nadzieję, że nie ma pan nic przeciwko temu, i pozwoliły mi sobie pozaglądać do różnych komnat.

- Ale nie. Chcę, żeby tu pani dobrze się czuła. Chcę również, żeby Bethany nauczyła się kochać to miejsce tak samo jak ja. - Zwrócił się do młodej kobiety siedzącej po jego prawej stronie. - Ufam, że nie ma pani nic przeciwko temu, bym zwracał się do pani po imieniu?

Splonęła rumieniec. Podobał jej się sposób, w jaki wypowiadał jej imię, choć nie potrafiłaby powiedzieć dlaczego.

- Ale nie, milordzie.

- Zastanawiam się, czy mogłaby pani oddać mi przysługę, Bethany. Chciałbym, żeby i pani zwracała się do mnie po imieniu. Po prostu Kane.

- Nie mogłabym. To... nie byłoby właściwe.

- Niewłaściwe? Przypominam, że otrzymałem pozwolenie starania się o pani rękę.

Znowu te słowa. Słowa, które z każdym razem wprowadzały ją w popłoch.

- Czy przynajmniej rozważy to pani? - Nie dawał za wygraną.

- Tak, milordzie.

Znów ten przekl ty tytuł, pomy lał. Zdaje si , e nie potrafi zapomnie o nim ani na chwil . Mimo to lekkim tonem powiedział:

- Poniewa obie panie sp dziły cie ranek na zwiedzaniu domu, my l , e pomyśl zwiedzenia posiadło ci równie przypadnie paniom do gustu. - Nie zastanawiaj c si dłu ej, zadzwonił na Huntleya. - Ka Richmondowi, eby przygotował konia i otwarty powóz.

- Konia i otwarty powóz, milordzie? - Huntley zreflektował si i skin ł głow . - Naturalnie, milordzie.

Po odej ciu lokaja Kane dopił herbat .

- Czy jeste cie panie gotowe?

Winnie oderwała uwag od nieko cz cego si korowodu słu cych, który tak j fascynował. Wszyscy troje udali si na dziedziniec, gdzie ju stał chłopiec stajenny, trzymaj c lejce konia zaprz gni tego do małego powozu.

- Pomy lałem, e ob dziemy si bez karety. - Kane pomógł obydwu paniom ulokowa si na siedzeniu, a potem wsiadł sam i wzi ł lejce od chłopca. Storm natychmiast zaj ł miejsce obok swego pana. - W ten sposób zobacz panie o wiele wi cej.

Kiedy tak niespiesznie przemierzali okolic , Bethany w duchu przyznała mu słuszno . Chłon ła wzrokiem barwne ró ane ogrody, strzy one ywoptoty i starannie utrzymane, ci gn ce si bez ko ca trawniki. Przejechali przez ziemie zamieszkane przez dzier awców, upstrzone tu i ówdzie porz dnymi chatami i starannie utrzymanymi ogrodami warzywnymi. Min li zielone wzgórza, które wydawały si przechodzi jedno w drugie, i faluj ce stada przemieszczaj cych si powoli owiec. Niebo miało kolor ol niewaj cego bł kitu, a znad Atlantyku napływały puszyste, białe chmurki.

Bethany odgarn ła kosmyk włosów, który wy lizn ł si z ciasnego w zła na jej karku.

- Gdzie pan mieszka, kiedy nie ma pana tu, w Konwalii?

Zwolnił i zapatrzył się na jej włosy, w których słońce zapalało złote błyski. Miał wielką ochotę ich dotknąć.

- Mam posiadłość pod Londynem.

Zabawnie zmarszczyła nos.

- Pewnie po Londynie oglądanie tutejszych widoków chwyta za serce.

- To prawda. Rozumiem, że była pani w Londynie?

- Raz czy dwa.

- Nie podobał się pani?

- Wydał mi się ... interesujący. - Wystawiła twarz ku słońcu. - Ale nie wyobrażam sobie, że mogłabym mieszkać gdziekolwiek indziej niż tutaj.

Kane przyglądał się uważnie Bethany, oczarowany graniem słońca na jej twarzy. Miała wspaniałą cerę. Nie przypominała chłodnych, bladych angielskich panien, do których przywykł, a całowana słońcem skóra nadawała jej wygląd smagłego anioła.

- Musz przyznać, że ja też wolę mieszkać tutaj, ale nie zawsze mogę postąpić tak, jak bym chciał. Mój tytuł nakłada na mnie wielką odpowiedzialność.

Zwróciła ku niemu twarz.

- Jak się zdaje, ma pan wiele zobowiązań.

- Ubolewanie nie było moim zamiarem. - cięgnął lekko i kołyszący teraz w truchcie. - Zdam sobie sprawę, że mam więcej szczęścia niż wielu mieszkańców tej ziemi. Nazwisko i tytuł ojca otworzyły przede mną drzwi, które w innym przypadku pozostałyby zamknięte. Ale za tym idzie ciężka praca, przy czym administrowanie jest dość monotonne, toteż nieraz marzę, by się od tego uwolnić.

- Czy pańscy bankierzy i prawnicy nie mogliby się zająć tymi wszystkimi kwestiami?

- Mogliby, ale kto by wówczas ich kontrolował? W moim interesie leży, bym wszystkiego dopilnował osobiście, bo w przeciwnym razie inni szybko uszczupliliby mój majątek.

Bethany przyszły na myśli przygody, które ona i siostry przeżyły na pokładzie „Nieustraszonego”. Nie zamieniłaby ich na żadne bogactwo, poczucie bezpieczeństwa i nudne obowiązki, które się z tym wiązały.

- No i - cięgnął Kane - choć wiele drzwi stoi przede mną otworem ze względu na mój tytuł, inne z tego samego powodu są zamknięte. Gdy tylko ludzie dowiedzą się, kim jestem, przyjmują mnie albo odrzucają z niewłaściwych powodów. Odszedzaj mnie nie po tym, co robię i jak żyję, ale na podstawie tego, jak rozległe są moje włości i jak piękna salkiewka.

Bethany przygryzła wargi, głębia zamyśliła. Czy nie tak właśnie postąpiła? Jeszcze zanim go poznała, poczuła do niego niechęć.

- Myślę, że jak na jeden dzień wystarczy zwiedzania. - Zawrócił konia, zwracając się do niej manipulując lejcami.

Bethany obserwowała go kątem oka. W jego głosie dawało się wyczuć smutek. Kiedy zajechali na dziedziniec, słowo zaczynało już chylić się ku zachodowi. Kane oddał lejce chłopcu stajennemu i pomógł wysiść obydwu paniom. Winie przycisnęła dłoń do piersi.

- Wygląda pani na zmęczoną, panno Mellon. Może miałyby pani ochotę odpocząć w ogrodzie i napić się herbaty?

- O, tak. To bardzo miła propozycja, milordzie.

Wszyscy trzej przeszli do ogrodu, gdzie po chwili pojawił się służący ze srebrnym serwisem do herbaty.

Kiedy już siedzieli na kamiennych ławeczkach, popijając herbatę, Bethany zerknęła na pobliskie ruiny.

- Co może mi pan o nich powiedzieć?

- Właśnie tam pierwotnie mieściło się opactwo, od którego pochodzi nazwa Penhollow. - Spojrzał na pannę Mellon. - Miałyby panie ochotę zwiedzić to miejsce?

- Tak. - Bethany zerwała się w okamgnieniu. - Pójdź z nami, Winnie?

Starsza kobieta pokręciła głowę.

- Chyba nie mam ochoty opuszczać tego uroczonego zakątka. Nie mogłoby być bez mnie?

Bethany odniosła wrażenie, że dostrzegła w oczach Kane'a błysk radości. Mimo to nie skorzystał skwapliwie z tej sugestii, tylko bardzo powściągliwie nie spytał:

- Nie ma pani nic przeciwko temu?

- Nie. - Winnie machnęła ręką. - Idźcie już.

Zostawiając ją w ogrodzie, ruszyli na przełaj przez trawnik. Storm biegł przodem. Bethany wzięła głęboki oddech i postanowiła postawić wszystko na jedną kartę.

- Jest coś, co chciałabym panu powiedzieć, milordzie. Coś, co uważam za wyjątkowo ważne.

Westchnęła.

- Dobrze, Bethany. Jesteśmy tu sami. Proszę mi to powiedzieć.

- Ja... kłamałam, kiedy mówiłam, że pocałunek tego rozbójnika nic dla mnie nie znaczył.

Zatrzymał się raptownie i wbił w nią wzrok. Opuściła głowę. Policzki pokryły się szkarłatem.

- A znaczył?

- Tak. On... zrobił na mnie wielkie wrażenie.

- Czy to było coś więcej niż pocałunek?

- Milordzie! - Cofnęła się o krok i dumnie uniosła podbródek. - Między nami nie było nic poza pocałunkiem. A właśnie ciwie kilkanaście pocałunkami. Uważam jednak, że skoro prosił pan o pozwolenie starania się o mnie, powinien pan o tym wiedzieć.

- Doceniam twój uczciwość, Bethany. - Na widok jej poważej miny miał ochotę parsknąć miechem. Z trudem zachowywał powagę. - Teraz przynajmniej wiem, kto jest moim rywalem.

- On nie jest pańskim rywalem. To znaczy... - przygryzła dolną wargę - on powiedział mi, że wyjeżdża na zawsze.

- I dlatego zgodziła się pani, abym się o nią starał?

To pytanie ją zaskoczyło.

- Był może. - Uciekła wzrokiem. - Nie wiem. Jeśli zechce pan zakończy nasz znajomość, zrozumie to.

- Zakończy? - Złoty rękaw za plecami, by powstrzyma się od dotknięcia loczka włosów, który opadł na jej czoło. - Pocałował pani bezczelny rozbójnik i ten pocałunek zrobił na pani wrażenie. To jeszcze nie powód do zrywania znajomości, Bethany. Nie dbam... - strzepnął palcami - tak bardzo o twoje kontakty z Władcą Nocy. Chodźmy. - Wskazał ręką, by poszła przodem. - Wróćmy do naszego zwiedzania.

Czy mówił szczerze? Czy naprawdę był tak pewny siebie, że mógł skwitować jej znajomość z rozbójnikiem zwykłym strzepnięciem palców?

Kiedy dotarli do ruin, wziął Bethany za rękę i pomógł jej wejść na stos kamieni. Znowu poczuła to samo. Fałszywa gorączka, kiedy ich dłonie się zetknęły. I to pulsowanie w skroniach. Czy on też to czuł? Spojrzała na niego, ale w jego oczach nic nie wyczytała.

- Stoimy w miejscu, w którym niegdyś znajdował się ołtarz. - Zachowywał się tak, jakby za wszelką cenę postanowił odwrócić myśli obojga od poprzedniego tematu. Wskazał kolumnę wznoszącą się wśród gruzów. - Czsto tu przychodziłem jako mały chłopiec. Przysięgłbym, że słyszałem chóralne pieśni, ale matka twierdziła, że to tylko szum wiatru.

Jaka nuta w głosie lorda kazała jej odwrócić głowy i na niego popatrzeć .

- Chciałem jej wierzyć . - Pokręcił głową . - Ale nie mogłem. Wiedziałem, co słysz . Czasami udawało mi się nawet rozróżnić poszczególne słowa.

- Co śpiewali?

- Hymny. - Przerwał, jakby się namyślał, po czym podjął: - Pewnego dnia przyszła tu jaka stara kobieta w poszukiwaniu babcinych jaj. Powiedziała mi, że za czasów jej babki Kornwali najechano. Mieszkała w okolicznych wioskach skryła się w tej kaplicy i została zabita, gdy śpiewali hymny dla podtrzymania ducha.

Bethany poczuła, jak po jej krzyku przebiega dreszcz.

- Powiedział pan o tym swojej matce?

Skinął głową .

- Wydawała się zaniepokojona i prosiła mnie, abym z nikim o tym nie rozmawiał, nawet z ojcem.

- Dlaczego?

Zmarszczył czoło.

- Bała się , zresztą słusznie, że ludzie unikaliby mnie, gdyby się o tym dowiedzieli. A w najlepszym przypadku uznano by mnie za dziwaka. - Odwrócił się do Bethany plecami, nagle zdumiony, że jej o tym opowiedział. Po raz pierwszy w życiu wspomniawszy o tym komukolwiek. - Uważała, że co takiego to przekleństwo.

- Przekleństwo? - Bethany współczująco dotknęła dłoni jego ramienia. - Został obdarzony darem, Kane.

Na ułamek sekundy zastygł bez ruchu, po czym zwrócił ku niej twarzą.

- Powiedz to jeszcze raz.

- To czym...

- Nie. - Dotknął palcem jej ust. To był leciutki dotyk, ale całe jej ciało ogarnęło go, zupełnie jakby wkroczyła w sam

rodek płomieni. - Powiedz jeszcze raz moje imię. Chcę usłyszeć, jak to mówisz.

- Ja nie...

- Ale tak. Zrobiła to. Powiedz to jeszcze raz, Bethany.

- Nie mogłabym. To niewłaściwe.

- Odkąd to dbasz o to, co jest właściwe, a co nie?

Powiedz to.

Nie była pewna, czy zdoła cokolwiek powiedzieć. Miała zupełnie wysuszone gardło.

- Kane.

- Jeszcze raz. - Ujął w dłoń jej twarz. Oczy wpatrzone w jej oczy płonęły.

- Kane - wykrztusiła niewiele głosu od szeptu.

- Och. - Przybliżył twarz do jej twarzy. Jego usta były teraz tuż nad jej wargami, skutkiem czego wzduchnęła się gwałtownie i poczuła kolejną falę gorąca. - Tak długo czekała mi czekała. Zbyt długo.

Znieruchomiła w oczekiwaniu na pocałunek. Nie wiadomo, uniosła twarz w zaproszeniu. Tymczasem on, zupełnie jakby raptem pojął swój błąd, nagle uwolnił ją i cofnął się o krok. Patrzyła, jak płomień w jego oczach powoli gasnie, a wreszcie Kane zapanował nad sobą całkowicie.

Odwrócił się i z pozorną nonszalancją zacisnął dłoń za plecami, pragnąc powstrzymać się od dotyknięcia Bethany.

- Czekanie tylko zwikszyło przyjemność. Na ciebie czekałem, Bethany. To, że tu jesteś, sprawia mi tak radość. - Spojrzał przez ramię. - Zauważyła?

Dziwne, ale czuła się gwałtownie rozczarowana. Miał zamiar ją pocałować. Tego była pewna i bardzo chciała, żeby to zrobił.

- Co miałam zauważyć?

- Jesteśmy sami. Nie ma służących. Nie ma gospodyni. Nie ma Huntleya i panny Mellon.

- Tak, zauważyłam to.



- Dopilnuj , eby to si nie powtórzyło.
- Dlaczego? - Usiłowała nie pokaza po sobie zawodu.
- Bo tak trzeba. Nast pnym razem dopilnuj , eby nam kto towarzyszył. W tpi , czy twój dziadek chciałby, eby przebywała ze mn sam na sam.

Pozostał na swoim miejscu. Wolał nie podchodzi zbyt blisko. Wci za bardzo pragn ł jej dotkn .

Zakłopotana, a co wi cej zaniepokojona, odwróciła si i potkn ła o stos kamieni. Podniósłszy si , z prawdziw ulg przyj ła pojawienie si Winnie.

- Czy to nie wspaniałe?! - wołała niania. – Odpocz łam troch w ogrodzie i czuj si doskonale.

Na dziedzi cu oczekiwał ju na nie powóz lorda. Wo nica trzymał lejce.

Kane, który dogonił panie i szedł teraz obok Bethany, cicho powiedział:

- Mo na by pomy le , e wła nie dostała odroczenie wyroku. Mo e jutro znów wypowiesz moje imi .

Zatrzymała si na chwil .

- Mo e.

Ruszyła naprzód. Powoli poszedł za ni , a widok jej kołysz cych si bioder działał jak afrodyzjak. Ju t sknił za jutrem. Za d wi kiem jej głosu. Za dotkni ciem jej r ki. Ale na pewno dopilnuje, eby ani na chwil nie zostali sami. Teraz, bardziej ni kiedykolwiek, było to stanowczo zbyt ryzykowne.

Bethany wła nie zamierzała zej na dół, ale słysz c przenikliwy głos Edwiny dobiegaj cy z salonu, zatrzymała si . Nim jednak zdołała znikn z pola widzenia, Edwina zerkn ła w gór i zaskrzeczała:

- Tu jeste . Musisz natychmiast przyj . Mam wspaniałe nowiny.

Niezdolna opanowa podniecenia wbiegła na schody i chwyciła Bethany za rami .

- Nie oci gaj si . Wszyscy ju czekaj .
- Wszyscy?
- Cała twoja rodzina. - Poci gn ła Bethany ze sob do salonu i zwróciła si do zebranych, zarumieniona z dumy. - Wychodz za m .
- W ? - Geoffrey Lambert przytkn ł dło do ucha i wrzasn ł: - Tu nie ma adnych w y!
- Nie, kapitanie Lambert. Za m . Wychodz za m . Pani Coffey przeniosła wzrok z Bethany na Darcy.
- Kim jest ten szcz liwy d entelmen?
- Edwina była zbyt podekscytowana, by zauwa y nut sarkazmu w jej głosie.
- To Oswald Preston. - Błysn ła z bami w triumfalnym u miechu. - Jest kuzynem lorda Alsmeetha, jak wiecie.
- Tak. Znamy go. - Panna Mellon zmarszczyła brwi, przypominaj c sobie gburowatego m czynn , którego widziała w Opactwie Penhollow.
- Wspaniała nowina, Edwino. - Bethany bardzo si starała, by zawrze w tych słowach cho odrobin entuzjazmu. - Czy nie znacie si zbyt krótko?
- Wiem wszystko, co powinnam wiedzie . Jest przystojny i czaruj cy. I jaki zabawny! Mama mówi, e wła nie kogo takiego potrzebuj , by przesta opłakiwa biednego Silasa.
- Melasa? Po có ci melasa? - Geoffrey kr cił głów na prawo i lewo.
- Nie, kapitanie Lambert. Chodzi o Silasa. Oswald pomo e mi o nim zapomnie .
- Kolejny przystojny i czaruj cy d entelmen - mrukn ł pod nosem Geoffrey, przywołuj c lekkie u miechy na twarze domowników.
- Ustalili cie ju dat lubu? - zaciekawiała si pani Coffey.

- Nie. Oswald powiedział, że potrzebuje trochę czasu na uporządkowanie swoich spraw. Prawdopodobnie wkrótce pojedzie do Londynu. Ma tam uroczy rezydencję. Mama i ja pewnie wybierzemy się wraz z nim.

- Nie obawia się pani, że pobyt w Londynie odwiecy wszystkie bolesne wspomnienia? - W głosie pani Coffey wyczuwało się niecierpliwie.

- To prawda. Na pewno będzie tam opłakiwać Silasa. Ale tak bardzo chcę zobaczyć rezydencję Oswalda. W końcu, po naszym lubie, stanie się równie moja.

- Razem z jego długami - mruknęła gospodyni.

- Nie będzie żadnych długów, pani Coffey. Oswald zapewnił mnie, że wkrótce stanie się bardzo bogaty.

- W jaki sposób zamierza tego dokonać?

- Najwyraźniej chodzi o jakiś spadek. Przecież jest kuzynem lorda. Nie byłabym zaskoczona, gdyby odziedziczył ogromny majątek.

- Dorodny? - Geoffrey energicznie pokiwał głową. - Skoro ty zwróciłaś na niego uwagę, Edwino, musi być jednym z tych ładnych młodzieńców.

- Może akurat tak bym go nie określiła. - W jej policzkach pokazały się dołeczki. - Ale jest taki czarujący, kapitanie Lambert.

- Dziękuj ci, dziecko. Zrobi, co w mojej mocy. - Zwrócił się do gospodyni. - Co z naszym niadaniem, pani Coffey? Czy by dziś miała nam wystarczyć smakowita opowieść Edwiny?

Starsza kobieta odwróciła się, kryjąc się.

- Widz, że apetyt panu dopisuje, jak zwykle. Powiem kucharce, że jest pan gotów, kapitanie.

- Tak. Bardziej niż gotów. - Mijajcie Edwin, poklepał ją po ramieniu. - Pewnie teraz pojedziesz do wioski i podzielisz się z wspaniałymi nowinami ze wszystkimi mieszkańcami Lands End.

- Zrobi to, kapitanie Lambert. - Posłała triumfalne spojrzenie w stronę Bethany. - Mo esz sobie mnie wyobrazi jako on kuzyna lorda Alsmeetha?

- Mog . - Bethany odprowadziła j do drzwi, chc c si jej wreszcie pozby .

Zamkn wszy drzwi, na moment oparła si o nie, po czym wyprostowała ramiona i udała si do jadalni. Jeszcze chwila i Edwina mogłaby ujrze zaje d aj cy pod dom powóz lorda. Wtedy z pewno ci nie obeszloby si bez plotek.

Powinna si cieszy z niespodziewanych zr kowin Edwiny. By mo e, przynajmniej na jaki czas, przestanie interesowa si yciem bli nich.

- Co to takiego?

Kane obrzucił zdumionym spojrzeniem Bethany i pann Mellon, gdy wysiadły z powozu na dziedzi cu rezydencji. Bethany niosła w ramionach stert pakunków starannie zawini tych w płótno.

- Poprosiłam kuchark , eby zrobiła swój słynny pudding chlebowy.

- Tak du o? Pami tam, e twoja gospodyni chciała, bym go skosztował. To, co widz , wystarczyłoby, by nakarmi cał wiosk .

Zarumieniła si .

- Prawd mówi c, pomy lałam, e mogliby my zawie go pannie Pike i jej podopiecznym.

W jego oczach ujrzała zaskoczenie.

- Jestem pewien, e dzieci b d zachwycone. A reszta pakunków? - Wskazał na paczki, które trzymał Huntley.

- Troch podarków dla dzieci. Newt wystrugał kilka drewnianych stateczków. Dziadek zrobił konia na biegunach. Pani Coffey i panna Mellon cały tydzie pracowały nad szmacianymi lalkami. - Zarumieniła si i uciekła wzrokiem. -

Darcy i ja te zrobiły my kilka, ale nasze nie są tak ładne, jak reszta. Nie mamy daru do kobiecych robótek.

Niepomny na zło on sobie samemu obietnic, a ja nie b dzie dotykał Bethany, uniósł jej podbródek i przyjrzał si twarzy.

- Otrzymała najcenniejszy dar, Bethany. Dar dobrego i hojnego serca.

Nie była w stanie mówić. Pozostało jej tylko patrzeć w te mroczne oczy i zastanawiać się nad uczuciami, które w niej wzbierały.

Panna Mellon odchrząknęła.

Kane natychmiast cofnął się o krok i spojrział na Huntleya.

- Mozesz zanieść te rzeczy z powrotem do powozu. Te dary są zbyt piękne, by czekały choć jedną godzinę. - Następnie zwrócił się do stojącej nieopodal gospodyni. - Co kucharka zaplanowała na nasz południowy posiłek?

- Ba, panie, milordzie. I wie pan, co się dzieje.

- Proszę polecić, aby je tu przyniesiono. Dodamy je do tych skarbów.

Niedługo później przybiegła służba, niosąc kilka pakunków zawiniętych w płótno. Huntley umieścił je z tyłu powozu wraz z pozostałymi paczkami.

- Nie będzie mnie kilka godzin, pani Dove. - Kane odprawił gospodynię skinieniem dłoni. - Moi goście i ja udajemy się do Mead.

- Tak, milordzie.

Pomógł Bethany i jej niani ulokować się w powozie, po czym zajął miejsce naprzeciwko nich. Natychmiast dołączył do nich Storm, który położył łeb na kolanach Bethany.

Podczas drogi Kane zachowywał milczenie, a Bethany opisywała Mead i mieszkanie tamtejszego przytułku siedząc obok niej starszej kobiecie. Kane uwiadomił siebie, że samo brzmienie jej głosu go uspokaja. Gdyby to było

mo liwe, słuchałby jej cały dzień i noc. Wi cej, mógłby jej tak słuchać przez całe życie i jeszcze by nie miał dość.

Powóz podskoczył na koleinach, starsza kobieta poprawiła szal i zapytała:

- Co wiesz o pannie Jennie Pike?

- Tylko to, że jest niezwykła. - Bethany uśmiechnęła się. - Sama zobaczysz, Winnie. Wielkodusznie po nią cięła się opiece nad dziećmi, które nie mają nikogo innego.

- Jak sobie radzi bez kogoś, kto dostarczałby im jedzenie i ubrania?

- Mieszkaj w opuszczonej plebanii. Piek chleb i sprzedaj go w wiosce. Pewnie niektórzy mieszkać przy Mead dziel się z nimi tym, co mają.

- Jednak e... - w głosie panny Mellon wyczuwało się powątpiewanie - nakarmienie i ubranie takiej gromady wymaga odpowiednich środków.

- Toteż i my musimy wziąć w tym udział. - Bethany roześmiała się. - Właśnie dlatego zmusiłam was wszystkich do pomocy, Winnie.

- Nie zmusiła. - Niania poklepała jej po rękach. - Po prostu poprosiła, a my na to przystaliśmy.

- Bez względu na przyczynę - wtrącił Kane - jestem przekonany, że panna Pike i dzieci będą zachwycone.

Kiedy przejeżdżali przez mały wioski, zatoka wieściła pustkami. O tak wczesnej porze łódzie rybackie były daleko w morzu. Kobiety pracowały w małych przydomowych ogródkach albo trzepały po cielach, a dzieci dźwigały wiadra z mlekiem z krytych strzech szop. Minęli walący się kościół i zatrzymali się przed schludną plebanią. Prawie natychmiast dobiegł stamtąd gwar i ze stodoły wybiegły gromadnie dzieci, otaczając elegancki powóz.

- Witamy, milordzie! - wołały. - Witamy, panno Lambert!

Z domu wyszła Jenna Pike i dzieci natychmiast umilkły.

- Co za miła niespodzianka, milordzie. Panno Lambert.  
- Podeszła do powozu, wycierając dłonie rękawiczkami. - Właśnie nie  
piekłam chleba. Może wejdziemy do rodzka?

Kane pomógł wysiść obydwu paniom, po czym dokonał  
prezentacji.

- Panno Pike, chciałbym, żeby poznała pani pann  
Winifred Mellon. W swoim czasie była panią panny Lambert i  
jej siostr.

- Panno Mellon. Witamy w naszym domu.

- Dziękuję ci, moja droga. Słyszałam wiele dobrego o  
tobie i o dzieciach.

Kane zauważył, że dzieci zerkają na pakunki i uśmiechnęły  
się tajemniczo.

- Wejdźmy do rodzka, a tymi rzeczami zajmie się mój  
zręczny lokaj.

Dzieci niechętnie weszły do domu w ślad za dorosłymi.  
Powietrze wewnątrz przesycał cudowny zapach wieńca  
chleba.

Panna Mellon rozglądała się wokół z aprobatą, zauważając  
wieńca zamiecioną podłogę, i niebieskie okna. Kiedy doszli do  
kuchni, dzieci zebrały się wokół dużego, drewnianego stołu,  
obserwując, jak Huntley znosi paczki z powozu i układa je w  
rogu pomieszczenia.

- Co to? - spytała Jenna Pike.

- Podarki od mojej rodziny. - Bethany usiadła przy  
stole i posadziła sobie na kolanach małą dziewczynkę z  
kręconymi włoskami. - Nasza kucharka przysłała pudding  
chlebowy.

- Och, mój Boże. - Jenna odpakowała ogromną misę  
puddingu. - Wystarczy dla nas wszystkich.

- Mam nadzieję - roześmiała się Bethany.

- A to? - Panna Pike otworzyła szerzej oczy na widok  
pary białych antłów i wieńca złowionego łososia.

- Podarek od milorda.

- Jest pan zbyt dobry. - Posłała mu pełen wdzi czno ci u miech.

- A to? - Mały Noah cały dr ał z podniecenia na widok tylu wci nieodpakowanych podarków.

- Co , co wypełni wam czas, kiedy nie pomagacie pannie Pike. - Bethany postawiła malutk dziewczynk na podłodze. - Mo e ka de z was otworzy jedn paczk .

Dzieci oniemiały na widok tylu skarbów. Kiedy wszystko zostało odpakowane, ich oczom ukazały si drewniane łódki, które mogły pływa po stawie czy kału y, szmaciane lalki o oczach z guzików i ubraniach z włóczki i wst ek. I drewniany ko na biegunach, który wywołał piski zachwytu.

- Och, mój Bo e. - Jenna kr ciła głow , oszołomiona i zachwycona. - Nie mog w to uwierzy .

- Czy to Bo e Narodzenie, panno Pike? - Noah podniósł głow znad łódki, któr przyciskał do siebie niczym skarb.

- Nie, chłopcze. - Przeszła przez pokój i przytuliła go.

Przez nast pn godzin , popijaj c herbat w przytulnej kuchni, doroli mieli si z popisów dzieci uszcz liwionych nowymi zabawkami. Nawet Huntley, nakłoniony przez reszt towarzystwa, by usiadł i napił si herbaty, u miechał si , widz c, jak chłopcy po kolei uje d aj drewnianego konia, a dziewczynki spaceruj , tul c do siebie szmaciane lalki. W samym rodku tego wszystkiego z wywieszonym rado nie j zykiem le ał wymachuj cy ogonem Storm.

Jenna okr yła stół, dolewaj c go ciom wie ej herbaty. Obok krzesła Kane'a przystan ła na dłu ej.

- Omal nie zapomniałam, milordzie. Ponad pół tuzina osób z całej Konwalii przyjechało po odbiór klejnotów zostawionych tu przez Władc Nocy.

Na wzmiank o rabusiu Bethany poczuła ukłucie w sercu. Czy kiedykolwiek uda jej si o nim zapomnie ?



- Byli wyjątkowo wdzięczni za zwrot kosztowności. Tak wdzięczni, że jeden z dżentelmenów, niejaki lord Farley z Craigshead, zmusił mnie do przyjęcia kilku sztuk złota. Byłam naprawdę wzruszona, bo dzięki temu wszystkie dzieci będą miały buty i ciepłe odzież na nadchodzącą zimę.

- To rzeczywiście dobra wiadomość. - Umiechnął się ty Kane obserwował igraszki małego chłopca, który z pomocą Bethany wdrapywał się na drewnianego konia.

Noah pociągnął Bethany za spódnicę i wyszeptał:

- Szkoda, że nie zrobił tego parę dni wcześniej.

- Co masz na myśli, Noah?

- Panna Pike tak bardzo chciała zapewnić nam przyodziewek na zimę, że sprzedała swój harf. A dobrze wiem, że omal nie pokłó jej przy tym serce, bo grała jak anioł.

Rzucało się w oczy, że Noah, jako najstarszy, poczuwał się do szczególnej troski o opiekunkę.

- Jakże to smutne. Płakała?

- Nie nasza panna Pike. Czasami, kiedy myśli, że nikt nie widzi, w jej oczach widać smutek i wpatruje się w kłoty, gdzie zawsze stała jej harfa.

Bethany przeniosła wzrok na młodą kobietę pogromioną w rozmowie z Kane'em.

- Wczoraj też miałam gościa, milordzie.

- Tak? - Kane oderwał wzrok od Bethany i dziecka.

- Złoty mi wizytujący kuzyn, Oswald Preston. - Jenna starała się panować nad sobą, chociaż ów dżentelmen wprowadził ją w wyjątkowe zakłopotanie. - Był tu już wcześniej z panną Cannon i jej matką.

- Powiedział, czego chce? - Kane zachował spokojny głos, ale w jego oczach pojawił się chłód.

- Zaoferował się zwrócić resztę złota i biuterii prawowitym właścicielom.

- Z jakiego powodu?

- By oszcz dzi im długiej podró y tutaj, do Mead, jak twierdził. Naturalnie podzi kowałam mu za jego ofert , ale powiedziałam, e przyszła za pó no. Wszystkie kosztowno ci zostały ju odebrane.

Kane wyra nie si odpr ył. Bethany uniosła głow .

- W tym całym podnieceniu, zwi zany z przyjazdem tutaj, nawet nie wspomniałam, e Edwina Cannon oznajmiła nam, i pa ski kuzyn poprosił j o r k .

Kane wygl dał jak ra ony piorunem, ale szybko si opanował.

- Przyj ła go?

Panna Mellon skin ła głow .

- Gdyby pan znał Edwin Cannon, nie musiałby pan o to pyta . Nie chc przez to powiedzie , e jest rozwi zł i grzeszn kobiet . Ale tak łatwo daje si nabra na pochlebstwa m czynny. Jakiegokolwiek m czynny. Do tej pory o nowi nie z pewno ci usłyszało całe Lands End, a Edwina nie omieszka obwie ci tego równie całej Kornwalii.

Kane dopił herbat pogr ony w my lach. Po paru minutach odsun ł krzesło i wstał.

- Obawiam si , e musimy ju rusza w drog .

Zd yli doj do drzwi, a dzieci pochłoni te swymi zabawkami nawet nie uniosły głów. Jenna przywołała je do porz dku.

- Dzieci! Co powinni cie powiedzie naszym go ciom?

- Dzi kujemy! - krzykn ły chórem.

- Przyjed cie znów! - zawołał Noah.

- Och na pewno, Noah. Mam nadziej , e nast pi to niebawem. - Bethany przytuliła go do siebie po czym wyszła z domu i ruszyła w kierunku powozu za pozostałymi, ale Jenna zatrzymała j w pół drogi.

- Jak mo emy pani podzi kowa , panno Lambert?

- Nie trzeba podzi kowa , panno Pike. Je li si widzi to wszystko, co pani robi, to raczej pani zasługuje na podzi kowania i podziw.

Kobiety u ciskały si . Potem Bethany wsiadła do powozu i zaj ła miejsce obok panny Mellon. Jenna stan ła przy powozie.

- Dzi kuj , milordzie. I paniom te dzi kuj . Prosz znów przyjecha .

Wo nica uj ł lejce. Gdy powóz ruszył, wszyscy machali na po egnanie.

Panna Mellon odwróciła si do Bethany.

- Miała racj . Có za czaruj ca osoba z tej panny Pike! Chyba nigdy w yciu nie spotkałam nikogo hojniejszego i lepszego.

- Wiedziałam, e j polubisz, Winnie. - Bethany, zadowolona, wsun ła r k pod rami starej niani. - Teraz musimy pomy le o innych sposobach pomocy dla niej i dzieci. Ona tak tego potrzebuje. Mo e kobiety z wioski mogłyby pomóc w reperowaniu ich ubra . Na pewno jej koszyk z rzeczami do reperacji jest zawsze pełny. Od czasu do czasu przydałby si te gotowy posiłek, eby nie musiała sp dza tylu godzin w kuchni. Mo e nawet znalazłoby si paru m czyzn i chłopców, którzy mogliby pomóc jej w ogrodzie. Tyle pracy dla jednej kobiety. A jednak spełnia to wszystko bez słowa skargi.

Stara niania ju kiwała głow z entuzjazmem.

- Czasem pomocne r ce znacz tyle, co spokojnie przespana noc. Kiedy pomy l , ile energii kosztowało mnie dotrzymanie kroku tobie i twoim siostram, nie mog wyj z podziwu, e jedna młoda kobieta potrafi zaopiekowa si tak liczn gromadk .

- Ale, jak powiedział mi lord Alsmeth, wiele j to kosztuje. Mały Noah zwierzył mi si , e chc c zapewni

przydzwiek dla wszystkich dzieci na zbli aj c si zim ,  
była zmuszona sprzeda swoj ukochan harf .

- Jakie to smutne i zarazem jakie szlachetne z jej  
strony.

Bethany spojrzła na Kane'a. Siedział tak pogr ony w  
my lach, e z pewno ci nie usłyszał ani słowa. Bez wzgl du  
na to, dok d zawiodły go te rozmy lania, s dz c po wyrazie  
jego twarzy, nie było to przyjemne miejsce. Ponownie  
u wiadomiła sobie, jak niewiele o nim wie. Potrafił by  
szarmancki i miły. Ale istniała te druga strona jego  
osobowo ci. Ta, która stanowiła dla niej zagadk , a czasami j  
przera ała. Wci pozostawała tajemnic . Miał swoje mroczne  
miejsca. Wcale nie była pewna, czy chce je bada .

## ROZDZIAŁ DZIESI TY

- Czy to nie miłe ze strony lorda, e zaprosił dzi  
równie twoj siostr ? - Panna Mellon zd yła ju przywykn  
do codziennych przeja d ek do Opactwa Penhollow w  
wytwornym powozie i do panuj cej w majtku atmosfery  
przepychu. Przez ostatnie par tygodni zwiedziły dom i  
okolice, a nawet wybrały si do kilku pobliskich wiosek.

Kane wywi zał si z danej obietnicy i dopilnował, eby  
nigdy nie pozostawa z Bethany sam na sam. Czy to w  
bibliotece, czy podczas spaceru w ogrodzie zawsze  
towarzyszyła im jej niania, siostra, a przynajmniej armia  
słu cych pod aj cych za nimi w dyskretnej odległo ci.  
Posiłki stały si wydarzeniami rodzinnymi. Cz sto  
uczestniczyła w nich równie pani Coffey i stary Newton,  
który przyje d ał do rezydencji pó nym popołudniem po  
wypełnieniu codziennych obowi zków na „Nieustraszonym”.

Bethany spojrzała na Darcy. Obie siostry miały na sobie stroje do konnej jazdy.

- To prawda. Ciesz się z twego towarzystwa.

- To miło ze strony lorda, a zaferował nam swoje konie. - Darcy z trudem hamowała podniecenie. - Powiedział, a mogłaby wybrać dowolnego konia, z wyjątkiem jego ogiera.

Bethany zmarszczyła nos.

- Wolałabym przejechać się na Lacey, ale Kane nie chciał, abym przemierzała na niej tak długie drogi.

- I miał słuszność - zauważyła panna Mellon. - Teraz poczuwa się do odpowiedzialności za ciebie. Nigdy nie wiadomo, co może się wydarzyć między domem a Opactwem Penhollow.

- Pływałam po niebezpiecznych wodach i walczyłam z krwawymi piratami, a ty trzymasz stronę Kane'a? - obruszyła się Bethany.

- Nie trzymam niczyjej strony. Zgadza mi się tylko, że rozsądniej jest pojechać do rezydencji powozem, a na miejscu skorzystać z doskonałych stajni lorda.

Bethany poddała się.

- Prawdopodobnie mówi ci, w jednym z boksów jest duża gniada klacz, którą od jakiegoś czasu mam ochotę wypróbować. I przyznaj, że z chęcią pojeżdżałabyś po falujących wzgórzach Opactwa Penhollow. Nie ma lepszego sposobu na spędzenie czasu. Chyba że jest się na pokładzie statku.

- O, tak. - przytaknęła Darcy. - Nowt mówi, że naprawa dobiega końca.

- Nie mogę się doczekać chwili, w której stanę na pokładzie „Nieustraszonego”. - Bethany wsunęła zbytek kany kosmyk włosów za ucho. - Ale w dalszym ciągu uważam, że Kane zasługuje na ostrzeżenie, zanim wyruszy w morze z rodziną korsarzy.

- Wiesz, co powiedział dziadek. To nie jest odpowiedni czas.

- A kiedy będzie? - Oczywiście Bethany rzucały ogień. - Kane od wstania do nocy siedzi w bibliotece zatopiony w księgach i rachunkach.

- Udać mu się to spędza sporo czasu z nami - zganiła ją panna Mellon. - Nie dalej jak wczoraj pani Dove powiedziała mi, że jeszcze nigdy nie widziała lorda tak odprężonego.

- Może dzięki odprężeniu się jeszcze bardziej i równie wybierze się na przejażdżkę. - Bethany usiadła wygodniej, obserwując, jak z zaskakującym wynurzają się Opactwo Penhollow.

Doznawała mieszanych uczuć. To były dziwne konkurencje. Kane wydawał się opiekunem czy opiekunem, ale były też inne chwile, kiedy sprawiał wrażenie roztargnionego i dalekiego. Zdobył już zaufanie całej rodziny, a ona wciąż nie wiedziała o nim więcej niż wówczas, gdy spotkali się po raz pierwszy. Przystojny, bogaty i czasami wyniosły nieznajomy, który rzadko zdobywał się na serdeczny gest i ani razu jej nie pocałował.

Kiedy powóz zajechał na dziedziniec, postanowiła zapomnieć o swoich niepokojach. Był piękny dzień. Obiecała sobie dołożyć starań, by spędzić go jak najprzyjemniej.

- Ach. Jest już panienka, panno Lambert. - Gospodyni cofnęła się, czekając, aż Huntley pomoże paniom wysiść z powozu. - Jego lordowska mość czeka na panią w...

- ..bibliotece - dokończyła Bethany.

- Nie, panno Lambert. Czeka na panią w stajniach.

Bethany spojrzała na siostrę, potem na nianię. Zmiana w codziennej rutynie zapowiadała się obiecująco. Może Kane dzisiejszego dnia postanowił zrobić sobie wolne od uciążliwych obowiązków?

Wszystkie trzy przeszły przez ogrody i doszły do stajni, gdzie już czekało na nie kilka osiodłanych koni. Bethany ogarnęła dziwne wzruszenie, jak zawsze na widok Kane'a. Stał pogroby w rozmowie z głównym stajennym. Tego dnia miał

na sobie czarne spodnie wci ni te w wysokie buty i koszul z długimi r kawami z mi kkiego, białego płótna. Czarne włosy wzburzył wiatr. Kiedy si odwrócił i spostrzegł Bethany, nagle zamilkł, a jego twarz poja niała.

Pospiesznie ruszył w ich kierunku.

- Dzie dobry, Bethany. Darcy. Panno Mellon.

- Kane. - W jego oczach zobaczyła rado wywołan tym, e zwróciła si do niego po imieniu. Teraz spływało jej z ust równie łatwo, jak jej imi z jego ust. - Czy to oznacza, e zamierzasz wybra si z nami?

- Tak. Pracowałem do pó na w nocy, by z czystym sumieniem móc odło y ksi gi i do was doł czy . - Odwrócił si do niani. - Pojedzie pani z nami, panno Mellon?

Stara kobieta pokr ciła przecz co głow .

- Je li mi pan wybaczy, milordzie, wolałabym pospacerowa troch po pa skich ogrodach, a pó niej mo e napij si herbaty z pani Dove.

- Zapewniam, e słu cy b d na ka de pani skinienie.

- Ponownie odwrócił si do Bethany. - Kazałem osiodła dla ciebie t gniad klacz.

A poró owiała, wyra nie uradowana.

- Sk d wiedziałe , e ta podoba mi si najbardziej?

- Richmond powiedział mi, e podziwiała j za ka dym razem, kiedy odwiedzała stajnie. Prosz , pozwól pomóc sobie przy wsiadaniu.

Gdy musn ł r k jej łokie , całe jej ciało znowu ogarn ła fala gor ca. Nawet kiedy odwrócił si , by pomóc wsi Darcy, wci jeszcze czuła przyjemne ciepło. Zamy liła si . Co oznaczała ta dziwna reakcja na jego najzwyczajniejszy dotyk? I sk d to podniecenie na my l o tym, e sp dzi w jego towarzystwie cały dzie ?

Spojrzała na kasztanowego wałacha, którego dosiadł.

- Gdzie jest twój ogier?

- Okulał. Richmond si nim zaj ł.

- Musz koniecznie zobaczy tego konia. Za ka dym razem, kiedy odwiedzam stajnie, on albo jest na pastwisku, albo tkwi w boksie obło ony kocami z powodu jakiej niemocy. Czy by był słabowity?

- Powiedziałbym, e raczej wra liwy. Ruszajmy. - Skierował si na poro ni t traw dró k , po czym odwrócił si w siodle, chc c si upewni , e obydwie młode damy pod aj za nim. - Czas ju , eby cie zobaczyły dzikie tereny Opactwa Penhollow.

Bethany i Darcy nie potrzebowały zach ty. Wkrótce droga stała si szersza, tote dogoniły jego wierzchowca i dalej jechali we trójk , zachwycaj c si pi knem pokrytych ros pól. Kiedy wspi li si na wzgórze, spostrzegli łani z jelenkiem. Zwierz ta z gracj przebiegły przez pole i znikły w mroku lasu.

Kane jechał teraz st pa.

- Podczas moich nocnych przeja d ek nieraz obserwowałem t dwójk . Widziałem, jak jelenek stawia pierwsze kroki. Min ło zaledwie par tygodni, a on ju biega, i to jak!

- Je dzisz tu co noc?

- Prawie. Pomaga mi to oczy ci umysł z nu cych szeregów liczb w ksi gach i raportach.

Darcy pow ci gn ła swego konia.

- Poluje pan, milordzie?

Skin ł głów .

- Co roku po niwach mój ojciec urz dzał wielkie polowanie, na które zapraszał wszystkich dzier awców. Odk d podrosłem na tyle, by dosi konia, pozwalano mi w nim uczestniczy .

- To miły gest ze strony pa skiego ojca.

- I wiadczy o przezorno ci. Doskonały sposób na przerzedzenie stad i zapełnienie spi arni przed zim . Zamierzam kontynuowa t tradycj .



- Jestem pewna, że dzierawcy będą wdzięczni za miłość - zauważyła Bethany z uśmiechem.

- A ja jestem im wdzięczny za ich pracę. Proszę spojrzeć tam. - Wskazał ręką. Siostry odwróciły się w stronę porośniętego, by utrzeć stadko składające się z dwunastu amerykańskich jeleni, które przebiegło przez szczyt wzgórza i znikło w lesie. - Gdybym jechał na Midnightcie, na pewno chciałby ruszyć za nimi w pogogo.

- Taki z niego myśliwy? - Bethany uniosła głowę.

- O, tak. Pewnie wszystkie samce są myśliwymi, niezależnie od gatunku. - Patrzył na niego w taki sposób, że w gardle jej zaschło, a serce zaczęło bić szybciej.

Pod jego przenikliwym spojrzeniem poczuła się nieswojo, więc ciężko wiodła wodze i ruszyła kłusem. Kane i Darcy poszli za jej przykładem.

Och, wspaniale było siedzieć na kośkim grzbiecie i przemierzać zielone pola! Prawie tak wspaniale, jak lizga się po falach na pokładzie „Nieustraszonego”. Brakowało jej tego. Brakowało wolności. Popadła w konia, chcąc poczuć, że frunie.

Kiedy spojrzała przez ramiona, zobaczyła, że Darcy i Kane są coraz bliżej.

Gdy tylko się z nimi zrównali, zawołała:

- Cigajmy się!

- Jak daleko?! - odskrzyknęła Darcy.

- Do skrajności lasu!

Upewniwszy się jeszcze, że przytaknęli na znak zgody, cisnęła bokiem konia kolanami. Klacz wyrwała do przodu, a pozostała dwójka ruszyła za nimi w pogogo. Kiedy tylko wspięli się na wzniesienie, Bethany, zdana z wyciszenia, puściła klacz w cwał. Nagle ziemia pod nimi się rozstąpiła. Klacz się potknęła. Po chwili kołował z amazonką runął w otchłość.

Bethany, wyrzucona z siodła, poleciała bezwładnie jak jedna ze szmacianych lalek, które zrobiła dla podopiecznych Jenny Pike. Wylądowała na twardej ziemi i leżała bez ruchu,

próbuj c zaczerpn tchu. Klacz le ała na boku nieopodal niej i rzucała łbem, niezdolna wsta o własnych siłach.

- Bethany! Bo e w niebiesiech! - Kane zeskoczył z konia i błyskawicznie znalazł si w gł bokim dole. Ukl kł przy niej, a na jego twarzy malował si strach.

- Ja... yj .

Usłyszawszy jej głos, wydał westchnienie ulgi i kołysz c Bethany w ramionach, przycisn ł wargi do jej skroni. Potem wyniósł j z dołu i poło ył na trawie.

- Och, Bethany. - Darcy ukl kła przy niej i cispn ła r k siostry w obydwu dłoniach. - Tak si przeraziłam, kiedy nagle znikła . Nie zauwa yła tego dołu?

- Nie. Pewnie był zakryty zielskiem i gał ziami. Poza tym, nawet gdybym ci gn ła cugle, klacz i tak nie zd yłaby si na czas zatrzyma .

Kane poło ył jej palec na ustach.

- Spokojnie, Bethany. Nie ruszaj si , zanim nie sprawdz , czy czego sobie nie złała .

Znowu do wiadczała tego błogiego uczucia ciepła, gdy jego dłonie przesuwaly si po jej ciele. Z delikatno ci , o jak nigdy by go nie pos dzała, dotykał jej nóg, r k, nawet ka dego palca z osobna. Nagle u wiadomiła sobie, e kiedy przycisn ł usta do jej skroni, ogarn ło j podniecenie i na chwil zapomniała o upadku. Mo na powiedzie , e był to ich pierwszy pocałunek.

Nieco uspokojony, usiadł przy niej na ziemi i patrzył, jak blade jej twarzy powoli ust puje. Nawet Storm polizał policzek Bethany i oparł łap na jej ramieniu, wyra nie poruszony.

- Mo esz usi ?

- Tak. - Podniosła si przy pomocy Kane'a i wsparta o jego rami czekała, a minie zawrót głowy. Potem spojrzala na dziur w ziemi. - Co to wła ciwie jest? My lisz, e to sprawka kłusownika poluj cego na jelenie?

Podjął za jej wzrokiem, mrużąc z namysłem oczy.

- Nie wiem. Ale się dowiem.
- A co z klaczą? Pokiwał głową.
- Przył tu Richmonda, żeby się nią zajął.
- Czy ona...? - Nie była w stanie wypowiedzieć tego

słowa.

Z ponurą miną wziął ją na ręce.

- Będzie wiedzieć więcej, kiedy już Richmond ją obejrzy.

Wspiął się na siodło i mocno przytulił do siebie Bethany. Poczuli, że drżąmu ręce. Gdy zobaczył ją leżącą w tym dole, wpadł w popłoch. Uwiadomił sobie w tej jednej, króciutkiej chwili, jak ważna stała się dla niego ta młoda kobieta. Przez całą drogę powrotną do Opactwa Penhollow nie odezwał się ani słowem, zaprzętni tymi owoce o wykopanej jamie. Przemierzał tę trasę nie dalej jak w nocy. Wówczas nie ziała tam żadna dziura w ziemi. Ktokolwiek ją wykopał, musiał zrobić to wczesnym rankiem.

To nie był przypadek. To było rozmyślne działanie.

Bethany przyszedł na myśli kłusownik... Tak. Kłusownik. Tyle że polował na człowieka. Co gorsza, śmiertelna gra omal nie skończyła się tragicznie dla niewinnej młodej kobiety. Samolubnie wciągając Bethany w swoje życie, wystawił ją na niebezpieczeństwo.

Postanowił zrobić wszystko, co w jego mocy, byle zyskać pewność, że nic jej nie grozi.

Ich powrót do Opactwa Penhollow wywołał spore zamieszanie. Gdy tylko w ród słuchających rozniosła się wieść, że do rezydencji zbliżają się tylko dwa konie, panna Mellon wybiegła na dziedziniec. Huntley i pani Dove na próżno usiłowali ją zatrzymać.

- Co się stało? Co się stało naszej Bethany?

- Spokojnie, Winnie, Nie ma powodu do niepokoju. Mój ko si przewrócił, to wszystko. Czuj si dobrze. Naprawd .

- Och, Dzi ki Bogu. - Starsza kobieta stała bez ruchu, patrz c jak Kane zsiada z konia, nie wypuszczaj c Bethany z obj . - Skr ciła nog w kostce?

- Nie. Mog sta . - Zerkn ła na Kane'a i a zadr ła, widz c wyraz jego oczu. Było w nich co takiego, czego nie widziała w nich nigdy wcze niej. - Musisz mnie postawi na ziemi, bo biedna Winnie nie wierzy, e mog chodzi .

- Mo e w domu. - Szybko wymin ł niani i słu cych, którzy stali jak ogluszeni.

Szedł tak szybko, e Darcy musiała biec, by dotrzyma mu kroku.

- Przynie piwa, Huntley.

- Tak, milordzie.

- Pani Dove, prosz powiedzie kucharce, eby przygotowała bulion.

- Ja nie jestem chora, Kane.

- I co u mierzaj cego ból.

- Nic mnie nie boli.

Nie zwracaj c najmniejszej uwagi na jej protesty, przeszedł du ymi krokami przez hol i poło ył j na szezlongu w salonie.

- Teraz zdejm ci buty i sprawdz , czy nie ma opuchlizny.

Gdy ci gn ł jeden but, przykryła jego dło r k . Natychmiast znieruchomiał, uniósł głow i spojrział, wyra nie zniecierpliwiony.

- Powiedziałam, e nic mi nie jest, Kane. - Jej głos brzmiał teraz łagodniej. To, co ujrzała w jego oczach, gł boko j poruszyło. - Jestem zaskoczona i troch roztrz siona. Ale poza tym nie doznałam adnych obra e .

- Naprawd ?

- Tak - potwierdziła z uśmiechem. - Naprawdę.

Oboje unieśli głowy, gdy do salonu wpadła Darcy, a za nią panna Mellon, która załamywała ręce z rozpaczy.

- Powinam wybrać się z wami.

- Po co, Winnie? Przecież nie je dzisiaj konno. My lisz, e uchroniłaby mnie przed upadkiem?

- Nie wiem. Wiem tylko, że twój dziadek mi zaufał. Miałam zadbać o twoje bezpieczeństwo, a ja go zawiodłam.

- Nonsens. Sama za siebie odpowiadam. Tak samo jak ty za siebie. Twoja obecność na nic by się zdała.

Niania, nie do końca przekonana, przysiadła w fotelu. Tymczasem do salonu wszedł Huntley ze srebrną tacą. Kiedy zaproponował Bethany piwo, przyjęła je z wdziacznością. Podobnie jak wszyscy pozostali.

Kane opróżnił kufel jednym haustem i oddał go lokajowi.

- Napije się pan jeszcze, milordzie?

- Tak. - Ponownie wzięł kufel, ale tym razem pił nieco wolniej, wyraźnie spokojniejszy.

Do salonu weszła pani Dove ze rodkiem przeciwbólowym i ku swemu zadowoleniu stwierdziła, że nie jest już potrzebny.

- Nic pani nie boli, panno Lambert?

- Nie, pani Dove, ale dziękuję za troskę.

Starsza kobieta wzięła głęboki oddech i podążyła do swoich obowiązków. W drzwiach odwróciła się, uderzona nagłym.

- Proszę mi wybaczyć, milordzie. W tym całym zamieszaniu zapomniałam panu powiedzieć, że jakiś czas temu dostarczono wiadomość od rodziny Lambertów. – Pospiesznie odeszła, a po chwili wróciła z srebrną tacą, na której leżał list.

Kane przeczytał go i z uśmiechem unieśli głowy.

- Jestem pewny, że to najlepsze lekarstwo na twoje dolegliwości, Bethany. Newton zawiadamia mnie, że prace na

„Nieustraszonym” dobiegły ko ca. Wła nie odbywa krótk przeja d k wzdłu wybrze a i sprawdza, czy statek nadaje si do wypłyni cia w morze. Jutro wyruszamy w rejs.

- Jutro. - Bethany s czyła piwo w nadziei, e pomo e jej to usun sucho , któr nagle poczuła w gardle.

Kane, wyj tkowo zadowolony, zwrócił si do Huntleya.

- Ka przygotowa powóz. Nasi go cie b d chcieli dzi wcze niej wyjecha , eby wypocz przed jutrzejsz przygod .

Bethany przełkn ła lin .

- Czy przed wyjazdem mogliby my porozmawia ze sob w cztery oczy?

- Naturalnie.

W drzwiach po raz kolejny pojawiła si pani Dove.

- Ma pan go cia, milordzie. Pa ski kuzyn.

Jego wyraz twarzy si nie zmienił, ale Bethany znała Kane'a ju na tyle dobrze, e nie uszło jej uwagi nagle ochłodzenie jego tonu, gdy oczekuj cej gospodyni odparł:

- Przyjm Prestona w bibliotece. - Uj ł dło Bethany i ucałował. - Wybacz mi. Porozmawiamy innym razem. Daj ci na to moje słowo, a teraz Huntley odwiezie was do domu. B d na pla y o wschodzie sło ca. - U miechn ł si do niej tajemniczo. - Do jutra, Bethany. Nie mog si doczeka .

Po jego odej ciu przypomniła sobie, jak łatwo przyj ł jej pierwsze wyznanie dotycz ce rozbójnika. Zastanawiała si wtedy, czy nie udawał, nie chc c pokaza po sobie rozczarowania. Kiedy mijały kolejne dni i nigdy wi cej nie powrócił do tej sprawy, zacz ła my le , e naprawd nie miał nic przeciwko tamtym pocałunkom.

Ciekawe, czy równie lekko przyjmie fakt, e ona i jej rodzina s korsarzami w słu bie królewskiej? A mo e oka e si , e to wi cej, ni m czyzna z jego pozycj móglby zaakceptowa ? Je li tak, wówczas te konkury mog si okaza najkrótszymi w historii.

Nie wiedziała, dlaczego ta myśl tak ją niepokoi. W końcu od samego początku zdawała sobie sprawę, że zupełnie do siebie nie pasują. Lord Alsmeth i Bethany Lambert, córka kapitana statku!

A jednak, choć nie należała do osób ujawniających swoje uczucia, była przekonana, teraz bardziej niż kiedykolwiek, że mu na niej zależy. Wyraz jego oczu, kiedy upadła, i delikatny dotyk ręki powiedziały jej więcej niż jakiegokolwiek słowa. Zaczynała znaczyć dla niego tyle, ile on teraz znaczył dla niej.

A nie jest to mało. Ten fakt nie przestawał jej zdumiewać. Kiedy ten chłodny arystokrata zajmował tak istotne miejsce w jej życiu?

Wschód słońca nie zaczynał złocić niebo na horyzoncie, gdy Bethany się przebudziła. Przez chwilę leżała bez ruchu, nasłuchując znajomych odgłosów: krzyków mew i szumu fal uderzających cicho łagodnie o wybrzeże.

Postanowiła nie czekać na pozostałych. Chciała jak najprędzej znaleźć się na pokładzie „Nieustraszonego”. Znów poczuła pod stopami deski pokładu i przechył statku pod naciskiem wody. Wciągnęła słone powietrze w płuca i słyszała fale uderzające o kadłub.

Zerwała się z łóżka, szybko włożyła prostą sukienkę i zwiłała włosy w węzeł na karku. Aby tak jeszcze mogła przywdziać spodnie, koszulę i długie buty, które zazwyczaj nosiła na pokładzie statku. Niestety, musiała wcisnąć je w worek z aglowego płótna, razem z pistoletem i nożem. Wszystkie rzeczy zamierzała ukryć pod pokładem, gdzie miały zacząć do jutra. Dzisiaj przyjdzie jej odgrywać rolę wytwornej damy na króciutkiej morskiej przejażdżce, ale jutro będzie mogła powrócić do pracy, w której przewożenie ładunków tak zgrabnie się czyło z wypatrywaniem wrogów Anglii.

Za bardzo się spieszyła, by myśleć o niadaniu. Wiedziała, że kucharka na dzisiejszy rejs naszykuje im kosz z jedzeniem, toteż przeszła niezauważona obok kuchni i wymknęła się z domu tylnymi drzwiami. Z workiem węglarskim w jednej ręce, a drugą unosząc spódnicę, ruszyła biegiem przez piach. Kiedy dotarła do szalupy pozostawionej na plaży, rzuciła na dno worek i chwyciła wiosło. „Nieustraszony”, zakotwiczony w pewnej odległości od brzegu, na tle nieba i wody wyglądał niemal jak forteca.

Dotarłszy do statku, szybko przywiła żałę łódek i wdrapała się z workiem na drabinkę sznurów. Przeskoczyła burtę i rzuciła worek pod nogi, po czym się odwróciła. I zastygła w bezruchu. Po rodzaju pokładu stał jakiś mężczyzna, cały ubrany na czarno. Czarne spodnie i kaftan, czarne buty, czarny kapelusz. Ze zdziwienia oniemiała. Zakryła usta ręką, by stłumić westchnienie. Strach wyparował równie szybko, jak się pojawił. Choć mężczyzna był odwrócony do niej plecami, poznałaby go wszędzie. Na pewno obserwował ją z daleka i czekał na stosowną chwilę. Teraz, z jakiegoś sobie tylko znanego powodu, wrócił.

- Jeste tutaj. - Ruszyła ku niemu niemal biegiem.

- Tak. - Odwrócił się. - Nie mogłem się doczekać poranka. Jak widzisz, ty też.

- Kane - wyrzuciła z siebie wraz z sykiem powietrza i zatrzymała się gwałtownie.

Podszedł bliżej.

- Zdaje się, że w twoich oczach dostrzegam rozczarowanie, Bethany. Spodziewała się kogo innego?

- Nie. Oczywiście, że nie. Tylko... zaskoczyło mnie. - Chcesz ukryć przepełniające ją uczucia, odwróciła się i udała, że szuka czegoś w worku. - Jak się tu dostała?

- Przyplłyn łem.

- Jak to? - Wprostowała się gwałtownie. - Przecież twoje ubranie jest suche.



- Włóczyłem je do worka, podobnie jak ty.

Musiał być doskonałym pływakiem, skoro zdobył się na taki wysiłek. Znała wielu marynarzy, ale tylko nieliczni dokonaliby takiej sztuki.

- Od dawna tu jesteś ?

- Godzin albo więcej. - Skinieniem głowy wskazał jej worek. - Czy mam go zanieść pod pokład?

- Nie. Poradz sobie.

Przerzuciła worek przez ramię i pospiesznie zeszła na dół. Nie mogła dopuścić, by znalazł ukryte w nim ubranie i broń. Schowała worek pod pokładem, po czym wróciła na górę. Morze i niebo nabierały barw. Kane stał przy nadburciu, patrzył na wodę. Bethany dołączyła do niego i wystawiła twarz ku wstającemu słońcu. Żółte, czerwone i różowe pasma przebiegały przez chmury i odbijały się w falach.

- Och, jak mi tego brakowało - szepnęła.

- Widzisz? - Odwrócił ku niej wzrok i podziwiał refleksy różu i żółta na jej opalonej skórze. - Masz bardzo wyrazistą twarz, Bethany, wiesz o tym?

Odwróciła się do niego plecami, a kiedy dotknął dłoni jej ramienia, przeżyła niemałe zaskoczenie. Od tego dotyku zrobiło się jej gorąco.

- To dlatego wystarczyło mi na ciebie spojrzeć i już wiedziałem, że kiedy ujrzała mnie na pokładzie, wziała mnie za kogoś innego.

Wzdrygnęła się. Był zbyt bliski prawdy. A jednak pokręciła przeczołgała głowę.

- Równie dobrze mógłby być złodziejem, który chciał złupić nasz statek pod nieobecność załogi.

- Przyznaj to, Bethany. Ty i ja zbyt cenimy uczciwość, by dopuszczać się kłamstwa. Miała nadzieję, że jestem Władcą Nocą, który powrócił po kolejny pocałunek.

Mówił dziwnie grubym głosem. Nie potrafiłaby powiedzieć, czy to z niecierpliwości, czy ze zdenerwowania. Wyzywaj co uniosła głowę.

- Powiedziały, zdaje się, że nie dbasz o tego rozbójnika.

- I nie dbam.

- Kto teraz próbuje oszukiwać? - Zwróciła ku niemu twarz. - Czy to z jego powodu nigdy nie próbowałaś mnie pocałować? Może uznała, że skoro zasmakowałam w jego pocałunkach, twoje mogłyby mi się nie spodobać?

- Prosisz, abym ci pocałował? - Za jego przelotnym uśmiechem kryła się groźba.

- Boisz się spełnić obietnicę?

Mogło to sprawić uwodzicielskie przyciśnięcie jej oczu, albo łagodne kołysanie statku pod stopami, a na tę jedną chwilę zapomniał o wszystkich danych sobie obietnicach.

Chwył ją za ramiona i gwałtownie wziął w objęcia. Na widok wyrazu jego oczu poczuła nagły strach. A potem strach zastąpiło podanie.

Tak bardzo chciała, aby ją pocałował. W tym pragnieniu kryło się też zniecierpliwienie. Miała nadzieję, że w chwili gdy ich usta się zetkną, zapomni o namiętności, którą rozbudził w niej rozbójnik. Chciała, musiała, zostawić tamtę część siebie za sobą i odczuwać to samo rozpaczliwe podanie do mężczyzny, który teraz ją obejmował.

Uniosła twarz.

- Pocałuj mnie. - Czuli, jak napinają się jego mięśnie i zdała sobie sprawę, że Kane powstrzymuje się niemal nadludzkim wysiłkiem. Ta wiadomość sprawiła, że tylko nabrała mianości.

- A może się boisz?

- Czarownica z ciebie, wiesz? - Przesuwał dłoń mi po ramionach Bethany, patrzył na jej oczy. - Czarownica, która

zna mnie na tyle dobrze, by wiedzieć, że nie potrafi się oprzeć wyzwaniu. - Zaciśnij palce i przyćmięj odrobinę bliżej.

- Miałam taką nadzieję. - Jej serce zaczęło walić jak szalone i czekała na dotknięcie jego warg na swoich ustach.

- Bethany, jesteś tam? - Od brzegu niósł się po wodzie głos starego Newtona, zakłócając ciszę pory witania.

Oboje unieśli głowy, nasłuchując.

- Jesteś na pokładzie, malutka? Potrzebuję łódki. Musz przewieźć załogę na statek.

Kiedy Kane opuścił rękę i cofnął się, nie potrafiła ukryć rozczarowania. Ponownie poczuła się tak, jakby otarła się o wielką tajemnicę. Jeden krok i mogłaby posmakować nieba. A może piekła? Tak czy inaczej, przynajmniej wiedziałyby, jak smakuje Kane Preston.

Tymczasem nie było jej dane się tego dowiedzieć.

- Zostań tutaj. - Kane odwrócił się i ruszył przez pokład, zadowolony z nadarzenia czegoś do ucieczki. - Ja przewiozę Newta i resztę załogi - dodał, przeskakując przez burtę.

Po chwili drabinka sznurowa głucho stuknęła.

Bethany stała bez ruchu, nasłuchując wioseł uderzających o wodę.

Wszystko wskazywało na to, że Kane ucieszył się z takiego obrotu spraw. Może na bys dzi, że stary Newton właśnie uratował go od losu gorszego od śmierci. Ale skoro tak było, dlaczego Kane poprosił o pozwolenie starania się o jej rękę? Potarła dłonią skroń, zupełnie jakby chciała tym gestem usunąć dręczące ją myśli. Zamiast odpowiedzi na pytanie, pojawiło się kolejne pytanie.

Kiedy Kane wrócił z Newtonem i załogą, tkwiła pod pokładem w kajucie kapitana, zajętą przeglądaniem map i wykresów.

Stary marynarz zapukał i wszedł do kabin. Uniosła głowę.

- Gdzie jest panna Mellon i reszta rodziny, Newt?  
- Nikt dzi nie mógł przyby , malutka, ale obiecałem twojej niani, e dopilnuj , eby cie ty i twój lord zachowywali si jak nale y.

- Zapewniam ci , Newt, e nie trzeba ani nas pilnowa , ani si o nas martwi . Prawd mówi c, w tpi , czy lord kiedykolwiek w yciu zapomniał si do tego stopnia, by post pi inaczej, ni przystało d entelmenowi.

Biegiem ruszyła ku drzwiom i omal nie zderzyła si z Kane'em, który stał w progu, trzymaj c koszyk z jedzeniem. Na jego twarzy malowała si w ciełło i frustracja, która dorównywała jej frustracji. I bardzo dobrze. Nie ałowała, e usłyszał, co powiedziała. Bez słowa przemkn ła obok niego i biegiem ruszyła na gór .

Stary marynarz równie zauwa ył irytacj w oczach Kane'a. Napi cie mi dzy młodymi było równie g ste, jak mgła, która cz sto zasnuwała morze. Tego ranka co musiało si wydarzy . Znał si na tyle dobrze na ludziach, e mógł si zało y , i to Bethany naciskała, a lord si opierał. Zachichotał w duchu. Ciekawe, kiedy dojdzie do nast pnej burzy.

Kiedy Kane wreszcie przemówił, nietrudno było zauwa y , e z trudem nad sob panuje.

- Gdzie mam postawi ten koszyk, Newt?

- Kuchnia jest zaraz za kajut , milordzie. Ale ja mog si tym zaj .

- Dzi kuj ci, ale sko cz to, co zacz łem. Pó niej chciałbym sobie znale jakie bardziej wyczerpuj ce zaj cie, je li mam przesta my le o pewnej kobiecie.

Starszy m czyzna omal nie wybuchn ł miechem, ale w ostatnim momencie zdołał si opanowa .

- Mo e chciałby pan wyszorowa pokład, milordzie?

Kane posłał mu ponure spojrzenie.

- My lisz, e to by pomogło?

- Skoro w gr wchodzi nasza droga Bethany, obawiam si , e i tydzie szorowania by nie wystarczył. Poza tym mam wra enie, e kapitan Lambert obdarłby mnie ze skóry, gdybym pozwolił panu wykonywa obowi zki marynarzy. Je li pan sobie yczy, milordzie, mo e pan stan za sterem.

- Dzi kuj , Newt.

Kane z u miechem odtransportował koszyk na miejsce i wrócił na pokład. Godzina czy dwie za sterem powinny mu pomóc ostudzi pal ce pragnienie. Pragnienie uduszenia panny Bethany Lambert. Albo całowania jej dot d, a nie b dzie w stanie zebra jednej sensownej my li w tym swym denerwuj co niezale nym umy le.

U miechn ł si szerzej. Mo e, je li si wystarczaj co mocno postara, uda mu si kiedy osi gn ten cel. Ale kiedy ju uj ł ster i wpatrzył si w spienione morze, u wiadomił sobie, e nic nie stłumi pragnie , które kipiały w nim jak wir wodny. Pragnie , które raz wyzwolone, mogłyby wci gn ich oboje w odm ty nami tno ci.

Bethany siedziała na pokładzie, popijaj c herbat . W drugiej r ce trzymała parasol chroni cy j od sło ca. Wst ki czepka powiewały na wietrze. Przekrzywiła głow na bok, obserwuj c dwóch marynarzy, którzy wspi li si na olinowanie i rozwijali agle. A j korciło, eby pój ich ladem. Ona i jej siostry robiły takie rzeczy od dziecka i były z pewno ci najlepszymi marynarzami na „Nieustraszonym”. Tymczasem siedziała tu beczynnienie, nie mog c zaj si tym, co kochała. Udawanie prawdziwej damy zaczynało działa jej na nerwy. Skrzy owała nogi w kostkach i nerwowo stukała stop o pokład. To nie fair. Kane przynajmniej stał za sterem. A marynarze, pocz tkowo zdziwieni i onie mieleni jego widokiem, wkrótce zacz li z nim rozmawia i artowa tak swobodnie, jakby był jednym z nich. Za to rozmy lnie unikali Bethany. Pewnie dlatego, e jeszcze nigdy nie widzieli jej w sukience. Po raz pierwszy dostrzegli w niej kobiet . Nie mieli

pojcia, jak si zachowywa, wi c na wszelki wypadek zachowywali dystans.

Dopiła herbat. Szkoda, e nie wypada jej rzucić kubka do oceanu. Albo jeszcze lepiej, rozbić go o burt i patrzy, jak rozpada si na kawałki. Trzymała go wi c w r ku, uderzaj c nim o kolano w rytmie odpowiadaj cym ruchowi jej stopy.

Kane przekazał ster Newtonowi i podszedł do Bethany.

- Dobrze si bawisz?

- Tak. - Nie zabrzmiało to zbyt przekonuj co. - A ty?

- O, tak. - Przechylił si przez burt tak swobodnie, jakby czynił to przez całe ycie. - Newt powiedział mi, e wkrótce zatrzymamy si na wyspach Scilly.

Przytakn ła.

- W St. Marys. Pomyleli my, e skoro i tak wybieramy si na przeja d k wzdłu wybrze a, równie dobrze mo emy zawin do tamtejszej przystani i wyładowa towary z Lands End. Mam nadziej, e nie masz nic przeciwko temu.

- Absolutnie nic. Nie zamierzałem krzy owa waszych planów. Chciałem tylko poczu statek pod stopami. Prawdziwy statek, nie jak wytworn łąd .

- To dlatego nie popłyn ła na adnej ze swoich łodzi?

- Wła nie. - Odszedł od burty i przysiadł obok Bethany. Z bliska jej oczy przywozidyły na my l ciemnozielon to. Ziele sz ni ocean.

Wystarczyło, e przypomniał sobie, co czuł przez t krótk chwil, gdy trzymał Bethany w ramionach, i po danie powróciło. Co zamierza z tym zrobi? Co zamierza zrobi z t kobiet?

Marynarz na bocianim gniedzie zakrzykn ł:

- Przed nami płycizny, Newt!

- Tak, chłopcze. - Newton pewnie wprowadził statek do schłodnej przystani St. Marys.

Rzucili kotwic . Marynarze zaczęli nosić towar z ładowni i umieszczają go na łódce.

- Czy pan sobie zejść na ląd, milordzie? - spytał Newt.

Kane zastanawiał się przez chwilę .

- Wybierzesz się ze mną, Bethany?

- Chętnie. - Skinął głową .

Schodząc po sznurowej drabinie do łódki, do wiadczała kolejnego powodu do złości - ciemna spódnica i halka utrudniały jej ruchy. Mężczyźni stanowczo są uprzywilejowani, również pod względem stroju, dzięki któremu schodzenie po drabinie przychodzi im z łatwością .

Usiadła wraz z Kane'em na dziobie łódki, a marynarze powiosłowali ku brzegowi. Na wybrzeżu czekały wozy, którymi miano przetransportować towary.

Newton zwrócił się do Kane'a i Bethany.

- Rozładunek nie powinien nam zająć więcej niż godzinę . Gdybyście zechcieli wybrać się do wioski, moglibyście zjeść obiad w tamtejszej gospodzie.

- Dobry pomysł.

Kane podszedł do woźnicy. Wkrótce on i Bethany siedzieli w odkrytym powoziku, kierującym się do pobliskiej wioski.

W gospodzie spożyli posiłek składający się z piwa, chrupki cego, jeszcze gorącego chleba oraz grubych plastrów pieczonej baraniny. Podczas jedzenia Kane przyglądał się grze promieni słonecznych na twarzy Bethany, wpadających przez wysokie, wiatroskie okna.

Jeszcze nigdy nie zdarzyło się, aby jakaś kobieta tak na niego działała. Teraz, odprężony i zadowolony, pragnął jej jeszcze bardziej. Na myślenie o zabranii jej na górę do jednego z tych małych pokojów płoń mu po daniach.

- Jak myślisz?

Zamrugnął.

- O czym?

Posłała mu zaskoczone spojrzenie.

- Mówiłam o... - Urwała. - O czym my lale ?

Uśmiechnął się do niej leniwie.

- Nie chciałyby, abym na to odpowiadał.

- Dlaczego nie?

- Gdybym to zrobił, zarumieniłyby się. - Na policzki

Bethany wypłynął rumieniec, Kane się roześmiał, patrzył na pokręconą twarz panny Lambert. - Widzisz?

Czuła, jak pod wpływem jego wzroku burzy się jej krew. Nie mogła nic na to poradzić. Była to doprawdy niepokojąca wiadomość.

- O czym mówiła, Bethany?

- Ja... - Zmusiła się do zachowania spokoju. - Zaproponowałam spacer po wiosce przed powrotem na statek.

- Dobry pomysł. - Przystał na tę propozycję tak ochoczo w nadziei, że może spacer ostudzi jego podniecenie. Zapłacił właścicielowi gospody, wyszli na słoneczną i ruszyli drogą wiodącą przez łąki wioski.

Nagle Bethany zatrzymała się przy jakimś sklepiku.

- Spójrz, Kane. Czy to nie pięknie?

- Tak. - Stanął przy niej i przyjrzał się niewielkiej miniaturze w oknie. - Prawdopodobnie ona i dzieci kupca... - nagle umilkł, a potem zaklął. Głośno. Brutalnie.

Kiedy odwróciła się, zaskoczona jego reakcją, powiedział:

- Przepraszam, Bethany. Poczekaj tu chwilę.

Otworzył drzwi sklepu i wkroczył do środka. Bethany obserwowała jego rozmowę z kupcem. Po paru chwilach tamten zdjął z wystawy jakiś klejnot. Wydawało się Bethany, że to szpilka do krawata, ozdobiona, o ile dobrze widziała, jakimś cym diamentem w otoczeniu szmaragdów. Kane odliczył garść złotych monet i wcisnął klejnot do kieszeni. Z jakiego powodu sztuka biuterii wzburzyła Kane'a do tego stopnia? Z pewnością mógł pozwolić sobie na kupno tej szpilki, skoro mu



si spodobała. Najwyra niej przemówiła do jego pró no ci, bo bez targów zapłacił dan sum . Tyle e wydawał si raczej zły ni mile zaskoczony. Zupełnie nie potrafiła zrozumie , dlaczego t szpilk traktował jak osobistego wroga.

Wyszedł ze sklepu, uj ł Bethany pod rami i szybko ruszył w stron doków. W drodze zerkn ła na niego, chc c mu si przyjrze . Przybrał ponur min . Ani słowem nie wyja nił swego dziwnego zachowania.

Dobrze, e Newton ju czekał na nich na przystani. Gdy płyn li na statek, pomy łała z nadzieją , e mo e droga powrotna cho troch rozproszy gniew, który tak opanował Kane'a.

Nie wiedziała, co ma my le o tym wszystkim. Cokolwiek wydarzyło si w tamtym sklepie, sprawiło, e zwyczajna wycieczka zmieniła si w sytuacj ci c jak gradowa chmura. Przyjemno płyn ca z tej wyprawy nale ała do przeszło ci.

Znów pomy łała o tajemnicy, która otaczała ycie lorda Alsmetha. Mo e nie powinna tak lekcewa y zasłyszanych pogłosek. Teraz, kiedy była wiadkiem jego nagej zmiany nastroju, owe pogłoski nabrały dodatkowego znaczenia.

Wystarczyło na niego spojrze , by mie pewno , e ka dy, kto o mieliłby si rzuci lordowi wyzwanie, drogo zapłaciłby za swój czyn. I z pewno ci przeklinałby dzie , w którym napał sobie biedy.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Sło ce ju dawno rozproszyło mgł , która rankiem zasnuła wybrze e. O ywca bryza wyd ła agle „Nieustraszonego” i okr t zacz ł lizga si po falach. Gdyby

nie incydent w wiosce, dzie mo na byłoby zaliczy do wyj tkowo udanych. Niestety, wszystko wskazywało na to, e atmosfera beztroski uleciała bezpowrotnie.

Bethany ze znieawidzonym parasolem w dłoni siedziała na pokładzie, roz alona, e nie mo e spo ytkowa kipi cej w niej energii. Zerkn ła na Kane'a. Stał oparty o burt i patrzył pos pnie w dal. Od powrotu z St. Marys był ponury i roztargniony. Rozs dnie postanowiła milcze , daj c mu czas na opanowanie gniewu. Uniósłszy dło do oczu, by ochroni je przed sło cem, obserwowała marynarza na bocianim gnie dzie.

- Okr t bez flagi z prawej burty!

Na ten okrzyk wszyscy zadarli głowy do góry.

- Wielkie nieba! - Bethany zerwała si na równe nogi, upuszczaj c przy tym parasol i podbiegła do relingu. -Chod , Kane! Musisz natychmiast zej pod pokład!

- Dobrze. Za chwil . Ty id pierwsza. I uwa aj na siebie. Chc pomówi z Newtem.

- Nie teraz. - Chwyciła go za r k . - On wie, co ma robi . A ty powinieni zej mu z drogi.

Marynarze zwijali si jak w ukropie. Usuwali z pokładu wszystko, co mogło im zawadza , i wyci gali działa z ukrycia. Jeden z nich kr ył w ród załogi, rozdaj c bro .

Bethany u wiadomiła sobie, e czas niedomówie wła nie min ł.

- Musisz nam wybaczy , e nie powiedzieli my ci prawdy. Ufali my, e uda nam si zachowa nasz to samo w sekrecie. Teraz naturalnie mo esz zobaczy na własne oczy, e „Nieustraszony” to co wi cej ni zwykły statek handlowy, a moje siostry i ja nie jeste my tylko córkami kapitana.

- Tak? A kim wła ciwie jeste cie? - Wyczuwał jej zaniepokojenie, tote pozwolił zaprowadzi si pod pokład.

- Jeste my korsarzami w słu bie króla Karola. - Bethany wskazała na kapita sk kabin . - ałuj , e nie mam

teraz czasu, by dokładnie to wyjaśnić. Na razie musisz się tu ukryć dla twego własnego dobra. Może się zaryglowa od rodka. Musieliby wyważyć drzwi, żeby ci dostać, a to zawsze pewne utrudnienie.

Kane zatrzymał się w progu i spojrzał na Bethany. Gdyby nie była taka przejęta, z pewnościami zauważyłaby, że po jego poprzednim minie nie ma ładunku, a w jej miejsce pojawiła się gotowość do walki.

- Za chwilę zaatakują nas piraci, a ty martwisz się o moje bezpieczeństwo? A co z tobą, Bethany? Nie zamierzasz do mnie dołączyć?

- Nie. Moje miejsce jest przy załodze. - Popchnęła go lekko ku kabinie i odwróciła się, nie zauważając entuzjastycznego uśmiechu lorda Alsmeetha.

W kuchence wyciągnęła z ukrycia swój worek i zaczęła ciągnąć suknię. Po paru minutach, już w koszuli, spodniach i długich butach, zatknęła nóż za pas i chwyciła pistolet. Niebawem spiesznie wbiegła na schodki i pojawiła się na pokładzie, by dołączyć do załogi.

Statek piracki podpłynął już na tyle blisko, że rozróżniła niechlujnych marynarzy opierających się o burtę i zawieszonych na wantach. Ten widok jak zawsze wyzwolił w niej energię i przyspieszył bicie serca. Wiedziała, że to nie strach, a oczekiwanie na zbliżenie się bitwy. Brakowało jej tego. Ruchu. Podniecenia. Dotychczas czuła się jak ryba wyjęta z wody. Teraz, skoro już wyznała Kane'owi prawdę, nareszcie mogła być sobą.

- Uwaga na kule! - zawołał Newt, gdy dostrzegł pióropuszczyzny dymu snący się z działa pirackiego statku.

Po chwili nastąpił potężny wybuch i „Nieustraszone” zatrzęsło się od uderzenia. Na szczęście kula przeszła bokiem. Wydarła wprawdzie postrzępioną dziurę w burcie, ale na tyle wysoko, że nie nabierali wody i nie groziło im zatonięcie.

Załoga „Nieustraszonego” zrewanowała się ogniem z własnego działka. Ten wystrzał okazał się nieporównanie celniejszy. Na skutek uderzenia ładownia statku pirackiego rozerwała się i w powietrze buchnęły płomienie. Statek zaczął się przechylać, szybko nabierając wody.

- Dobra robota, chłopcy. - Newt wyciągnął szpad, kiedy pierwszy z piratów zeskoczył z burty swego statku i zaczął płynąć szerokimi rzutami ramion w kierunku „Nieustraszonego”.

W ciągu paru minut dołączył do niego tuzin jego kompanów. Wszyscy wydzierali się i przeklinali. Powietrze zrobiło się gęste od sprzeczności.

Bethany uzbroiła się w oczekiwaniu ataku. Nie wiadomo tego, czy serce jej wali, a po krótkim gwałtownym przebiegu dreszcz, stała po rodoku pokładu, na szeroko rozstawionych nogach, z krótkim w ręku, gotowa bronić „Nieustraszonego” za wszelką cenę.

- Patrzcie, bracia! - zawołał jeden z napastników, skacząc na pokład. - Kobieta. Wysłała nam na powitanie. Chodź tu, licznokto. Daj buziaka. Sprawi, że zapomnisz o wszystkich mężczyznach, z którymi kiedykolwiek miała do czynienia.

Bethany zakłamała. No tak, nie starczyło jej czasu, by zakryć włosy. Piraci uznali ją za łatwy cel. Zaciśnięta zębami, bardziej niż kiedykolwiek zdecydowana pokazała im, jak bardzo się myli.

Gdy tylko pierwszy z napastników podbiegł do niej z uniesionym szpadem, niespiesznie wycelowwała z pistoletu i dała ognia. Mężczyzna rozwarł zdumione oczy, uwiadomiacz sobie, że został trafiony. Złapał się za serce i z krzykiem padł na pokład.

Straciła parę cennych sekund na ponowne naładowanie pistoletu. Chwilę później podbiegł do niej kolejny pirat. Klął w głos i wywijał szpad. Gdy runął naprzód, chcąc przebić Bethany, spokojnie wzięła go na cel i wystrzeliła ponownie.

Odwróciła głowę i zobaczyła, że Newton potyka się z trzema rabusiami.

- Już idź, Newt.

Rzuciła się w wir walki i wkrótce pokonała jednego z nich, wyrównując szanse.

Stary marynarz posłał jej spojrzenie pełne wdziękami.

- Dzięki, malutka. Z tymi dwoma sam sobie poradź.

Pobiegła wzdłuż pokładu do miejsca, gdzie marynarze z „Nieustraszonego” toczyli morderczą walkę z piratami.

Kiedy ją dostrzegła, mężczyźni zmagający się z trzema wrzeszczącymi napastnikami. Nie zdążyła naładować pistoletu, toteż wyciągnęła zza pasa nóż i rzuciła. Trafiony nim pirat padł na kolana.

Kiedy znów naładowała pistolet, uniosła głowę, i zorientowała się, że tym mężczyzną jest Kane. Zdążył już pozbyć się kaftana, kapelusza, i wszystkiego, co mogłoby sugerować, że jest bogatym, utytułowanym szlachcicem. Miał teraz na sobie tylko czarne spodnie wciśnięte w wysokie buty i biały koszul, którego krawędzie wydymały się na wietrze.

W jednym ręku trzymał szpad, w drugim pistolet. Nagle ogarnął je lęk pomieszany ze złością.

Natychmiast znalazła się przy boku lorda.

- Poleciałam ci zostać pod pokładem.

- Poleciała mi? - Spojrzał na nią z niedowierzaniem, po czym odwrócił się plecami i odparował cię.

Rozprawił się z piratem w ciągu paru minut. Uniósł głowę w sam por, by zobaczyć, jak Bethany spokojnie celuje i strzela. Następny napastnik zwałił się na pokład w kałuży własnej krwi.

Uzupełnij proch, powiedziała:

- Przypominam ci, że jesteś go ciem na pokładzie mego statku, Kane. Wraz z całą rodziną odpowiadam za twoje bezpieczeństwo. Masz natychmiast udać się pod pokład.

Byłby si roze miał, gdyby nie kolejny pirat, który wła nie zbli ał si do niej z dz mordu w oczach. Kane bez słowa wzi ł go na cel i poło ył trupem w chwili, gdy tamten składał si do ataku.

Bethany obróciła si wokół własnej osi, a potem popatrzyła na lorda, pełna podziwu dla jego umiej tno ci.

- Dzi kuj ci. Ale to niczego nie zmienia. Jak ju mówiłam...

Nie było jej dane doko czy . Na zalanym krwi pokładzie pojawiło si czterech nast pnych piratów, uzbrojonych w szpady, no e i pistolety. Bethany i Kane musieli stan do walki, rami w rami .

Posłał na mier pierwszego z nich i wzi ł na cel drugiego, a nadto wiadomy skutecznej obecno ci Bethany tu obok. Była równie wspaniała, jak wówczas, gdy ujrzał j po raz pierwszy.

Ju wtedy wiedział, e s dla siebie przeznaczeni. Czy nie przeczuł, widz c po raz pierwszy tego strzelca o płomiennych włosach, e b d mieli okazj walczy rami przy ramieniu? Czy nie po to zbudował mistern intryg , eby znów poczu dreszcz, który wstrz sn ł nim tamtego dnia? A teraz na własne oczy widział, e miał wówczas słuszno . Pasowali do siebie idealnie.

- Za tob , Kane.

Słysz c jej słowa, odwrócił si , dzi ki czemu unikn ł ostrza skierowanego w swoje serce. Jednym płynnym sztychem szpady powalił pirata na pokład i zacz ł naciera na drugiego, spychaj c go w kierunku burty. Za sob usłyszał strzał z pistoletu. U miechn ł si . Naturalnie. wietnie si biła. miała, odwa na, prowokuj ca korsarka. Jedyna kobieta, która sprawiała, e krew wrzała w jego yłach. Kiedy ju b dzie po bitwie, powie jej o tym.

Ten pirat okazał si doskonałym szermierzem. Kane wyt ał wszystkie siły, uchylał si i odskakiwał na bok, by

unikn zetkni cia z ostrzem jego szpady. Pot lał si z niego, kiedy wreszcie udało mu si pokona napastnika. Dla pewno ci wyrzucił ciało m czynny za burt . Morze wokół statku pokrywały zw glone kawałki drewna - szcz tki pirackiej korwety. W ród nich unosily si ciała nieszcz nych napastników.

Wszystko wskazywało na to, e walka na pokładzie „Nieustraszonego” dobiegła ko ca. Ucichła bitewna wrzawa. Prawd mówi c, marynarze byli wr cz dziwnie cisi.

Kane odwrócił si i ogarn ł wzrokiem szkody - pokład „Nieustraszonego” zasłany ciałami poległych i rannych spływał krwi . Kiedy u wiadomił sobie, e w ród tych, którzy stali o własnych siłach, nie widzi Bethany, poczuł parali uj cy strach.

Usłyszał czyj zachrypni ty krzyk i dopiero po chwili uprzytomnił sobie, e to jego własny. Potykał si o ciała zalegaj ce pokład, a dotarł do Bethany. Le ała skulona mi dzy trzema martwymi piratami. R k miała przyci ni t do ramienia. W koszuli ziała dziura rozdarta czubkiem szpady. Z rany s czyła si krew, która plamiła palce Bethany.

Newt i reszta załogi zebrali si wokół. Tymczasem Kane padł przy niej na kolana. Po zbadaniu rany uniósł głow , zaskoczony.

- To nie jest powa na rana. Ale... - Nagle wymacał obrzmienie z tyłu głowy Bethany, a kiedy cofn ł r k , zobaczył na niej plamy krwi. - Wielkie nieba. Otrzymała dotkliwy cios w głow .

Kane w ci gu sekund, gdy szukał pulsu Bethany, do wiadczał na przemian nadziei i rozpaczy.

Jakby z wielkiej odległo ci dobiegł do niego dr cy z l ku głos starego marynarza.

- Tylko nie nasza mała. Nie nasza Bethany. Prosz powiedzie , milordzie. Czy ona... ?

Wyczuł słabiutki znak życia. Puls był słaby. Nitkowaty. To wystarczyło, by nie pogrążyć się w rozpacz.

- Wyczuwam puls, Newt. Bardzo słaby. Ale to już coś. Musimy natychmiast zabrać ją na ląd.

- Tak, sir.

Newton wykrzykiwał rozkazy marynarzom, którzy w okamgnieniu postawili żagle i zawrócili statek w stronę wybrzeża.

- Gdzie jest najbliższa przystań?

Newt zmrużonymi oczami spojrzał ku brzegowi.

- Jesteś my niedaleko Opactwa Penhollow, milordzie, ale od wybrzeża do pańskiego domu jest szmat drogi.

- Dam radę. - Kane przytulił Bethany i przycisnął jej wargi do jej skroni, zupełnie jakby chciał przekazać ukochanej swoją siłę. - Ruszajmy, Newt, i módlmy się, żeby Bóg okazał swe miłosierdzie.

Niosła Bethany, która na zmianę traciła i odzyskiwała przytomność, przez płycizny i przez plażę w stronę widocznego w dali Opactwa Penhollow. Od rezydencji dzieliło go kilka mil marszu.

Załoga „Nieustraszonego” już podniosła kotwicę i wzięła kurs na niewielki zatoczek przy MaryCastle, gdzie starego Newtona czekało bolesne zadanie powiadomienia rodziny o tym, co się wydarzyło.

Kiedy Kane zbliżył się do domu, Huntley otworzył na oścież drzwi i ruszył przez dziedziniec tym swoim sztywnym, oficerskim krokiem. Tuż za nim biegł Storm.

- Co się dzieje, milordzie? Co się stało?

- Bethany jest ranna.

- Ale jak to się stało? - Stary lokaj wpatrywał się w jej dziwny przyodziewek, nasiąknięty krwią.



- Nie teraz, Huntley. Powiedz pani Dove, eby przygotowała moje łóko. Bdzie te potrzebna gorca woda i czyste płótno. I co u mierzajcego ból.

- Tak, milordzie.

Starszy mierzajca odwrócił się i pospiesznie ruszył ku domowi. W sieni zebrała się wiakszość służycych, gdy Kane niósł Bethany po schodach, przyglądali się im w ponurym milczeniu.

- Zmieniłem prześcieradła w pańskiej komnacie, milordzie. - Huntley odstąpił na bok, a Kane wszedł do sypialni i delikatnie złożył Bethany na łóżko.

Do komnaty wbiegła pani Dove, rzuciła okiem na zakrwawione ubranie i zachwiała się, jakby miała zemdle. Jej twarz zrobiła się biała jak płótno. Kane zaklął, wziął z jej ręki naczynie z wodą i postawił je na nocnym stoliku. A potem, nie zwracając uwagi na konwenanse, rozdarł koszulę Bethany i zaczął zmywać krew z jej ramienia. Na widok rany o poszarpanych brzegach, która zeszpeciła nieskazitelną skórę, musiał przygryźć wargi, by zachować spokój.

Choć dłonie pani Dove drżały, stanęła obok i pomagała. Wspólnie przemyli ranę, a potem owinęli ją czystym płótnem. Wreszcie, na nalegania gospodyni, Bethany została przebrana w skromny, biały koszul nocny.

- Co to jest? - spytała pani Dove, obmacując głowę rannej.

- Uderzyła się, upadając na pokład. To o wiele poważniejsze niż rana.

Starsza kobieta, wstrzymując oddech, delikatnie zmyła krew z opuchlizny.

Podczas tych wszystkich zabiegów Bethany leżała nieruchomo jak martwa. To przerażało Kane'a najbardziej.

Odkąd ujrzał ją po raz pierwszy, ta kobieta zawsze kipiała energią. Jej widok takiej jak teraz, nieruchomej i cichej, z twarzą białą jak prześcieradła, na których spoczywała,

wywoływał w jego sercu ból niepodobny do niczego, co kiedykolwiek odczuwał.

Kiedy pani Dove odsun ła si , padł na kolana i uj ł dło Bethany w swoje r ce. Przyciskaj c wargi do jej skroni, szeptał arliwie:

- Nie mo esz mnie opu ci , Bethany. Słyszysz mnie? Nie zniósłbym, gdyby teraz odeszła.

Uniósł głow i przyjrzał si twarzy dziewczyny. Dla kogo postronnego wygl dała tak, jakby spała. Ale on wiedział, e to co o wiele gł bszego ni sen. Jej cera, mimo opalenizny, wydawała si teraz równie przejrzysta, jak perły w wodzie. Powieki nawet nie drgn ły. Pier ledwie zauwa alnie wznosiła si i opadała przy ka dym słabym oddechu.

Wymykała mu si , a on nie potrafił jej zatrzyma .

Przesun ł wargami po jej dłoniach i wyszeptał:

- Zosta ze mn , Bethany. Prosz , zosta ze mn .

Zaniepokojony Huntley spojrział na pani Dove. adne z nich nie było dot d wiadkiem takich emocji lorda.

Dyskretnie wycofali si z komnaty, zostawiaj c go samego z jego smutkiem. Całym sercem ufali, e ten do wiadczony przez los m czyzna nie b dzie musiał mierzy si ze strat kolejnej bliskiej osoby. Mieli podstawy obawia si , e tym razem jego biedne serce rozpadłoby si na kawałki.

Przy otwartych drzwiach do sypialni zbierali si słu cy, którzy w milczeniu zerkali do rodka. Pod lada pretekstem przerywali prac i przed powrotem do swoich zaj przygl dali si rozgrywaj cej si tam scenie.

Lord kl czał na kolanach przy łó ku, wci ciskaj c dłonie nieprzytomnej dziewczyny. Jego ubranie nosiło lady jej krwi. Wszelkie wysiłki maj ce na celu skłonienie go, by si przebrał, zdały si na nic. Odmawiał odst pienia od łó a nawet na chwil .

Storm ulokował si na łó ku, tu obok nieruchomo le cej Bethany, oparł łeb na łapach i lepiami łowił jej ka dy oddech.

Pani Dove, bezszelestnie jak duch, przyniosła tacę z kolacją, która pozostała nietknięta na nocnym stoliku.

Huntley również pojawił się na górce i choć nie wyrzekł słowa, obrzucił słuchaczy takim zjadliwym wzrokiem, że natychmiast się rozproszyli. Po ich odejściu wsunął głowę do sypialni i wziął głęboki oddech, zanim otworzył drzwi szerzej i wszedł.

- Milordzie.

Ponieważ jedyną odpowiedzią było milczenie, podszedł bliżej.

- Z MaryCastle przyjechała rodzina Lambertów, milordzie.

Kane uniósł głowę.

- Bądźcież zobaczycie pannę Bethany.

- Tak.

- Mogą przyprowadzić ich na górę?

Kane skinął głową.

Lokaj pospiesznie wyszedł. Po paru minutach wrócił, a za nim postawiała cała rodzina chorej.

- Wielkie nieba. - Panna Mellon przycisnęła dłoń do ust, by stłumić okrzyk i zatrzymała się na progu.

Gospodyni zderzyła się z nią, po czym stanęła z boku, zbyt załamana, by wejść do rodzaka.

- Bethany. - Darcy otarła się o niego, spiesząc do łóżka. Na chwilę zatrzymała się w pół kroku, wpatrzona w nieruchomą sylwetkę siostry. Do jej oczu napłynęły łzy, więc zamrugnęła, aby je odpędzić. Pochyliwszy się nisko, dotknęła dłoni ramienia Bethany i potrząsnęła nią delikatnie. - Obudź się. Jesteśmy tu wszyscy. Musisz się obudzić.

Nie widząc żadnej reakcji, Darcy odwróciła się do dziadka, który tymczasem przeszedł przez sypialnię i stanął przy jej boku.

- Och, dziadku. - Wtuliła się w niego, szukając pociechy.

Starszy mężczyzna przyciągnął ją do siebie, nie odrywając wzroku od nieruchomej postaci, spoczywającej w łóżku. Po chwili zwrócił się do Kane'a.

- Bardzo z nim, milordzie?

Kane na moment oderwał wzrok od Bethany i cicho odparł:

- Sama rana nie jest groźna, kapitanie. Szpada tylko drasnęła ramię Bethany. Niepokoi mnie to uderzenie w głowę. Nie wiem, co robi, żeby odzyskała przytomność. - Z wysiłkiem podniósł się na nogi i stanął twarzą w twarz ze starym człowiekiem. - Pańska wnuczka to prawdziwa wojowniczką.

- Tak. Właśnie nie taka jest, chłopcze. - Na widok bólu w oczach lorda i plam krwi na jego wygniecionym ubraniu, Geoffrey położył swój dłoń na jego ramieniu. - Jak długo pan przy niej czuwa?

- Nie wiem. Odkąd przyniosłem ją ze statku.

- W takim razie najlepiej będzie, jeśli teraz zajmie się pan sobą. Zostaniemy przy niej.

- Nie, sir. - Kane ponownie osunął się na kolana i ujął rękę Bethany. Niezachwianie wierzył, że jego dotyk trzymał ją przy życiu. Zdejmował go tylko, gdyby chociaż na chwilę odszedł, ona mogłaby się poddać. - Nie zostawi jej pod żadnym pozorem.

Pani Coffey i panna Mellon podeszły bliżej i wpatrzyły się w bladą, nieruchomą twarz młodej kobiety. Czemu przytrafia się to właśnie jej, zawsze tak pełnej entuzjazmu? Tak pełnej życia? Szlochając, obeszły łokcie i wygładziły przez cieradła.

- Jest taka rozpalona. - Panna Mellon położyła dłoń na czole Bethany.

- Masz rację, Winnie. - Pani Coffey zrobiła to samo. - Płonie od gorączki.

Geoffrey Lambert obejmował ramieniem Darcy, która cicho płakała.

- Pańska gospodyni była na tyle uprzejma, że zaprosiła nas, by my tu zostali, milordzie.

- Naturalnie. Sam bym to zrobił, gdybym nie stracił głowy. Nalegam, abyście tu zostali wszyscy. Jak długo zechcecie. - Popatrzył na nich. - Jedliście kolację ?

- Nie. Wyruszyliście natychmiast po otrzymaniu wiadomości.

Kane zwrócił się do lokaja.

- Powiedz pani Dove, aby przygotowała naszym gościom coś do jedzenia.

- Nie trzeba - powiedział Geoffrey.

Huntley przewidział ten protest.

- Wieczera została już przygotowana dla jego lordowskiej mości, ale odmówił. Proszę za mnie.

Z oczu ganiem wyszli z komnaty. Od progu spojrzeli na siebie, ale Kane już o nich zapomniał, bez reszty skoncentrowany na Bethany.

- Jeszcze łososia, kapitanie Lambert? - Pani Dove dała znak słuchaczom, którzy ponownie obeszli stół, niosąc pół miski z łososiem i plastrami wołowiny.

- Nie, dziękuję. - Geoffrey nie miał apetytu, podobnie jak reszta rodziny. Ledwie tknął jedzenie.

Pani Coffey trapiła się, czy Bethany jest pod odpowiednią opieką.

- Co się stanie, jeśli rana nie została przez dnie oczyszczona i zdezynfekowana?

Obrażona jej supozycją, pani Dove uniosła podbródek.

- Zajmij się tym osobiście. Razem z jego lordowską mością.

- Ale w przypadku najmniejszego zaniedbania nasza Bethany za to zapłaci.

Podbródek pani Dove zadrażał. Nerwy miała napięte do granic wytrzymałości.

- Zapewniam pani, że nie popełnili my najmniejszej nieostrożności na ci, jeżeli chodzi o pannę Lambert. Gotowa jestem rozprawić się z tym głowem.

- Nikt pani nie oskarża. - Panna Mellon poklepała gospodynię po rękach. - Jesteśmy po prostu zaniepokojeni tym wszystkim.

- To tak jak my. Bardzo się niepokojimy o pannę Lambert. Nasz pan też. Sami widzieliście, że jest załamany. - Pani Dove zwróciła się do Huntleya, szukając potwierdzenia.

- To prawda. - Stanął sztywno przy niej, zdecydowany jej bronić. - Nigdy jeszcze nie widzieliśmy jego lordowskiej morderstwa w takim stanie.

- Skoro o tym mówimy ... - Geoffrey dopił piwo i spojrzał na rodzinę. - Myślę, że powinniśmy teraz wrócić do Bethany. Możemy jej obiecać, że przy niej posiedzimy, lord odstąpi od łotrów i zdejmie to zakrwawione ubranie.

- Obyście zdołali go przekonać. - Gospodyni naleła herbaty dla państwa. - To nie będzie łatwe. Jego lordowska morderstwo odstąpił młodej damy od momentu wniesienia jej do domu.

- Być może czuje się winny, bo to na jego prośbę „Nieustraszony” postawił pułapki - odezwała się pani Coffey.

- To przecie nie ma sensu. - Darcy, jak zawsze praktyczna, pokręciła głowę. - „Nieustraszony” wypłynąłby dziś w morze bez względu na to, czy lord przeczyłby sobie tego rejsu, czy nie.

- Tak. Ale to nie zmniejszy jego poczucia winy. - Pani Coffey zwróciła się do Winnie. - Zgadzasz się ze mną?

Stara niania skinęła głową.

- To naturalne, że morderczyna poczuwa się do winy, jeżeli kobiecie znajdując się w jego towarzystwie przytrafił się jakiś wypadek.

- Wystarczy. - Geoffrey wstał od stołu. - Musimy natychmiast uwolnić go od tego poczucia winy. Kto chciałby się ze mną?

Darcy i obydwie starsze panie zerwały si ę na równe nogi. Tylko stary Newton pozostał na swoim miejscu. Kiedy odwrócili si ę ku niemu, tylko si ę uśmiechn ęł.

- Doł cz ę do was pó ńniej. Nie dziwcie si ę, je ęli lord nie skorzysta z waszej propozycji.

- Wiesz o czym, o czym my nie wiemy, Newt?

Stary pokr ęcił głow ę.

- Po prostu w tpi ę, by zostawił nasz ę mał ę, póki ona nie odzyska przytomno ęci.

Kiedy pozostali pospiesznie odeszli, gospodyni lorda i jego lokaj wymienili spojrzenia. Doskonale wiedzieli, ęe stary marynarz ma słuszno ę. Je ęli młoda dama nie wróci do zdrowia, je ęgo lordowska mo ę nie odzyska spokoju. Nie mieli co do tego najmniejszych w ętpliwo ęci.

Kane tkwił przy ł ę u, podczas gdy rodzina Bethany kr ęciła si ę przy niej jak stadko hałasuj ęcych wróbli. Starsze panie odwin ęły banda ę z rany i obejrzały j ę, chc ęc sprawdzić, czy została prawidłowo przemyta i zdezynfekowana. Rozwodziły si ę nad po ęciel ę, otworzyły okna, by wyp ędzić chorob ę, kładły chłodne, wilgotne kompresy na czoło nieprzytomnej dziewczyny, odgarniały włosy z twarzy. Krz ętały si ę tak nerwowo, by si ę upewni ć, ęe zrobiły dla Bethany wszystko, co było w ich mocy.

Kiedy wreszcie opadły na fotele, tłumic ę ziewanie i od czasu do czasu przysypiaj ęc, udało si ęje nakłoni ć, by odpocz ęły w go ęcinnych komnatach.

Darcy wyszła ostatnia. Długo stała nad siostr ę, wpatruj ęc si ę badawczo w jej twarz w poszukiwaniu jakiej ę oznaki powracaj ęcego ycia. W ko ęcu dziadek otoczył ramieniem jej plecy i wyprowadził j ę z komnaty, cał ę we łzach.

W sypialni nareszcie zrobiło si ę cicho. Kane przykl ęknął przy ł ę ku i uniósł dło ę Bethany do ust, całuj ęc z czci ęka dy palec z osobna. Wtem poczuł przy sobie czyj ę obecno ę.

Uniósłszy głowę, ujrzał stojącego nieopodal Newtona. Spojrzenie starego marynarza było utkwione w bladej twarzy Bethany.

- Nie obudziła się jeszcze, milordzie?
- Nie.

W tym jednym słowie brzmiał bezbrzeżny smutek.

- Nie ma w tym nic dziwnego. Po takim uderzeniu.
- Ale ona jest taka nieruchoma. Taka cicha, Newt.
- Proszę nie zapominać, że nasza Bethany jest młoda i silna.

W oczach lorda, których niemal nie odrywał od twarzy dziewczyny, widniała rozpacz.

- Przemyślałem i odkaziłem jej rany. Opatrzyłem ją. Wpuściłem Bethany kilka kropli roduki przeciwbólowego do gardła. Ale ona w ogóle na to nie zareagowała. Nawet najmniejszym ruchem. Nie wiem, co jeszcze mogę zrobić, Newt.

- Nic poza czekaniem i modlitwą.
- Ale ja muszę coś zrobić. Czuję się taki bezradny.

Potrzebuję... muszę coś zrobić.

Starszemu mężczyźnie czy nie zrobiło się gołota.

- Mógłby pan spróbować powiedzieć jej, co leży panu na sercu, milordzie.

Zaskoczony Kane uniósł głowę.

- Myślisz, że mnie usłyszysz?

- Tego nie wiem. - Stary wzruszył ramionami. - Ale, niezależnie od tego, czy ona ma zostać na tym wiecu, czy musi udać się na ten drugi, pan może znaleźć pociechę w wiadomości, że zabrała ze sobą swoje słowa.

Kane zamysł sobie, po czym skinął głową.

- Dziękuję ci, Newt.

Stary marynarz zatrzymał się w progu i odwrócił. Lord siedział na brzegu łóżka, pochylony nad Bethany szeptał cicho niskim, pełnym uczucia głosem.



## ROZDZIAŁ DWUNASTY

- Od dawna chciałem ci to powiedzieć , Bethany, moja miło ci, cho wiem, e nie mam do tego prawa - szeptał arliwie Kane. - Teraz musz otworzy przed tob serce i dusz . Gdyby miała nigdy si nie przebudzi , przynajmniej b dziesz wiedziała, jak arliwie, jak bezgranicznie była kochana. - Na moment zamilkł i uj ł jej r ce. Badał wzrokiem długie, smukłe palce. - Kto by pomy lał, e te dłonie mog z takim spokojem trzyma pistolet i strzela z niego tak celnie? Wiesz, e jeste najdzielniejszym korsarzem, z jakim kiedykolwiek miałem szcz cie pływa ? - Podniósł obie dłonie dziewczyny do warg i ucałował ich wn trza. - Zna ci , by przy tobie to wi cej, ni mogłem marzy . Jeste kobiet z moich snów. - Westchn ł gł boko, przeci gle. - A teraz, kiedy dopiero co ci odnalazłem, mo e trac ci na zawsze. Och, Bethany. Nie opuszczaj mnie. Prosz , nie opuszczaj mnie. Nie zniósłbym tej straty.

Uj ł w dłonie jej pobrał twarz i przygl dał si jej badawczo. Była tak doskonała. Tak spokojna. Najmniejszy lad bólu nie zniekształcał jej rysów. Z przera eniem u wiadomił sobie, e ona przeszła granic bólu. Pogr yła si w gł bokim nie, z którego by mo e nigdy si nie obudzi.

Pochylił si jeszcze ni ej i dotkn ł wargami jej ust. A potem wyszeptał:

- Kiedy zobaczyłem ci po raz pierwszy, wiedziałem, e musz ci mie . To dlatego wymogłem na tobie t nieszcz sn transakcj . Nigdy nie zamierzałem wyrz dzi ci krzywdy. Tylko za twój u miech oddałbym wszystko. Gotów byłbym nawet przysi c, e nie zobacz ci nigdy wi cej, je li

to mogłoby ci zawrócić z krainy wiecznego snu. Och, Bethany. Bethany. Zabrała mi serce i dusz .

Usłyszał jaki d wi k. Jakby westchnienie. To wystarczyło, by przytulił j do siebie w gwałtownym u cisku i szeptał czułe słowa z ustami przy jej uchu.

Bethany była przekonana, e umarła. Wcze niej słyszała co jakby ptasi szczebiot. Wysokie d wi ki zbli ały si i oddalały, zupełnie jak niesione wiatrem. Pewnie anioły przybyły j powita . Wkrótce d wi ki odpłyn ły i zapadła cisza. A potem napłyn ła chmura, ciemna i pełna bólu. Wówczas u wiadomiła sobie, e nie mo e by martwa. Jak mogłaby odczuwa ból, gdyby była martwa? Ból oznaczał, e yje. Je li to prawda, czemu nie mo e otworzy oczu?

Ból narastał i przel kła si , e j zadławi. Wówczas nagle usłyszała szept. Rozpoznałaby ten głos wsz dzie. Ten arliwy, ukochany szept. A potem poczuła dotyk czyich ciepłych warg na swoich ustach. Tych warg. Wiedziała, e to Władca Nocy. Powrócił domaga si jej serca.

Nikt inny nie całowałby jej w taki sposób. Najpierw delikatnie, jakby jej usta musn ło skrzydło motyla. A potem mocniej, wywołuj c leciutkie fale rozkoszy, które zataczały coraz szersze kr gi, a w ko cu rozlały si po całym ciele, u mierzaj c ból.

To jego głos, jego pocałunek o ywił j , wyrwał z niebytu, a wreszcie powoli wynurzyła si na powierzchni .

Z pocz tku Kane usłyszał tylko to ciche westchnienie. Tak ciche, i pomy lał, e to tylko omam. Ale po chwili usłyszał je ponownie. A na twarzy poczuł ciepły oddech Bethany, kiedy wyszeptała:

- To ty... wróciłe .

Zaskoczony, odsun ł j troch od siebie i ujrzał, jak jej powieki zadr ały, a potem si uniosły. Z widocznym trudem próbowała skupi na nim wzrok.

Cho obraz, który ukazał się jej oczom, nie był zbyt wyraźny, zdobyła się na uśmiech.

- Wiedziałam... e... przyjdiesz.

- Naprawdę? - Delikatnie musnęła palcem jej policzek. Pod wpływem tego dotknięcia uśmiechnęła się szerzej.

- Tak. A teraz... jesteś ... tutaj. - Zamrugała, raz, drugi i spróbowała dotknąć jego twarzy. Kiedy jej się to udało, w czubkach palców poczuła mrowienie, które powoli objęło ramiona.

- Tak się bałem, Bethany. Tak się bałem, że ci stracę.

- Nigdy... mnie... nie... stracisz.

- Nie. Nie zniósłbym tego. - Przygarnął ją mocniej i przycisnął wargi do jej ust.

Kiedy się odsunął, znowu zamrugała i wpatrywała się w niego uporczywie, a zobaczyła go bardzo wyraźnie.

- Ty... nie jesteś ... - obliznęła ją językiem wyschnięte wargi - Władca Nocy.

- Nie. To ja, Kane.

- Kane. - Uśmiechnęła się, po czym ponownie westchnęła. - Nie. Choć twoja twarz mówi jedno, głos drugie. Znam ten szept. Co wiecie, znam smak tych ust.

Zmarszczył brwi. Na ten widok jej wargi ułożyły się do uśmiechu.

- Oczywiście cie. Teraz rozumiem, dlaczego... nigdy mnie nie pocałowałaś przez te wszystkie długie tygodnie. Wiedziałeś, że gdybyś to zrobił, rozpoznałabym cię.

- Tak, ale to już nie ma znaczenia, kochanie. Nic nie ma znaczenia poza tym, że wróciłaś do domu. Jesteś już bezpieczna, Bethany.

- Tak. Bezpieczna przy tobie. Kane Preston. Lord Alsmeech. Mój Władca Nocy. Proszę, nie zostawiaj mnie. Obiecuj mi to.

- Obiecuję.

Powoli powieki Bethany opadły i zapadła w sen.

Kane zgonił psa z łoa, po czym położył się obok swej ukochanej i wziął ją w ramiona, rozradowany, choć wyczerpany. Nie chciał jej opuścić nawet na minutę. To, co odkryła jego sekret, nie miało dla niego znaczenia. Nic nie miało znaczenia poza tym, że przetrzymała kryzys i wyszła z niego bez uszczerbku na zdrowiu.

Wpół nocy po chwilach pełnych rozpaczycy, zasnął.

W środku nocy Bethany przebudziła się i uświadomiła sobie, że leży w objęciach Kane'a. Wpatrywał się w nią tak bacznie, że nie mogła zebrać myśli. Długo przyglądała mu się w blasku ognia z kominka i stopniowo wszystko zaczęło nabierać sensu.

- Uratowałam mnie. - Dotknął palcem jego ust.

- Nie, Bethany. To twoja własna siła ci uratowała. Ja mogłem tylko stać bezradnie z boku i obserwować.

- Ładne mi bezradnie. - Uśmiechnęła się. - O ile sobie przypominam, niosłam mnie ze statku, przez las, do swego domu.

- Pamiętasz?

- Tak. Pamiętam, że czułam się bezpiecznie, dopóki czułam ciepło twoich ramion. Pamiętam ból, kiedy położyłam mnie na łóżku i wypuściłaś mnie z objęć. Ale wtedy usłyszałam twój głos. Ten cudowny szept, który dotarł aż do mego serca. Już wiedziałam, że nie mogę cię opuścić. Nie mogłam opuścić tego wiata tak długo, jak długo ty na nim jesteś.

- Och, Bethany. - Przycisnął wargi do jej skroni, a jego serce zareagowało przyspieszonym rytmem. - Nie miałem prawa mówić o swoich uczuciach. Jednak nie mogłem znieść myśli, że cię utracę, a ty nigdy nie dowiesz się o mojej miłości.

- A teraz, skoro to zrobiłaś ... - uśmiechnęła się szerzej - znam twój sekret.

- W każdym razie jeden z moich sekretów. - Dotknął opuszką palca jej warg i obrysował je, cały czas patrząc jej

prosto w oczy. - Obiecasz mi, e teraz zostaniesz i nie wrócisz do tamtego wiata?

- Tak. Je li ty te mi co obiecasz.

- Wszystko.

- Pocałujesz mnie?

Odsun ł si

- Przypominam ci, e dopiero co wróciła do wiata ywych. Była o krok od mierci.

- I znów tak si mo e sta , je li mnie natychmiast nie pocałujesz.

U miechn ł si . A potem dotkn ł wargami jej ust. Było to zaledwie mu ni cie, ale zawarta w nim cała miłość Kane'a, cała nagromadzona t sknota, które od dawna trzymał w zamkni ciu, sprawiły, e Bethany do wiadczyła obezwładniaj cego szcz cia.

Otworzyła oczy szerzej.

- Teraz wiem, e twój pocałunek mi si nie przy nił.

- Nie, najdro sza.

Najdro sza. Pomy lała, e to najcudowniejsze słowo, jakie kiedykolwiek słyszała. Zarzuciła ramiona na szyj Kane'a i uniosła głow .

- Teraz, gdy wiem, dlaczego nie pocałowałae mnie wcz e niej, czuj si o wiele lepiej.

- Zatem ju znasz mój sekret, co z tym zrobimy?

Posłała mu figlarny u miech.

- Mógłby spróbowa sko czy to, co zacz łe tamtej nocy, kiedy jako rozbójnik po egnale si ze mn na zawsze.

- Nie miem.

- Dlaczego? - Poczula si gorzko rozczarowana jego odmow .

- Bo dałem twemu dziadkowi słowo d entelmena, e b d okazywał nale ny ci szacunek, inaczej mówi c, nie b d nastawał na twój cnot .

Przytuliła si do niego i zobaczyła, e patrzy na ni ,  
mru c oczy.

- Ja nie dawałam sowa.
- Mała czarownica.

Próbował si odsun , ale ona przyci gn ła go jeszcze bli ej, a ich ciała si ze sob zetkn ły.

- Władca Nocy równie nie składał takiej obietnicy.

Wystarczyło najl ejsze dotkni cie, by go pobudzi .

Płomiennowłosa nieznajoma, któr obserwował z oddali. Posta w m skim przebraniu ze spokojem ruszaj ca do walki z band piratów o dzikich oczach. Kobieta, która podsycała wszystkie jego fantazje, była tu we własnej osobie, gotowa mu si odda .

Zawsze uwa ał si za silnego. Ale w Bethany znalazł godn siebie przeciwniczka . Jego r ce znalazły si w jej włosach, zanim zdał sobie spraw , e je ku niej wyci gn ł. Przygarn ł j do siebie, cho powtarzał sobie, e le czyni.

- Pocałuj mnie, Kane. Prosz .

Jeszcze si opierał, nie chc c przekracza granic przyzwoito ci.

- Je li to uczyni , nie b d w stanie przesta .
- Nie chc , eby przestał.
- Nie wiesz, co mówisz. - Zdecydowany okaza siln wol za dwoje, oderwał si od niej i wyszedł na balkon z nadziej , e chłodne nocne powietrze ostudzi jego rozpalone zmysły.

Bethany stan ła tu za nim. Z leniwym u miechem obj ła go w pasie.

- Wiem tyle, ile trzeba, Kane. Kocham ci .

Miło . Na d wi k tego sowa serce mu stopniało. Ze wszystkich argumentów, którymi mogła si posłu y , tylko ten jeden miał znaczenie. Nie potrafił si przed nim broni . Jednak podj ł jeszcze jeden wysiłek. Dla jej dobra.

- To nie mnie pragniesz, Bethany. Nie lorda Alsmeetha. Powiedz prawdę. Czy to nie Władca Nocy darzysz miło ci?

- Czy to wa ne?

- Tak.

Wpatrywał się w nią z takim napięciem, że zadrżała, zdając się na nagłym momencie.

- Musz to wiedzieć - nalegał.

W arze ognia z kominka oczy Bethany lśniły jak szmaragdy. Włosy wietlist kaskad spływały na jej ramiona.

- To prawda, z początku Władca Nocy mnie zaintrygował. Kiedy poznałam lorda Alsmeetha, czułam to samo. Nie rozumiesz? Obaj my czy nie stanowili dla mnie tajemnic. Jeden oddaje wszystko, co ukradł, bez słowa wyjątków. Drugi sprawia wrażenie, że nie potrafi być niechcący swoim bogactwem i pozycją jak pustelnik. Obydwaj chwytają mnie za serce, choć nie potrafią powiedzieć, dlaczego tak się dzieje. - Przycisnął dłoń do jego policzka w bólu nie czułym go. - Newt powiedział kiedyś, że miło podkłada się do człowieka bez ostrzeżenia. I mnie w końcu to się przytrafiło. Nie wiem jak, kiedy i dlaczego. Ale wiem, że ci kocham, Kane. To wszystko.

- Och, Bethany. - Na moment zamknął oczy. - Tak długo czekałem na te słowa. - Jej szczerokość pokonała resztki oporu. Wziął ją w objęcia i całował, a obojgu zbrakło tchu.

- Kocham cię, Kane. Proszę, kochaj mnie.

Podjął ostatni heroiczny wysiłek, aby się wycofać. Odsunął się od niej i pociągnął z balkonu do komnaty, a tam przyglądał się jej uważnie, nim zadał pytanie:

- Na pewno słyszała plotki i pogłoski na mój temat. Nie boisz się?

Po raz pierwszy wspominał o swej przeszłości. Mogłaby to podchwycić, ale tylko pokręciła głową.

- Słyszałam. M czyzna, którego znam, nigdy nie zachowałby si tak, jak sugeruj plotki. Wiem jedno. Chc , eby poszedł ze mn do ł a.

- Wiesz, o co prosisz? - spytał ochryple. - Masz poj cie, co by to oznaczało dla ciebie? Nie potrafi by delikatnym kochankiem. To nie b d tylko słodkie pocałunki i szeptane słowa miło ci. B d chciał, eby robiła rzeczy, o których nie masz poj cia. A kiedy to si stanie, nie da si tego odwróci . Co gorsza, nie mog ci nic obieca . W moim yciu jest zbyt wiele... nieuporz dkowanych spraw.

Dotkn ła koniuszkiem palca jego warg.

- Nie chc od ciebie nic wi cej ponad to, eby mnie kochał, Kane. Nie spocz n , dopóki tego nie zrobisz.

- A wi c niech Bóg ma nas w swojej opiece, Bethany. Bo ja ju ci kocham. - Przycisn ł j do siebie. Jego dłonie ju nie były delikatne, a usta na jej ustach były spragnione, chciwe. - Kocham ci od pierwszej chwili, kiedy ci ujrzałem.

Dostała si w wir uczu , które nie przypominały niczego, co znała dotychczas. Ten pocałunek nie przypominał poprzednich. Całe pragnienie i przemo na nami tno , narastaj ce przez długie dni i tygodnie, zawarły si w jednym, pozbawionym tchu zetkni ciu warg. Nie wiedziała, e mo na tak całowa . Ustami, z bami, j zykiem. Dra ni c i torturuj c, bior c i daj c, wyniósł j na wy yny, na których nie była jeszcze nigdy.

Odpowiedziała tym samym, wykorzystuj c sw nowo nabyt wiedz . Czyniła to tak udatnie, e ich westchnienia zlały si w jedno.

Dla Kane'a nie było powrotu. Przekroczył granic i cale jego starannie wypracowane opanowanie pry sn ło jak mydlana ba ka. Mógł dotyka Bethany na te wszystkie sposoby, o których nił. Mógł robi te wszystkie rzeczy, o których fantazjował podczas długich, samotnych nocy. Mógł



bra i dawa, mając cudowne uczucie, a wreszcie znalazł to, co w życiu najważniejsze - prawdziwą miłość.

Był dziwny dla niej. Cienka tkanina koszuli nocnej, przezroczysta jak anielskie skrzydła, tylko zwiąkszyła jego podniecenie. Zniecierpliwiony rzucił rękawiczkami guziczków, cisnąc się od szyi do talii, szarpnął zapięcie. Guziczki przysnęły i posypały się na podłogę, a koszula rozchyliła, odsłaniając skórę gładką i białą jak mleko. Przez ułamek sekundy tylko patrzył, napawał się widokiem zmysłowego ciała Bethany. A potem pochylił głowę, by go posmakować.

Nakrył wargami sterczące sutki. Gryzł i ssał, a pod Bethany ugięły się kolana. Wówczas delikatnie ułożył Bethany na łóżku, po czym zajął się drugą piersią. Pieczęć dotąd, a westchnienia młodej kobiety przerodziły się w szepty, a szepty przeszły w jęki, w których wyczuwał zarówno rozkosz, jak i podanie.

Pomyślała, że teraz jej w ustach i nasyci swój rozpaczliwy głód. Musnęła dłonią jego poplamioną krwią koszulę i zsunęła ją z ramion, pragnąc dotykać go tak samo, jak on jej dotykał. Zanim zdążyła zrealizować swoje pragnienie, rozdarł jej nocną koszulę i odsłonił kolejny sekret. Napisała się, gotowa protestować. Za pół godziny. Jej ciało natychmiast zareagowało. Zadrżała, osiągnął pierwszy wspaniały szczyt.

Dla Kane'a miłosna podróż dopiero się rozpoczęła. Czuł, jak jego puls przyspiesza na widok reakcji Bethany. Tak jej chciał. Oszołomiony podaniem. Słabł z rozkoszy. I należało do niego. Tylko do niego.

Jak z oddali słyszał swój głos, ochrypliwy z podania. Oderwał usta od warg Bethany i zaczął nimi błądzić po jej ciele. Smakowała tak słodko. Była rozpalona, dzika i słodka. Tak niewiarygodnie słodka.

Zwolnił, dając jej czas na odnalezienie się w natłoku wrażeń. Na złapanie oddechu. Na spowolnienie serca walcącego jak młotem.

Bethany leała pogrążona w rozkoszy. Chociaż to wszystko było dla niej nowe, było też dziwnie znajome. Ten męczyzna. Jego dotyk, smak. Jego zapach wypełnił jej nozdrza. Czując to wszystko, miała wrażenie, że wróciła do domu. Przyszła na wiat, żeby być z nim. Chciała, żeby tylko on dotykał jej w ten sposób. Kochał ją w ten sposób.

Bierwiona na palenisku wypaliły się, zostawiając arcycechy w gielki i ten arcy odbił się w jej oczach. Leżała w ciemności jak srebro. Kiedy swymi ustami wytyczał cię do jej ciała, drżała i pojękiwała z cicha. A potem, nie dając jej czasu na pozbieranie myśli, uniósł ją jeszcze wyżej, a krzyknęła.

Bez wahania wyciągnęła ku niemu rękę. Przy jego pomocy wyciągnęła z niego ubranie i wreszcie nic ich nie dzieliło, stanowili jedno. Połczyli się pijani namiętnością. Kiedy w nią wszedł, wydała zduszony okrzyk.

- Och, jestem taki brutalny. - Znieruchomiał, usiłując zachować resztki opanowania. - Jak mogłem zapomnieć, że jesteś dziewicą? Och, najdroższa Bethany, zraniłem cię. - Zaczęła się wycofywać, ale wczepiła palce w jego włosy i przyciągnęła jego twarz do swojej.

- Nie, Kane. Nie przerywaj.

Wyciągnęła się w łuk i zaczęła poruszać biodrami.

Oszołomiony, niemal oszalały z podniecenia, oderwał wargi od jej ust i błędnymi po jej twarzy i szyi. A potem została tylko pierwotna dąca, narastająca w nim jak gniew i szukająca ujścia.

Nie mógł dłużej czekać.

Wziął ją mocno i szybko. Zdumiało go, kiedy otoczyła jego biodra nogami, dopasowując swoje ruchy do jego ruchów. Ich serca biły jak oszalałe w tym samym rytmie.

Wyszeptał jej imię na moment przedtem, zanim osiągnęła pierwszy spazm rozkoszy. A potem porwał ich huragan.

Frun li, wznosili si w gór , wreszcie rozpadli si na drobniutkie kawałki i powoli powrócili na ziemi .

Kane spodziewał si alu. Uzbroił si na łyzy, na wyrzuty. Tymczasem Bethany le ała przytulona do niego, sprawiaj c wra enie, e to najwła ciwsze dla niej miejsce. Dziwne, ale on czuł to samo. Zupełnie jakby od zawsze była w jego ramionach i kochała go bez opami tania.

Przyjrzał si uwa nie jej twarzy, od której bił blask.

- Nie ałujesz, Bethany?

- ałuj ? - Spojrzała mu w oczy. - A ty?

- Oczywi cie, e nie. Ale... ty była dziewic . A ja skalałem tw cnot .

- Skalałe ? - Usiadła, najwyra niej oburzona. - Je li tak jest, dlaczego czuj si taka pełna ycia? Taka... kochana.

Rzeczywi cie dlaczego? Spojrzał na ni , potem odrzucił głow do tyłu i roze miał si .

- Och, Bethany. Nieustannie mnie zadziwiasz. Wiesz, e jeste niepodobna do adnej kobiety, któr znam?

- Mam nadziej . - Znów si w niego wtuliła, napawaj c si dotykiem jego mocnych ramion. - Musz ci si do czego przyzna , Kane.

Czekał. Ciekawe, jakie jeszcze niespodzianki go spotkaj ?

- Od chwili gdy Władca Nocy pocałował mnie po raz pierwszy, byłam stracona.

- A co z Kane'em Prestonem?

- Nie znałam go wtedy. - U wiadomiła sobie, e wci go nie zna.

- Teraz ja te ci si do czego przyznam. Kiedy ujrzałem ci po raz pierwszy, była widzian z oddali nieznanom o płomiennych włosach.

- Nieznanom ?

- Tak. Kobiet w m skim ubraniu, tocz c walk z band zdziczałych piratów, gdy twój statek stan ł w obronie mojego.

- Twojego?  
- Mały spacerowy statek płynący pod angielską banderą, który został zaatakowany przez piratów nieopodal Lands End.

Wyprostowała się i wpatrywała w niego z niedowierzaniem.

- To był twój statek?

- Ciesz się, że wciśnięto ci czymś zaskoczy. - Uśmiechnął się szeroko. - Obserwowałem przebieg bitwy przez lunetę. Pomyślałem, że jesteś najwspanialszą kobietą, jaką kiedykolwiek widziałem. Przysięgam sobie wówczas, że będzie ci miła.

- A kiedy pocałowałaś mnie w przebraniu Władcy Nocy?

- Nie planowałem tego. To się po prostu stało. Wiedziałem, że jesteś tą kobietą, którą widziałem na pokładzie statku. Te same włosy. Ta sama nieustraszona. I ci tyż zyskałaś na dodatek. Musz powieści, że pozostawiła... niezatarte wrazenie, moja pani. Wiedziałem, że musz jeszcze posmakować twoich ust.

- Ja czułam to samo, choć próbowałam temu zaprzeczyć. Tamtej nocy, kiedy się ze mną rozstała, byłam pogodna w rozpacz. Myślałam, że Władca Nocy odszedł z mojego życia na zawsze.

Głos miał zachrypnięty, kiedy mówił:

- Odszedł, Bethany. Władca Nocy nie wróci. Umarł tamtej nocy i nigdy nie powróci. Już nigdy nie będzie dzieje dzieł samotnie w ciemnościach, zmuszając bogaczy, by dostrzegli coś poza złotem i klejnotami. - Przejechał palcem po jej ustach, zafascynowany ich kształtem. - Masz coś przeciwko temu?

- Chyba nie. Dopóki mogę mieć Kane'a Prestona. - Posłała mu figlarny uśmiech. - Oczywiście powinnam otrzymać próbkę powabów lorda Alsmeetha, nim zadecyduję.

- Jesteś zachłanną kobietą, Bethany Lambert.

- Tak. - Pochyliła się i musnęła wargami jego szyję. Usłyszawszy, jak złapał powietrze, upajała się swoim nowo odkrytym władz. - Jestem zachłanna. Chcę dowiedzieć się o tajemniczym lordzie Alsmeece wszystkim.

Kiedy zsunęła usta niżej, poczuła, jak muskuły Kane'a się napinały i usłyszała kolejny zduszony jęk.

- Nie tyle zachłanna, co bez serca, moja pani. Nie masz litości?

- Nie, chyba nie zgodzisz się współpracować. - Przechyliła głowę. - A może wołałbyś, abyśmy udała się teraz do jednej z jego cinnych komnat, milordzie?

- Twarda z ciebie sztuka, Bethany Lambert. - Wziął ją w ramiona i całował, a brakło jej tchu. - Wkrótce zobaczymy kto... współpracuje lepiej.

Roze miała się z zachwytem, który wkrótce przerodził się w jęk rozkoszy, gdy jego dłonie i usta ponownie podjęły się w drówek, przenosząc ją w krainy namiętności i magii.

Pierwsze blade promienie słoneczne wpadły przez balkon i musnęły dwie postacie wtulone w siebie na ogromnym łóżku. Przez całą noc kochali się, drzemali, po czym budzili się i znów kochali. Teraz leżeli zaspokojeni i szczęśliwi.

Kane władczo otaczał ramieniem tali Bethany.

Spojrzał czule na kobietę, którą trzymał w objęciach. Jej włosy rozsypały się na jego ramieniu i łaskotały skórę.

Budziła się powoli, z głową na jego torsie. Miarowy rytm serca kochanka działał na nią bardziej kojąco niż jakakolwiek kołysanka. Zatrzepotała powiekami, a potem podniosła je i wpatrzyła się w Kane'a.

Kiedy spojrzał w te zielone głębie, nie potrafił powstrzymać się od miechu.

- O czym myślisz? - Uniosła palec ku jego wargom.

- Zastawiam się, jak przeżyłem te wszystkie lata bez ciebie.

Sama si nad tym zastanawiała. W ci gu kilku godzin całe jej ycie zmieniło si za przyczyn tego m czyzny, który bez reszty zawładn ł jej sercem.

- W jaki sposób wyja ni wszystko twemu dziadkowi? Ostatniej nocy udawał si do ł a pełen obaw, e jego wnuczka nie do yje ranka. Teraz musz mu powiedzie , e nie dottrzymałem obietnicy, któr zło yłem jako d entelmen.

- Jak mo esz mówi co takiego? My łałam, e jeste d entelmenem w ka dym calu.

Roze miał si .

- Skoro tak uwa asz, najwyra niej musiałem czego zaniedba ...

Nie odrywaj c wzroku od Bethany, zacz ł niespiesznie pie ci jej ciało. Dłó mi i wargami wypalał płomienny ład na skórze, tak e coraz trudniej przychodziło jej my le , potrafiła tylko czu .

Kiedy oddech Bethany stał si płytki, a serce wystukiwało szalony rytm, Kane zamkn ł jej usta zachłannym pocałunkiem. Po chwili wyszeptał:

- Wci uwa asz, e zachowuj si , jak przystało na d entelmena?

Bethany była tak oszołomiona doznaniem, e nie mogła wydoby z siebie słowa. Zdołała tylko pokr ci głow . Posłał jej szelmowski u miech.

- Ju nigdy nie b d w stanie zachowywa si przy tobie jak d entelmen - dodał.

Przyj ła t deklaracj z całkowit akceptacj .

Kane u wiadomił sobie, e gdyby rzeczywi cie był prawdziwym d entelmenem, pow ci gn łby dze nawet wbrew pragnieniom Bethany. Bo jego reputacja z pewno ci narazi na szwank równie jej reputacj . Ale stało si to, co si sta musiało. Była jego przeznaczeniem. A on był jej przeznaczeniem.

Jutro znajdzie si do czasu na ale. Teraz liczyło si tylko jedno.

Razem przekroczyli granic konwenansu i znale li si . w wiecie zmysłowej rozkoszy.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Kane stał na balkonie, patrz c na sło ce wynurzaj ce si zza horyzontu. W tej chwili niczego nie pragn ł bardziej, ni le e w ło u u boku Bethany i kocha si z ni powoli, nami tnie, od witu do nocy. Ale to, czego pragnie m czyzna, cz sto kłóci si z jego obowi zkami.

Wyj ł z kieszeni ma ł szpilki i przygl dał si kamieniom migocz cym w wietle poranka. Na chwil zamkn ł oczy i spróbował pohamowa dławic go w ciekło .

Kto by uwierzył, e rejs na poblisk wysepek zmieni bieg jego ycia? A jednak był to punkt zwrotny, nie tylko pod jednym wzgl dem. Od strony ło a dobiegł go szelest, wi c wcisn ł szpilki z powrotem do kieszeni i odwrócił si .

Bethany patrzyła, jak si do niej zbli a. Przez chwil wydało jej si , e w jego oczach dostrzega smutek. A mo e gniew? W tym momencie wyraz jego oczu si zmienił. Teraz spogl dał na ni z u miechem.

Wci było jej trudno uwierzy , e ten odległy, pełen rezerwy lord, którego si obawiała, i ciemny, gro ny rozbójnik, który zi cił jej marzenia, to jeden i ten sam m czyzna. M czyzna, który kochał si z ni tak czule przez ca ł noc.

- Odpowiedz mi na jedno pytanie, Kane? – Wyci gn ła ramiona, gdy przysiadł na brzegu ło a.

Ucałował czubek jej nosa.

- Co chciałyby wiedzie , najdro sza?

Najdroższe. Najśodsze słowo, jakie znała. Na chwilę brzmienie głosu Kane'a i dotyk jego ręki odebrały jej zdolność mówienia. Kiedy wreszcie uporowała się ze wzruszeniem, wyszeptała:

- Dlaczego lord bywał rozbójnikiem?

Zmarszczył brwi.

- Nie miałem takiego zamiaru. W każdym razie nie od początku. Gdy byłem młodszy, po prostu ubierałem się na czarno, żeby nie rzucać się w oczy, jeździć konno po zmroku po okolicy. Przy tych wszystkich nauczycielach i słuchaczach, którzy wiecznie mnie otaczali, to był jedyny sposób, by mieć trochę czasu tylko dla siebie. Wtedy zdarzyło się coś, coś odmieniło moje życie. A kiedy wróciłem do Kornwalii, poraziła mnie różnica między życiem bogaczy i biedaków. Co gorsza, wyglądało na to, że bogacze nie dostrzegają biednych wyciekających tu obok. Dlatego postanowiłem zabierać im najcenniejsze rzeczy, by zrozumieli, że ich życie, ich bezpieczeństwo są o wiele ważniejsze niż przedmioty.

- Ale dlaczego oddała kosztowności za pośrednictwem Jenny Pike?

- Ty to spowodowałaś.

- Ja?

Skinął głową.

- Od jakiego czasu przemyślałem nad tym, w jaki sposób zwrócić zgromadzone łupy. A ty powiedziałaś, że jeśli ludzie nie mają okazji zobaczyć, jak żyją inni, nie mogą wiedzieć, że sami przebywają w raju.

- Przecież rozmawialiśmy o pogodzie.

- To prawda. Jak widzisz, nagle nabrało to dla mnie głębszego sensu. Jeśli bogaci i utytułowani ujrzą, jak żyje panna Pike, może wyrwie ich to z samozadowolenia i zaczną dostrzegać innych, tych biednych w potrzebie. A skoro do tego dojdzie, może zrobi coś, by polepszyć ich życie?

- Tak jak ty.



Pokr cił głow .

- Ja niewiele robi . W moim yciu jest zbyt du o... komplikacji.

Bethany czekała cierpliwie, z nadzieją , e Kane podzieli si z ni niektórymi z tych komplikacji. Zanim zdołał powiedzieć co wi cej, do drzwi dało si słysze energiczne stukanie, a zaraz potem głos Huntleya.

- Milordzie.

Na widok rumie ca na jej policzkach Kane nie mógł opanowa miechu.

- O ile sobie przypominam, to ty nalegała , eby my dzielili ł e, moja pani.

- To prawda, ale nie wiedziałam, e i twój lokaj zostanie o tym poinformowany. - Przyło yła dło do ust. - Och, Kane. Nie potrafiłabym spojrze mu w oczy.

Widz c jej zakłopotanie, ulitował si nad ni i odpowiednio surowym głosem oznajmił:

- Nie potrzebuj dzi twojej pomocy, Huntley. Powiedz pani Dove, e panna Lambert czuje si o wiele lepiej. A ja zaraz zej d na niadanie i do ł cz do naszych go ci.

- Tak, milordzie.

Kroki lokaja oddaliły si . Kane spojrział na twarz Bethany i wybuchn ł miechem.

- Udziel ci pewnej rady, najdro sza. Pami taj, eby nigdy nie gra w karty z moimi londy skimi przyjaciółmi. - Uniósł jej podbródek i pocałował dziewczyn w usta. -W tych zielonych oczach maluj si wszystkie twoje emocje. Ka dy mo e je rozpozna .

- Je li to prawda, to co czuj teraz?

Popatrzył jej w oczy.

- Ulg , e Huntley odszedł. Hm... - Zmru ył oczy. - My l , e widz w nich równie nami tno . - Całował j długo, bez po piechu, a potem szepn ł: - Tak. Nami tno . I

głód, którego zaspokojenie, jak tusz, jest moim obowiązkiem, zanim opuścimy to łóżko.

Zaczęła się śmiać, ale stłumił jej śmiech pocałunkami i po chwili zapomnieli o całym świecie.

- Dziękuję Bogu, doszła do siebie. - Pani Coffey wzięła obie dłonie Bethany w swoje ręce i mocno ucałowała. - Tak się o ciebie martwiłam, że nie mogłam spać.

- Ja też nie najlepiej spałam.

Bethany dostrzegła uśmiech na twarzy Kane'a, który włącznie wszedł do sali i zajął miejsce u szczytu stołu. Miał na sobie, jak zawsze, czarne spodnie, długie buty i nieskazitelny czarny kaftan. A ona miała szczęście widzieć, dotykać i pieścić muskularne ciało kryjące się pod tym wytwornym ubraniem. Wystarczyło, że o tym pomyślała, by poczuła, jak pieką jej policzki.

Wszyscy zebrali się w sali jadalnej. Pani Dove krążyła wokół stołu, wydając polecenia słuchającym. W ciągu jednego dnia zaczęła brać przykład z pani Coffey. Jej głos stał się donośniejszy, a polecenia wyraźne i bezładu nerwowość.

- Moim zdaniem to cud - zauważyła panna Mellon, siedząca po przeciwnej stronie stołu. - Wystarczy na ciebie spojrzeć, Bethany. Wyglądasz jak okaz zdrowia. Zgadzasz się ze mną, Geoffreyu?

Starszy pan z uwagą przyjrzał się wnuczce, a następnie zwrócił się do siedzącego obok niej mężczyzny.

- Powiedziałbym, że obydwójce wyglądasz o wiele lepiej niż wczoraj.

Kane i Bethany wymienili szybkie spojrzenie i odwrócili wzrok.

Natomiast stary Newton postanowił zachować swoje spostrzeżenie dla siebie. Fakt, trudno byłoby nie dostrzec jasno ci, który promieniał zarówno lord, jak i ich dziewczynka.

Je liby miał zgadywa , co si stało, powiedziałyby, e obydwaje odkryli ostatniej nocy co cenniejszego ni sen. W sam por .

- Wracamy dzi do MaryCastle, dziadku? - Darcy miała wra enie, e teraz, kiedy siostra doszła do siebie, zdj to z jej ramion wielki ci ar.

Bethany zerkn ła na Kane'a, przekonana, e b dzie nalegał, by jeszcze troch zostali.

Zaskoczył j , kiwaj c głow na zgod .

- Jestem pewien, e Bethany b dzie wygodniej we własnym domu.

- A co ty powiesz, dziecko? - spytał Geoffrey Lambert.

- Decyzja nale y do ciebie. Chc by pewien, e jeste na tyle silna, by znie jazd powozem.

Wiedziała, e wszyscy na ni patrz . Ale jedynym, którego zdanie si liczyło, był Kane. Tymczasem on rozmy lnie unikał jej wzroku, wpatruj c si uwa nie w zawarto swego talerza.

Czy by ju go nu yła? A mo e ałował, e sp dzili razem noc? Bogiem a prawd , niemal go do tego zmusiła.

- Czuj si dobrze, dziadku - odparła z westchnieniem. -Nie ma powodu, bym tu zostawała.

Nie miała powodu, chyba e Kane s dziłby inaczej. Skoro nie zaprotestował, pochyliła głow w obawie, e kto mógłby spostrzec łzy napływaj ce jej do oczu.

- W takim razie ustalone. - Geoffrey nało ył sobie na talerz mnóstwo cieniutkich plastrów wołowiny i najdelikatniejszych biszkoptów, jakich kiedykolwiek kosztował. Gdyby pozostali w tej wytwornej rezydencji na dłu ej, Winnie musiałaby przeszy guziki jego kaftana. U miechn ł si do obu starszych pa . - Wrócimy od MaryCastle w sam raz na obiad.

Pani Dove wymieniła spojrzenia z lokajem. Cho z pocz tku niezbyt ch tnie powitała wtargni cie tej hała liwej gromady, zd yła ju polubi ich towarzystwo. Zwłaszcza

panny Lambert. W jej obecności lord, przynajmniej na jakiś czas, odkładał na bok swoje smutki i wychodził z narzuconego sobie dobrowolnie odosobnienia. Choć ich wyjazd oznaczał, że w tym czasie jej obowiązki, stara gospodyni wcale nie była pewna, czy chce, by wszystko powróciło do poprzedniego stanu, kiedy to lord całe dni tkwił w bibliotece, a słuchając kurczyli się ze strachu, ilekroć znalazł się w pobliżu.

- Jeśli zamierzasz ryzykować jazdę w takie zimno, Bethany, będziesz potrzebowała ciepłego szala - zauważyła panna Mellon między jednym a drugim łykiem herbaty. - Czy moglibyśmy te poczęścić kilka koców, milordzie?

- Naturalnie.

Słyszysz jego chłodny, opanowany głos, Bethany burknęła:

- Nie potrzebuję szala ani koców, Winnie. Jest mi całkiem ciepło.

- Ale moją skórę zaziabi.

- Nie jestem chora. Zostałam drgnięta w ramiona i uderzyłam się w głowę. To wszystko. Czuję się równie silna, jak zawsze. A nawet silniejsza.

- Winnie ma rację, naturalnie. Otul się szalem, Bethany. - Pani Coffey uniosła parującą filiżankę. - Powinnaś wypić sporo herbaty przed wyjazdem. Rozgrzeje ci krew.

- Moja krew jest wystarczająco ciepła, dziękuję bardzo. - Była tak gorąca, że niemal dymiła. I z każdą minutą robiła się gorętsza.

- Nie mów tym tonem, młoda damo. - Pani Coffey posłała jej spojrzenie, które przez lata doprowadziła do perfekcji. - Pij herbatę.

Bethany wiadomo, że ten spór nie ma sensu, dopiła herbatę i poirytowanym wzrokiem obrzuciła rodzinę. Ale nie potrafiła wygłosić gniewu. Nie na te słodkie starsze damy, które chciały dla niej jak najlepiej.

- W takim razie ruszajmy.

- Za chwilę . - Geoffrey sięgnął po kolejnego biskupa.  
- Musisz nabierać się, dziecko.

- Nie potrzeba mi tej chwili, dziadku. Czuję się doskonale.

- Nonsens. - Panna Mellon pokręciła głowę . - Po takim uderzeniu nie da się dojść do siebie na drugi dzień . Zanim w pełni wyzdrowiejesz, może upłyną wiele tygodni, a nawet miesiące.

- Przestać . - Zniecierpliwiona Bethany omal nie tupnęła nogą . - Czuję się na tyle dobrze, że mogłabym popłynąć na „Nieustraszoną” i sama jedna podjąć walkę z bandą piratów.

Pani Coffey rozejrzała się i skonstatowała z ulgą , że pani Dove i Huntley byli za daleko, by to usłyszeć .

- Opanuj się , Bethany. Chyba nie chcesz, żeby obcy wiedzieli o naszych sprawach?

- Trochę na to za późno. Kane był na pokładzie. Widział nasze działko. Patrzał, jak załoga się zbroi. Có , nawet się do nas przybliżył . A ja powiedziałam mu, czym się zajmujemy - Zmierzyła ich wyzywającym wzrokiem. - Byłam mu to winna po tym, jak przyszedł mi z pomocą .

- Miała rację , dziecko. - Starszy pan uśmiechnął się do Kane'a. - I co pan na to, milordzie?

- Prawdę powiedziawszy, nie jestem ani trochę zaskoczony - odparł Kane z powagą .

Panna Mellon zniżyła głos.

- Newton powiedział nam, że pan doskonale posługuje się szpadem . A ja , że mnie tam nie było. Chciałabym to zobaczyć .

- Tak. - Bethany przytaknęła. - Wiesz, że lord potrafi strzelać równie celnie, jak ja, Winnie?

Dziadek zamysłował . Ciekawe, czy Bethany zdaje sobie sprawę z dumy brzmiącej w jej głosie? Odchrząknął .

- Có , je li jeste pewna, e mo esz jecha do domu, dziecko, my l , e najlepiej b dzie, je li ruszymy od razu.

Kane wstał od stołu.

- Kapitanie Lambert, zanim odjedziecie, chciałbym spotka si z panem w bibliotece.

- Prosz bardzo. - Geoffrey mrugn ł do wnuczki i pod ył za lordem.

Bethany popatrzyła za nimi. Ciekawe, o czym Kane chciał rozmawia . Czy by...? Powiedział, e nie mo e jej nic obieca . A jednak to, i chciał rozmawia z dziadkiem, sprawiło, e jej serce zacz ło bi szybciej.

Niedługo potem, kiedy siedzieli w salonie, czekaj c na powóz lorda, pojawił si Huntley.

- Ma pani go ci, panno Lambert. S tu panna Edwina Cannon i diakon Ian Welland.

- Dzi kuj ci, Huntley. - Bethany u miechn ła si do nowo przybyłych. - Czemu zawdzi czam pa stwa wizyt ?

- Panno Lambert. - Młody diakon uj ł jej dło . - Słyszeli my, e odniosła pani powa ne obra enia podczas rejsu. Postanowili my przyjecha tu i na własne oczy zobaczy , jak si pani czuje.

Bethany roze miała si .

- Po prostu nieszcz liwie upadłam na pokład statku. Jak widzicie, ju wszystko w porz dku.

- Co za ulga. - Edwina stan ła pomi dzy nimi, chc c ci gn na siebie uwag zebranych. - To ja nakłoniłam diakona Wellanda do przyjazdu. S dziłam, e mo e potrzebujesz jego modlitw.

- Jestem bardzo zobowi zana. - Nietrudno było si domy li , e Edwina sprytnie posłu yła si jej wypadkiem jako pretekstem do zobaczenia rezydencji lorda. Bez w tpienia po powrocie do Lands End b dzie czarowa wszystkich przyjaciół szczegółowymi opisami tego, co tu ujrzała.

Ponad jej ramieniem Bethany spostrzegła zmierzaj cego ku nim du ymi krokami Oswalda Prestona.

- Nie wiedziałam, e towarzyszy ci równie kuzyn lorda.

- Czy bym nie wspomniała o Oswaldzie? To bez znaczenia. Zapewnił mnie, e cz sto bywa w Opactwie Penhollow jako członek rodziny. - Edwina odwróciła si i serdecznym gestem wsun ła rami pod r k młodego m czyzny.

Oswald ucałował dło Bethany.

- Kiedy doszła do nas wie o pani wypadku podczas przeja d ki w towarzystwie mego kuzyna, panno Lambert, obawiali my si najgorszego. - Rozejrzał si wokół, jakby chciał si upewni , e jego słowa słysz wszyscy pozostali i konspiracyjnie zni ył głos. - Zwłaszcza w wietle... historii mego kuzyna.

- Historii?

- Jestem pewny, e słyszała pani pogłoski, panno Lambert. Mój kuzyn... ma mroczn przeszło . Paru jego bliskich zgin ło w niezwykłych okoliczno ciach.

Rozgniewana Bethany wyrwała dło i lodowatym głosem o wiadczyła:

- Nie znosz plotek.

U miechn ł si pobła liwie.

- Ja te nie, panno Lambert. Ale to, o czym mówi , to co wi cej ni plotka. W wielu kr gach jest uznawane za fakt.

Młody diakon wygl dał na wysoce za enowanego słowami Oswalda.

- Podzielaam zdanie panny Lambert. Takich rzeczy nie godzi si powtarza w towarzystwie, sir.

- Jak pa stwo sobie ycz . - Oswald z obłudnym u miechem skłonił głow . - Traktowałem to wył cznie jako ostrze enie przeznaczone dla ka dego, kto mógłby zbli y si za bardzo do mego kuzyna.

Do salonu wkroczył Geoffrey Lambert, a za nim Kane. Bethany dopełniła formalno ci prezentacji.

- Zapewne nie zna pan Edwiny Cannon i diakona Iana Wellanda. A oto lord Alsmeech.

Edwina spłoniła si i dygn ła, a diakon wyci gn ł r k .

- Milordzie.

- Diakonie Welland. Panno Cannon. Witam w Opactwie Penhollow. - Kane spojrz ał na kuzyna i dorzucił chłodnym tonem: - Oswaldzie.

- Kuzynie. - Oswald postanowił nie zwraca uwagi na to niezbyt serdeczne przyj cie. Prawd mówi c, u miechn ł si szerzej. - Przybyli my tu, poniewa dowiedzieli my si o wypadku panny Lambert. Mówiłem jej w ła nie, jakie miała szcz cie, e prze yła, kiedy tak wielu innym to si nie udało.

Młody diakon, zakłopotany jego sugestii , szybko wtr cił:

- Mo e pan sobie wyobrazi nasz rado , kiedy znale li my pann Lambert w tak dobrym zdrowiu.

Edwina stała z boku, zdegustowana tym, e to Bethany skupia na sobie uwag zebranych. Nagle z promiennym u miechem zwróciła si do Oswalda.

- Powiemy im nasz nowin , najdro szy? Niedbale wzruszył ramionami.

- Skoro sobie ycysz.

Rozejrzała si po zebranych, prawie dr c z podniecenia.

- Oswald i ja w przyszłym miesi cu bierzemy lub w jego londy skiej rezydencji.

- Tak szybko? - Pani Coffey uniosła brwi. - Co my li o tym twoja matka, Edwino?

- Mama jest zachwycona. Oczywi cie wybierze si na uroczysto za lubin. Oswald zapewnił nas, e b dzie mnóstwo miejsca dla go ci. - Zwróciła si do lorda. - Na pewno pan równie zechce zaszczyci sw obecno ci lub kuzyna, milordzie.

Kane zerkn ł na Oswalda.



- Nie wiem, czy za miesiąc nadal tam będzie, bo jeszcze dziś wybieram się do Londynu.

- Do Londynu? - Bethany poczuła nagły chłód. - Kiedy... pan to postanowił?

- Dzisiejszego ranka.

Tego ranka. Jednak kiedy byli sami, nie wspomniał ani słowem o swoich zamiarach. Zabołała jej wiadomo, że to przed nią zamilczał.

Z trudem zachowała spokój.

- Kiedy wraca pan do Kornwalii?

Zmusił się, by na nią spojrzeć. Ból i zakłopotanie w oczach Bethany rozdzierały mu serce, ale udało mu się nie pokazać po sobie żadnych emocji.

- Nie wiem. Pozostał w Londynie tak długo, jak będzie tego wymagały moje interesy.

Spostrzegł drżenie jej warg i poczuł do siebie nienawiść. Ze wszystkiego na świecie pragnął najbardziej móc dopuścić Bethany do tajemnicy, ale nie miał czasu na wyjaśnienia.

Czas. Kane odnosił wrażenie, że zawsze działał przeciwko niemu.

Kiedy Huntley oznajmił, że karetka zajęła, wyszedł na dziedziniec pierwszy, a za nim reszta zebranych.

Młody diakon i Oswald usiedli w powozie Edwiny, a Huntley pomógł rodzinie Lambertów usadowić się w karetce lorda.

Bethany stała obok karety szarpana różnymi emocjami, za wszelką cenę nie chcąc stracić nad nimi kontroli.

Kane czuł się tak, jakby zadano mu cios prosto w serce. Ponieważ wiedział, że wszyscy na nich patrzą, uniósł dłoń Bethany i lekko dotknął jej wargami, po czym cofnął się o krok.

- Tak wiele chciałbym ci powiedzieć, najdroższa, ale nie mogę. Teraz pozostało mi tylko życzyć ci spokojnej drogi do domu.

- Dziękuj, milordzie.

Fakt, że zwróciła się do niego tak oficjalnie, świadczył, że to, co zostało im dane, co rzadkiego i cennego, było zagrożone. Teraz jednak nie mógł nic na to poradzić. Odsunął się na bok. Huntley pospieszył Bethany z pomocą. Po chwili woźnica zaciął lejce.

Bethany wpatrywała się przed siebie. Nie chciała odwrócić głowy i spojrzeć na Kane'a w obawie, że gdyby to zrobiła, mogłaby się załamać i wybuchnąć płaczem. Duma nakazywała jej wytrwać. Przynajmniej dopóki nie znajdzie się sama w zaciszu swojej sypialni.

Co do Kane'a, zczekał, aż obydwa powozy znikną w głąb długiego, krętego podjazdu. Potem odwrócił się i wydał słuchaczom ostatnie polecenie przed wyjazdem z Opactwa Penhollow.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Po wyjeździe Kane'a do Londynu Bethany rzuciła się w wir pracy. Nie знаła lepszego lekarstwa na ból. Rozliczne zajęcia, których się podejmowała, pozwalały jej chociaż na chwilę zapomnieć o doznanym rozczarowaniu. Zastąpiła Darcy na pokładzie „Nieustraszonego”, przewożąc towar na wybrzeża Walii. Nieopodal wybrzeża miała potyczkę z piratami, którzy wkrótce, uwiadomiwszy sobie, że napotkali lepszych od siebie, wycofali się w popłochu. W drodze powrotnej Bethany i jej załoga zmagali się z burzami i wzięli na pokład rozbitków z tonącego okrętu. Teraz „Nieustraszonego” stał, niestety, na kotwicy przy brzegu w oczekiwaniu na kolejne zlecenie przewożenia towaru.

Bethany niestrudzenie poszukuj ca jakiegokolwiek zaj cia, które wypełniłoby jej czas, postanowiła załadowa wóz podarkami dla Jenny Pike i jej podopiecznych i pojecha do Mead. Taka wyprawa powinna ukoi ból w sercu.

Darcy zapukała i weszła do sypialni siostry.

- Winnie powiedziała, e masz wróci na tyle wcze nie, by zd y na dzisiejsze czytanie psalmów na plebanii.

Bethany skrzywiła si .

- Mam wra enie, e dzi wieczór b dzie mnie bolała głowa.

- Je li powiesz to Winnie, pomy li, e masz nawrót choroby i wy le Newta do zielarki po jak mikstur . Wiesz, jak si nad tob trz sie.

- Tak. - Bethany z westchnieniem wzi ła szal i ruszyła w kierunku schodów. Nagle ol niła j pewna my l. - Zrobi inaczej, pójd na plebani ju teraz.

- Oszalała ?! - Darcy szła za ni z oczami rozszerzonymi z niedowierzania. - Po co?

Bethany tylko si u miechn ła. Wychodz c z domu, zatrzymała si w progu i ucałowała star niani w policzek.

- Za co to? - Zachwycona panna Mellon przyło yła dło do twarzy.

- Za to, e przypomniała mi o czym , co uleciało z mojej pami ci.

Dziewczyna tanecznym krokiem zesła ze schodków i wdrapała si na twarde siedzenie wozu. Ujmuj c lejce, zawołała:

- Powiedz pani Coffey, eby nie czekała na mnie z kolacj ! Zjem z pann Pike i jej podopiecznymi.

- Jak to dobrze, e zastała mnie pani na plebanii, panno Lambert. - Młody diakon siedz cy obok Bethany sprawiał wra enie z lekka oszołomionego. Nie co dzie zdarzało si , by pi kna młoda kobieta zaje d ała na plebani i zapraszała go na

przejdą. A już zwłaszcza jedna z urodzanych sióstr Lambert.

Od dawna pozostawał pod ich urokiem. Szczególnie podobała mu się Bethany. Nie tylko z powodu urody, ale również niespożytej energii. Od czasu do czasu przemysłował nawet nad tym, czy nie zaczął się o nią starać, chociaż już dawno temu zdał sobie sprawę, że zupełnie do siebie nie pasuje. Kobieta pokroju Bethany Lambert nigdy nie zadowoliliby się z roli zwykłego wiejskiego pastora. Miała w sobie jak iskrę. Iskrę, która z łatwością mogłaby buchnąć płomieniem, zasnuwając niebo.

Bethany ujęła leżące przed nią okulary i zerknęła na Wellanda.

- Czy pastor Goodwin mówił panu, kiedy może pan spodziewać się wywiadczenia?

Splonął rumieciem.

- Miałem nadzieję, że do tego czasu będzie miał to za sobą i może dostanę jaką parafię w okolicy. Ale pastor Goodwin uważa, że jestem o wiele użyteczniejszy w Lands End jako jego pomocnik. Ponieważ sam nie zamierza zrezygnować ze swojej funkcji przynajmniej przez najbliższe dziesięć lat, nie widzi potrzeby, by się spieszyć z moimi wywiadczeniami. Nawet nie rekomendował mnie biskupowi.

- Nie martwi to pana?

- Nie do mnie należy podawanie tego w wiadomości. Na wszystko przyjdzie pora, kiedy Bóg uzna to za stosowne, panno Lambert.

- A gdyby dowiedział się pan, że niedaleko stąd jest uboga, mała wioska pozbawiona opieki pastora? Czy wówczas ubiegałby się pan o przyspieszenie wieści, by służyć tym ludziom?

Rozłożył ręce.

- Zapewne bym tak postąpił. Jestem głęboko przekonany, że najlepiej zawierzyć wszystkie potrzeby naszemu Wszechmogącemu Stwórcy, panno Lambert. Jeśli

mam opuścić Lands End, tak się z pewnością stanie. Jeśli nie, jestem gotów zostać tu do końca swoich dni jako pokorny pomocnik pastora.

- A co z on i dzie mi? Nie myśli pan o założeniu rodziny? - spytała spontanicznie, zanim uwiadomiła sobie własną obcesowość.

Odczekał chwilę, po czym spojrzał na Bethany, nie wierząc własnym uszom. Jego twarz i szyja oblały się szkarłatem.

- Czy... czy pani ma na myśli siebie, panno Lambert?

Na widok zakłopotanej miny diakona omal nie wybuchnął miechem. Szczególnie zdołała się jako pohamować.

- Nie. Prosz mi wybaczyć miało, panie Welland. Chodziło mi tylko o to, że raczej trudno panu myśleć o swej przyszłości jako głowy rodziny, póki nie wyjdzie pani za siebie jako pastora.

- Zdam sobie sprawę, że wiele kobiet zawahałoby się przed wstąpieniem w związek małżeński z duchownym. A już zwłaszcza takim, który nie zabiega o rzekdy w jednej z tych wspaniałych katedr, tylko wolałby zostać pastorem w ubogiej wiosce. My, słudzy boży, jesteśmy przecie zależni od łaskawości naszych parafian. Postanowiłem kierować się głosem serca, panno Lambert, i ufam, że na swej drodze spotkam kobiety, których serce będzie biło w zgodzie z moim.

Na długi czas zapadło milczenie. Bethany zastanawiała się nad tym, co powiedział. Jakże chciałaby mieć jego wiary. Wprawdzie udawało jej się wypełniać dni rozlicznymi zajęciami, ale noce były niemal nie do zniesienia. Zawsze dźwięczały jej nieproszone myśli o lordzie Alsmeece. Nawiedzały ją wizje jego życia w Londynie w otoczeniu wyrafinowanych kobiet, doskonale wiedzących, jak uwieść i zadowolić mężczyznę. One z pewnością nie narzucałyby się niechcącemu partnerowi i nie błagały go o to, by je wziął. Zakończymy razem,

kiedy przypominała sobie, jak zachowała się tamtej nocy, ogarniał ją wstyd. Nic dziwnego, że Kane w takim po piechu opuścił Kornwali i powrócił do miejsca, które prowadził w Londynie.

Bez słowa wyjechała.

To bolało najbardziej. Zostawił ją bez jednego słowa.

- Nie wydaję mi się, abym kiedykolwiek był w tych stronach, panno Lambert. Dokąd zmierzamy?

Otrząsnęła się z niepokojących myśli.

- Do Mead. To mała wioska rybacka.

Kiedy wóz wtoczył się na wzgórze, wskazała ręką widoczną w oddali przystań pełną łodzi.

Wkrótce mogli rozróżnić siedzących w słowcu rybaków zajmujących naprawy sieci, a także kobiety i dzieci sortujące połów.

- Skąd pani wie o tej miejscowości?

Zaciekawiony Ian rozglądał się wokół, podczas gdy Bethany wjechała na wyskroś drogę, wijącą się przez rodek osady.

- Przywiózł mnie tu... przyjaciel.

- Czy ten przyjaciel tak jest tutaj?

- Nie. Znalazłam w Mead nowych przyjaciół. Wiozę im trochę prezentów.

Zerknęła na paczki na wozie.

- Zamierzałam pani o nie spytać. Czy to jakaś specjalna okazja?

- Nie. Choćka dydziej spędzany w ich towarzystwie jest niezwykle. - Uśmiechnęła się. - Nie ma w tym żadnej tajemnicy. Wkrótce sam pan zobaczy. - Kiedy przejeżdżał obok starego kościoła, na twarzy łana dostrzegła zaciekawienie.

- Co to?

- Kościół w Mead. Tak dawno jest bez pastora, że popadł w ruinę.

Przeniósł wzrok na budynek nieopodal kościoła, tu przy krtej drodze.

- Jak to mo liwe? Wygl da na to, e na plebanii kto mieszka.

- Tak. Moi przyjaciele. - Zatrzymała konia.

Natychmiast usłyszeli dobiegaj ce ze rodka krzyki. Po chwili drzwi otwarty si na o cie i wysypała si z nich gromada dzieci, a w progustan ła Jenna Pike.

- Panna Lambert. - Jenna wycierała r ce o fartuch, który opasywał jej smukł kibi . Na policzku i na nosie miała lady po m ce, nieomylny znak, e wła nie piekła chleb. Kosmyki włosów wysun ły si z w zła na karku i opadły w wilgotnych lokach na policzki.

- Witam, panno Pike. - Bethany zeskoczyła na ziemi i natychmiast została otoczona przez dzieci, które wierciły si jak szalone. Kiedy ju je wyciskała i wycalowała, powiedziała: - Chciałabym, eby poznała pani naszego diakona, Iana Wellanda. Ianie, to panna Jenna Pike.

- Panno Pike. - Ian zszedł z wozu i wyci gn ł r k . Potem popatrzył na gromad dzieci, które wspinały si na tył wozu, z wypiekami na twarzy wpatruj c si w pakunki. - To pani dzieci?

- Tak.

- Ale jak to mo liwe? Na pewno nie ma pani wi cej ni szesna cie lat.

Roze miała si .

- Prawd mówi c, mam blisko dwadzie cia. A te dzieci nie s moje w dosłownym sensie. Nie urodziłam ich. Tym niemniej do mnie nale . To miejscowy sierociniec. Stworzyła go moja matka, a ja go po niej przeję łam.

Diakon zrobił zdziwion min , a kiedy u wiadomił sobie swój bł d, zacz ł si u miecha . Jenna odwróciła si do dzieci.

- Spokojnie. Zachowujcie si grzecznie.

- Prosz tylko spojrze , panno Pike. - Noah trzymał wiadro z rybami. - Jest ich tak wiele, e nie potrafi policzy .

- Złowiły my je dzisiejszego ranka, ja i moja siostra. B dzie z nich smaczna kolacja. A nasza gospodyni przysła kilka słoików konfitur owocowych i troch pysznego puddingu chlebowego. Panna Mellon robi dla was wszystkich swetry na drutach. Dzi przywiozłam tylko pi , ale powiedziała, eby cie si nie martwili, bo reszta b dzie gotowa przed pierwszymi mrozami.

- Och, panno Lambert. - Jenna podeszła bli ej i wzi ła j za r k . - To stanowczo za formalny tytuł, odk d stała si pani nasz dobr przyjaciółk . Mog zwraca si do pani po imieniu, Bethany?

- B dzie mi bardzo miło. A ja b d mówi do ciebie Jenna.

- Bethany, jak mamy ci dzi kowa ?

- Nie chc waszych podzi kowa . Chc tylko ujrze twarze dzieci, kiedy zobacz , co jeszcze przywiozłam.

- Co? Co? - Dzieci ta czyły wokół niej, a zacz ła si mia . - Zgoda. Nie b d was trzyma dłu ej w niepewno ci. - Wskazała tajemniczy pakunek owini ty w koc i kawał płótna ze starego agła. - Wnie cie to do domu, a potem odpakujecie go wszystkie razem.

Dzieci pracowały rami w rami . Szybko zdj ły przedmiot z wozu i wniosły do rodka, a doro li pod yli za nimi.

Gdy szli przez dom, łań przygl dał si l ni cym oknom, wie o zamiecionym podłogom, których wygl d poprawiały rozrzucone tu i ówdzie dywaniki domowej roboty.

W du ej, pachn cej chlebem kuchni Jenna powiedziała:

- Prosz , siadajcie. Zaparz herbat i zjemy troch chleba z konfiturami.

Go cie zasiedli przy drewnianym stole. Wówczas starsze dzieci odsun ły si i pozwoliły najmłodszym odpakowa tajemniczy przedmiot. Kiedy ukazał si oczom zebranych,



dzieci zamilkły, oszołomione, a Jenna Pike podeszła bliżej i dotknęła go niemal z czcią.

- Och, Bethany. Harfa.

- Tak. Należała do mojej dawno zmarłej matki. Niestety, jedna z nas nie umie grać. Przez te wszystkie lata harfa obrastała kurzem na strychu. Pomyślałam, że moja matka byłaby bardzo szczęśliwa, wiedząc, że ktoś kocha ten instrument tak jak ona.

- Ale skąd wiedziała?

- Noah opowiedział mi o twoim poświęceniu.

Oczy Jenny napełniły się łzami. Wyciągnęła rękę i nie miała dotknąć strun. Potem, mrugając, by odpłynąć, usiadła, objęła harfę i zaczęła grać. Dzieci zebrały się wokół, zasłuchane w melodyjną muzykę, spływając spod palców ich opiekunki. Gdy pieśń dobiegła końca, zaklaskały i wołały o więcej.

- Zupełnie jakby anioły - zauważył Noah, zachwycony i zdumiony zarazem.

- Tak. Anioły. - Pozostałe dzieci zataczyły wokół Jenny, namawiając ją do zagrania kolejnego utworu.

W sumie zagrała więcej niż pół tuzina pieśni, przede wszystkim hymnów i kołysanek. Dzieci i goście byli oczarowani. Bethany zerknęła na twarz Iana. Nie dało się nie dostrzec, że jest bez reszty zafascynowany tym czarującym istotą.

W końcu Jenna uniosła dłonie do góry.

- Do teraz. Czas na herbatę. - Podeszła do kuchni, napełniła trzy kubki, wróciła do stołu i usiadła obok Bethany. Jej oczy lśniły. - Nie wiem, w jaki sposób ci się odwdzięczyć.

- Nie mów takich rzeczy. Robisz tak wiele. Ciesz się, że mój mały podarek sprawił ci tyle radości.

- Mały podarek? - Jenna pokręciła głową. - To najpiękniejsze, co dla mnie kiedykolwiek zrobiono.

- Zastługujesz na wiele u miechów losu. - Bethany popijała herbatę, a kiedy mała dziewczynka pocięła za jej

spódnic , wzięła dziecko na ręce i przytuliła do piersi, podsuwając małej kawałki chleba z konfiturami i czując herbatę z własnego kubka, Ian zwrócił się do Jenny.

- Panno Pike, czy miałaby pani coś przeciwko temu, bym przeszedł się do kocią?

- Ale nie. Drzwi się trochę zacinają, ale jeśli pchnie je pan ramieniem, powinny ustąpić.

Bethany uniosła głowę.

- Może wybierzesz się z naszym gościem, Jenno. Ja tymczasem zostanę tu z dziećmi.

- Nie sprawi ci to kłopotu?

- Adnego.

Po ich odejściu zebrała dzieci wokół siebie.

- Dobrze. Teraz, skoro już wypiliśmy herbatę, możemy się w chowanego. Ja zostanę tutaj, a wy się w tym czasie pochowacie. Zwołam, zanim zaczną was szukać.

Dzieci, piszcząc radośnie, pędem wybiegły z kuchni. Czekała, aż znajdzie jakieś kryjówki, zbliżyła się do okna i patrzyła, jak postacie Iana i Jenny znikają w starym kociu.

Odwróciła się, gotowa do zabawy. Na twarzy miała pełen zadowolenia, wiele mówiła im.

- Dziękuję pani za ten dzień, panno Lambert. - Po powrocie na plebanię Ian zsiadł z wozu, po czym zatrzymał się i uniosł głowę, osłaniając oczy dłońmi przed zachodzącym słońcem. - Panna Pike to niezwykła młoda kobieta.

- To prawda. Gdy tylko ją ujrzałam, wiedziałam, że jest kim szczególnym. I byłam pewna, że pan podzieli moje uczucia.

- Tak się stało. Uważam, że Mead to naprawdę cicha wioska. Nie potrafi porzucić myśli o tym intrygującym starym kociu. - Popatrzył na nią i uśmiechnął się. - Pani też jest niezwykła, panno Lambert.

Roze miała się tylko i ujęła lejce.

- Zobacz pani dzi wieczorem na czytaniu psalmów?! - zawołał jeszcze.

- Bez wątpienia! - odrzyknęła przez ramie. Oczywiście, jeśli panna Mellon przeprowadzi swoją wolę.

Pocieszała się jedynie myśl o tym, że zaraz po powrocie z plebanii doświadczy Lacey i wybierze się na długą nocną przejażdżkę po plaży, by wybić sobie z głowy pewnego mężczyznę, którego nie potrafiła zapomnieć.

Kane stał samotnie na dziobie swego statku wpatrzony w baldachim gwiazd nad głową. Dni i noce spędzone w Londynie zlały się w jeden ciąg urzędowych spotkań z bankierami. Z prawnikami. Nawet z burmistrzem Londynu, którego ludzie towarzyszyli mu do Kornwalii z rozkazem pojmania Oswalda Prestona.

Miał pełną wiadomość tego, że sprawa jest daleka od rozwiązania. Ale przynajmniej zrobił pierwszy krok na drodze oczyszczenia swego imienia i ukarania człowieka, który przysporzył mu tak wiele bólu.

Kiedy na horyzoncie pojawiło się wybrzeże Kornwalii, poczuł, że wstępuje w niego nowy duch. Wyjechał w takim poście. Biedna Bethany. Pewnie uznała go za szalonego. Może rzeczywiście tak się zachował. Teraz miał wrażenie, że wynurza się z mgły. Postanowił znaleźć jakiś sposób, by jej wszystko wynagrodzić.

Statek skierował się ku przystani. Kane i jego towarzysze wsiadli do szalupy i dotarli do nadbrzeża. Na przystani przez chwilę cicho rozmawiali, potem ucałowali sobie dłonie i ruszyli własnymi drogami. Myśleli o domu panny Edwiny Cannon w poszukiwaniu Oswalda Prestona. Kane do Mary Castle, gdzie zamierzał błagać Bethany o wybaczenie i spróbować wszystko naprawić.

Bethany nacięła sobie suknię, która służyła jej do nocnych przejażdżek. Czytanie z Księgi Psalmów było, dzięki

Bogu, krótkie. Kilka dam nie omieszkało zauważyć, że przy urywkach z Pieśni Salomona młody diakon sprawiał wrażenie wyjątkowo przejętego. Zupełnie jakby zwracał się do kochanki. Zaraz na początku dyskusji wywołano go z kościoła, żeby porozmawiał z jakimiś nieznajomymi mężczyznami. Po powrocie sprawiał wrażenie dziwnie roztargnionego i wkrótce potem do niespodziewanie po niego się ze wszystkimi. Ze wszystkimi, z wyjątkiem Edwiny i jej matki. Poprosił obydwie damy o pozostanie i rozmowę z nieznajomymi.

Bethany nie czekała, żeby się dowiedzieć, o co chodzi. Spieszyła się do domu. Nareszcie była wolna. Mogła wybrać się na przejażdżkę na Lacey po plażę i zapomnieć o całym świecie. Przewięzała włosy wstążką na karku. Czy kiedykolwiek będzie w stanie spojrzeć na pociemniałe niebo i nie myśleć o swoim Władcy Nocy?

- Och, Kane - westchnęła cicho.

Uklękła przy oknie i oparła podbródek na rękach. W sercu czuła znajomy ból. Nagle poderwała głowę. Czy to może być liwe? Zamrugnęła i wbiła wzrok w ciemność.

Na plażę dostrzegła jeźdźcę na koniu. W drgającej mglenie nadciągał z nad wody wyglądał jak widmo.

Jeździec uniósł głowę. Bethany wydało się, że spojrzał w okna MaryCastle i kogoś w nich wypatruje.

- Wróciłem.

Z radosnym uśmiechem wybiegła z sypialni, niemal sfrunęła ze schodów i popadła do stajni. Nie zwracała sobie głowy siodłaniem konia. Skoczyła na grzbiet Lacey i wczepiła dłonie w jej grzywę.

- Jazda, staruszko!

Klacz, wyczuwając jej podniecenie, uskoczyła na bok, po czym pomknęła jak strzała. Po paru minutach znalazły się na plaży.

- Kane! - Bethany przytuliła zwinie dłonie do ust, by jej głos lepiej się niósł. - Zaczekaj na mnie!

Je dziecko zatrzymał konia, zawrócił go i obserwował zbliżając się do amazonki.

Roze miano, pochyliła się nisko nad koniskim karkiem i gnała ile sił. Znalazłszy się przy czarnym jeźdźcu, zawołała:

- Wiedziałam, że wrócisz do Kornwalii! Kochasz to miejsce tak samo jak ja. Przyznaj to! Po prostu nie mogłem wytrzymać z dala od nas.

- Tak, moja słodka Bethany. Przyznaj, nie mogłem nie przybyć. Przyjechałem po ciebie, ale nawet nie marzyłem o tym, że okaże się to tak łatwe.

Szybko wyciągnął rękę i uwił jej nadgarstek. Na próżno usiłowała się wyrwać.

- Co...? - To nie strach, powiedziała sobie. To był cznie zaskoczenie. Oblizła wyschnięte wargi i spróbowała jeszcze raz. - Co tu robisz, Oswaldzie?

- Przyjechałem z tobą jeździć.

Ponownie spróbowała wyrwać się z jego uścisku i ze zdumieniem skonstatowała, że stał się bardziej brutalny. Przemówiła lodowatym tonem:

- Ja... nie mam ochoty nigdzie z tobą jeździć. Puść mnie natychmiast.

Uśmiechnął się zimno.

- Obawiam się, że to niemożliwe. - Wyjął z kieszeni jakiś przedmiot, którym machnął jej przed oczami.

Otworzyła je szerzej, rozpoznając nó.

- Nie będziesz potrzebowała swego konia. Ty i ja dojedziemy tylko do waszej łódki.

- Do łódki?

- Tak. - Odchylił głowę do tyłu i Roze miał się. - Musz uciec z Lands End, a ty podsunęła mi idealny sposób ucieczki. Twój statek.

- Ale do czego ja ci jestem potrzebna?

- Bo wówczas mój kuzyn uda się za nami w pogonę. A kiedy to zrobi, ty posłużysz mi za tarczę.

- Tarczę?

- Bóg trzymał ci ten nóż na gardle, moja słodka. Kiedy Kane to zobaczy, z pewnością ci odłóży broń i zrobi, co mu każe.

- Posłużyłbyś mi, by zastawić pułapkę na Kane'a? Nigdy w życiu! - Zamachnęła się wolną ręką i w tej samej chwili wbiła piętę w boki Lacey. Klacz z miejsca poderwała się do biegu.

Bethany dobiegały siarczyste przekleństwa Oswalda, który zmuszał swego wierzchowca do galopu. Obydwa konie gnały przez fale przybrzeżne. Zaryzykowała szybkie spojrzenie przez ramię i zobaczyła, że koło Oswalda jest tu -tu.

Zjechała z płaszczyzny, cały czas trzymając się kurczowo grzywy Lacey. Kiedy dotarła na wzniesienie, w plecy uderzyło ją coś ciężkiego. To Oswald przeskoczył ze swego konia na jej klacz. Wytężyła cały swój jeździecki kunszt, aby nie dać się zrzucić na ziemię. Wtem jej szyję otoczyło masywnymi ramionami i poczuła dotknięcie ostrza.

- Zatrzymaj konia, moja słodka. Inaczej poderwnię ci to liczne gardło.

- Nigdy się nie poddam.

- Ale zrobisz to. - Naciskał dotychczas, a poczuła ostry ból i ciepło krwi ciekającej po staniku sukni. - Zatrzymaj konia.

- L... Lacey - ledwie wydobyła z siebie głos, dławiona naciskiem noża. Na jej polecenie koń przeszedł w stopa, po czym stanął.

Oswald odchylił głowę Bethany z taką siłą, że łzy zakrzyły jej w oczach.

- Teraz, kobieto, zrobisz, co ci każę.

- Nie. - Uderzyła go łokciem w brzuch. Krzyknął z zaskoczenia i bólu, ale zamiast zrzucić go z konia, tylko go rozwańczyła.

Miotając przekleństwa, przejechał nosem po jej ramieniu, a zasyczała z bólu. Krew popłynęła strumieniem. Oswald kolejnym brutalnym szarpnięciem znowu odchylił głowę Bethany i przystawił jej nóg do gardła.

- Chciałem, by wiedziała, że mój nóg jest ostry jak brzytwa. Następnie razem nie będą się powstrzymywać. Jeśli natychmiast nie przestaniesz, odetnę ci głowę i wrzucę do morza. Ryby będą miały prawdziwą ucztę.

Po sposobie, w jaki wypowiadała każde słowo, nietrudno było się domyślić, że jest teraz załepiony w ciekło ci. Nic go nie powstrzyma. Kiedy znieruchomiała, ciągnął ją z konia i powłókł przez piach do swego wierzchowca, który prychnął i rzucał łbem. Związał ją ręce, wspiął się na siodło i wziął ją w ramiona. Zadrżała, kiedy dłoń dotknęła jej piersi. Tylko się rozejmiał, a potem skierował konia w fale przybrzeżne.

Gdy zmierzali w stronę widocznej w oddali łódki, wysyczał do jej ucha:

- Teraz zemścisz się na swym znieawidzonym kuzynie. A ty, moja słodka Bethany, będziesz tu, która zapewni mi sukces.

Kane zbliżył się do MaryCastle. Tylko w paru oknach wieciały się wiatła. Najwyraźniej Lambertowie udawali się wcześniej na spoczynek. Ubolewał, że będzie musiał zakłócić im sen. Ale sprawa, z którą przybył, nie mogła czekać do jutra. Musiał widzieć się z Bethany jeszcze dziś i jak najprędzej wyjawić swoje postanowienie. Zsiadł z konia, wbiegł po schodach i zapukał do drzwi. Po długim oczekiwaniu usłyszał odgłos zbliżających się kroków.

- Milordzie. - Pani Coffey w szlafroku narzuconym po piesznicy na koszulę nocną spojrzała na niego niepomiernie zdumiona. - Nie oczekiwaliśmy pańskiej wizyty. Sądziłyśmy, że przebywa pan w Londynie.

- Właśnie stamtąd wracam. Proszę wybaczyć to wtargnięcie, pani Coffey. Nie miałem czasu zapowiedzieć się z wizytą. Muszę rozmawiać z Bethany, i to natychmiast.

- Pan wybaczy, ale to niemożliwe. - Starsza pani wyprostowała się sztywno, zdecydowana bronić zasad etykiety bez względu na okoliczności. - Zaraz po powrocie z plebanii udała się do swojej sypialni. A reszta domowników również jest już w łóżkach.

- Zdam sobie sprawę z dopóki jej pory. Ale muszę jej coś wyjawić. To... sprawy najwyższej wagi. - Widząc, że gospodyni się waha, postanowił to wykorzystać. - Wyjechałem tak nagle. Bethany jest przekonana, że spowodowało to coś, co powiedziała bym zrobiła. Zapewniam pani, pani Coffey, gdy tylko usłyszysz moje wyjaśnienie, jej troski znikną.

Starsza pani wciąż się wahała, ale z wnętrza domu dobiegły głosy. Uniósł głowę. Po schodach schodziła Darcy, a za nią pod ścianą dziadek i panna Mellon.

- Proszę, Darcy. Błagam. Obudź swoją siostrę i powiedz jej, że muszę z nią natychmiast mówić.

Darcy spojrzała na dziadka i z powrotem przeniosła wzrok na mężczyznę, który przyczynił jej siostrze tyle niepokoju. Podjęła decyzję w ułamku sekundy.

- Dobrze, milordzie.

Odwróciła się na pięcie i znikła, zanim dziadek zdążył zaprotestować. Po paru minutach zbiegła po schodach.

- Nie ma jej w sypialni. - Widząc niepewne spojrzenia reszty rodziny, dodała: - Bethany czeka na ciebie dzisiaj noc po południu, milordzie.

- Tak. Naturalnie.

Już był przy drzwiach, kiedy na dworze rozległ się głos Newtona. Stary krzyczał tak głośno, że i umarłego podniósłby na nogi.



Kane ruszył naprzód, reszta za nim. Dobiegli do stajni, gdzie zastygli w bezruchu na widok starego marynarza, który próbował uspokoić dracę Lacey.

- Co się stało, Newt? - spytał Kane. - Co się tu stało?

Twarz starego marynarza skurczyła się w przerażeniu i gniewie.

- Właśnie wracałem z gospody we wsi, gdzie usłyszałem wielki niepokój o historię. Zdaje się, że kilku dżentelmenów z Lands End zostało napadniętych i obrabowanych przez Władcę Nocy.

Kane zmrużył oczy.

- Skąd wiesz, że to on?

- Po rabunku im się przedstawił. A kiedy jeden z nich próbował stawiać opór, postrzelił go.

- Czy ten mężczyzna... nie żyje? - spytał, bojąc się odpowiedzi.

- Nie, milordzie. Będzie żył. Ale przestępcą sprawiał wrazenie, że pilno mu ruszać w dalszą drogę. A teraz, gdy odkryłem to, obawiam się najgorszego, jeśli chodzi o naszą dziewczynkę. - Starszy człowiek wskazał co. - Proszę popatrzeć, milordzie.

Kane wyciągnął rękę i przejechał dłonią po kościwej grzywie, a potem popatrzył na krew, która zaplamiła jego palce. Na ten widok pozostali aż struchleli.

- Spadła! - zawołał Geoffrey.

Kane pokręcił głową.

- Gdyby tak się stało, krew byłaby nie na grzbiecie konia, ale raczej na piachu. Widziałe, skąd przybiegła Lacey, Newt?

Starszy mężczyzna odwrócił się i wskazał na plamę.

- Stamtąd, milordzie.

- Mylił pan, że porwał ją Władca Nocy? - spytała Darcy.

Kane poczuł, jak wokół jego serca zaciska się zimna obręcz.

- Nie wiem, ale zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby przywieść cię do domu cała i zdrowa. Daj mi na to moje słowo. - Ruszył biegiem do swego ogiera, którego przywiózł do ganku.

Po chwili kołata czył, wzbijając tuman piachu i pomknął na plażę. Zebrani patrzyli w ślad za nim. Wreszcie Geoffrey odwrócił się i ruszył ku domowi.

- Co zamierzasz, dziadku?

- Idź sobie ubrać. Myślisz, że powinniśmy cię zrobić to samo.

- A potem ruszymy na poszukiwanie Bethany?

Starszy pan nawet nie zwolnił kroku.

- Tak. Czy to ląd, czy morze, zasada jest ta sama. Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego. Czas ruszać do walki. - Newt! - zawołał przez ramiona - osiodłaj kilka koni. I przygotuj powóz dla pani Coffey i Winnie.

- Tak, kapitanie.

Stary marynarz wsunął nóż za pas, a drugi do długiego buta, po czym zaczął wyprowadzać konie z boksów i siodła je najszybciej, jak mógł.

Bethany leżała na pokładzie „Nieustraszonego”, próbując wyzwoleć się w wiązów krępujących jej nadgarstki i kostki u nóg. Oswald był zajęty podnoszeniem kotwicy i stawianiem agli. Ich widok na tle ciemnego nieba sprawił, że odzyskała zimną krew. W końcu to jej statek. Znała tu każdy zakątek. Wcześniej czy później znajdzie sposób, by wykorzystać tę wiedzę przeciwko temu szalecowi.

Uświadomiła sobie, że jeśli chce grać na zwłok, musi wciągnąć go w rozmowę.

- Dlaczegoś dzisiaj, że twój kuzyn ruszy mi na ratunek?

- Nie udawaj, e nie wiesz, co Kane do ciebie czuje. Jest o wiele za szlachetny, by sta z boku i patrze na mier kobiety, któr kocha.

- Kobiety, któr kocha. mieszne. Przecie jest w Londynie, zdecydowany trzyma si ode mnie tak daleko, jak tylko si da.

- Je li w to wierzysz, jeste głupia. Mój kuzyn pojechał do Londynu, bo odkrył, e na jego kontach brakuje znacznych kwot. Wła nie wrócił z ołnierzami, którym rozkazy wydał sam burmistrz Londynu.

- Wrócił? - Serce o mało nie wyskoczyło jej z piersi. Musiała powstrzyma łzy, które nagle napłyn ły do oczu. - Sk d to mo esz wiedzie ?

- ołnierze burmistrza przyjechali po mnie do posiadło ci Edwiny Cannon, ale jej pokojówka, która wła nie zd yła opu ci dzielone ze mn ło e, zataiła przed nimi moj obecno .

Biedna Edwina, pomy łała przelotnie Bethany. Zawsze przyci gali j nikczemnicy o podłych sercach.

Oswald patrzył na wzdymaj ce si agle. Fale uderzyły o kadłub i zacz li płyn w ród mielizn. Uj ł ster.

- Byli zbyt blisko, jak psy my liwskie na tropie. Wiedziałem, e musz znale jaki sposób ucieczki. Chciałem by pewny, e mój szanowny kuzyn ruszy za mn , ebym wreszcie mógł si na nim zem ci . I oto pojawiaasz si ty, uroczna Bethany. Nietrudno było spostrzec, e gdziekolwiek zmierzasz, Kane idzie twoim ladem. Gdy tylko znajdzie twego konia, poruszy niebo i ziemi , by ci ratowa .

Och, gdyby to było prawd ! Bała si uwierzy , by nie do wiadczy goryczy kolejnego rozczarowania. Wierzyła za to, e rodzina wyruszy na poszukiwania. Musiała opó nia rejs tak długo, jak si da, by mieli czas na dotarcie do statku.

- Dlaczego tak bardzo nienawidzisz Kane'a? - Czują, że jej nadgarstki zaczynają krwawić, bo bezlito nie ocierała je o wiązki, usiłując się uwolnić.

- Ponieważ zabrał to, co zgodnie z prawem powinno należeć do mnie.

- Co masz na myśli?

Zakręcił sterem, unikając zagrożenia statkowi skał. Kiedy bezpiecznie przepłynęli obok nich, odwrócił się i spojrzał na Bethany.

- Kane Preston skradł mój tytuł i moje dziedzictwo.

## ROZDZIAŁ PIŃTASTY

Kane gwałcił go, wyskoczył brzegiem morza. W pewnym momencie dotarło do niego, że Oswald zostawił ją nadto wyrażony ład. Gdyby chciał uniknąć niezauważony, jechałby przez płytką wodę tu przy brzegu, gdzie fale natychmiast zmyłyby dowód jego przejazdu.

Ale ciągnął wodze, kiedy odgadł przyczynę zachowania kuzyna. Oswald chciał, żeby ruszył jego ładem. A nawet więcej. Wyzywał go, by to uczynił. Zbliżywszy się do zatoczki, w której zwykle stał na kotwicy „Nieustraszony”, Kane zauważył samotnego konia, tuż nad wodą. Podjechał bliżej i spostrzegł, że konie jest przywiązany do nadbrzeżnej skały.

Ko Oswald? Ale czemu go tu zostawił? I dokąd się udał?

Nigdzie nie widział łódki, którą załoga dostawała się na pokład statku, natomiast w oddali dostrzegł aglę „Nieustraszonego” wydymającą się na wietrze. A do jego uszu dobiegł charakterystyczny odgłos podnoszenia kotwicy.

Zeskoczył z siodła i ruszył do wody, po drodze ci gaj c kaftan i buty. Rozstał si równie ze szpad . Była zbyt ci ka i niepor czna, by z ni płyn . Co do pistoletu, ten tak e został na piasku. Z mokrym prochem i tak na nic by si zdał. Teraz jedyn broni Kane'a był zatknii ty za pas nó .

Statek kotwiczył prawie tysi c jardów od brzegu, a teraz kierował si na pełne morze. Kane był dobrym pływakiem, ale dotarcie do „Nieustraszonego” wymagało nadludzkiego wysiłku. Nawet gdyby mu si to udało, nie miałby ju sił zmierzy si z Oswaldem. Nie my lał o tym. Teraz liczyła si tylko Bethany. Gdyby było mu dane zło y swoje ycie za jej ycie, umarłby szcz liwy. Wbrew zdroworozs dkowym racjom Kane płyn ł, pruj c fale z sił zrodzon z miło ci i rozpaczy.

- Spójrz, dziadku. - Darcy zatrzymała swego wierzchowca i wskazała na dwa konie stoj ce na brzegu.

Stracili wiele cennego czasu, galopuj c brzegiem morza po ladzie zostawionym przez ogiera Kane'a. Podjechali bli ej, zaintrygowani.

- Co, do diabła... ? - Geoffrey zwrócił si do dwóch starszych pa , siedz cych wraz z Newtonem w powoziku. - Wybaczcie słownictwo. Ale gdzie si wszyscy podziali?

- Prosz spojrze , kapitanie. - Newt pokazał r k białe aagle statku, który wła nie pokonywał mielizny.

- Wielkie nieba! Czy to „Nieustraszone”?

- Tak, kapitanie.

Geoffrey Lambert wygl dał jak ra ony gromem.

- Musimy znale jaki sposób, eby popłyn za nimi.

- Prosz zostawi to mnie, kapitanie. - Stary Newton zsiadł z kozła powoziku i wskoczył na siodło konia Darcy.

Wkrótce znikł w ciemno ciach, odprowadzany wzrokiem pozostałych.

Bethany leżała z policzkiem przyciśniętym do pokładu i wsłuchiwała się w trzaski i skrzypienie drewna. To „Nieustraszony” zmagał się z falami. Choć wciśniętym wolno sunął przez płytczynny, czuła, że wiatr wypełniał pokład i statek zaczyna nabierać szybkości.

- Radzisz mi, jak się zachować? - Eglowanie po tych wodach wymaga niełatwej umiejętności.

Oswald prychnął.

- Czy byś usiłowała mnie skłonić, bym uwolnił cię z łodzi? To doprawdy głupie. Mam nadzieję, że potrafisz egłować?

Postanowiła zachować milczenie. I tak nie był w nastroju, w którym mógłby jej uwierzyć. Niewiele później Oswald gorączkowo musiał zmagać się z kołem sterowym, chcąc uchronić statek przed uderzeniem o półkę skalną do połowy skryty pod wodą.

Miotał się przy sterze jak oszalały i dyszał z wysiłku. Kiedy z takim trudem przedzierali się między wystającymi skałami, usłyszeli zgrzyt. Statek zatrzęsł się, ale popłynął dalej.

- Co to było? - Oczy Oswalda zrobiły się okrągłe z przerażenia.

- Omal nie osiedliśmy na mieliźnie. Ostrzegałam cię, ale postanowiłaś ignorować moje słowa. Te mieliżny należą do najniebezpieczniejszych na całym wybrzeżu. Moje siostry i ja znamy te wody od dzieciństwa.

Złapał ją brutalnie za ramiona, powłókł przez pokład i postawił przed kołem sterowym. Wyjął z kieszeni kaftana, przecięł sznury krępujące jej nadgarstki.

- Do roboty. Twoja w tym głowa, żeby nam się udało. - Przystawił jej pistolet do skroni. - Jeśli spróbujesz uciec, połączysz się z wodą, żebyś sobie popływała z rybkami.

- Nie mogę mieć takich kostek. Nie utrzymam równowagi.

Między plecami poczuła lufę pistoletu.

- Poszedłem na wszystkie ustępstwa, na które zamierzałem pójść. Rób tak, żeby usta na nogach, i przeprowad nas przez te mielizny albo zginiemy oboje. I wiedz jedno. Jeśli się dziemy na mieliźnie, upewni się, że nie ujesz, zanim opuszcz statek.

Bethany przylgnęła do steru. Manewrowała statkiem przez labirynt ukrytych niebezpieczeństw, z trudem utrzymując się na nogach. Kiedy usiłował przedrzeć się przez spowite mgłą ciemno ci, ona zaczęła wyczekiwać sposobności pokonania łotra, który ją pojmował. Była to jej jedyna nadzieja na przeżycie.

Do uszu Kane'a dobiegło szorowanie drewna o kamień. Domyślił się, że zbliża się do „Nieustraszonego”. Oczy piekły go od słonej wody, a ramiona miały ciężkie jak kamienie. Ale jedna myśl wyzwalała w nim nadludzkie siły. Bethany. Słodka Bethany. W rękach jego zienawidzonego kuzyna. Przedzierał się przez przetaczające się nad nim fale, siłą ducha wymuszając posłuszeństwo ciała. I choć chwilami miał wrazenie, że z każdym ruchem głębiej pogrzeba się w morzu, nareszcie ujrzał kadłub statku wynurzac się z wody tuż przed nim.

Płynął, przywołując resztki sił. W końcu spostrzegł sznurowe drabinki prawie w zasięgu ręki. Sięgnął po nie, ale wysoka fala odrzuciła go w bok. Zdesperowany, wytężył wszystkie siły, a wreszcie zdołał dopłynąć do drabinki. Tym razem udało mu się złapać dolną platformę i rozpoczął wspinaczkę. Na górze zatrzymał się, usiłując zaczerpnąć tchu. Potem wychylił się zza burty i ujrzał stojącą przy sterze Bethany.

Była sama.

Nagle rozległ się znajomy głos.

- Szukasz mnie, kuzynie?

Odwrócił głowę. Przy burcie stał Oswald z pistoletem wycelowanym w jego głowę.

- Daj mi ten nóż, który masz za pasem.

Kane podał mu nóż.

- Teraz prosz na pokład, milordzie. - Oswald z u miechem obserwował, jak Kane przechodzi przez burt i staje, ociekaj c wod . - Dogonienie nas zabrało ci sporo czasu.

- Nie ułatwił mi tego. - Kane odwrócił si ku Bethany. Widok plam krwi na staniku jej sukni sprawił, e ogarn ła go w ciekło . Zaciśn ł dłonie w pi ci. - Rozwi t kobiet i pu j wolno.

- Nie mów do mnie tym tonem, kuzynie. Dlaczego miałbym j uwolni ?

- Bo to sprawa mi dzy nami. Ona nie ma z tym nic wspólnego.

- Tak mówisz? A ja my l , e ona ma z tym bardzo wiele wspólnego. Widzisz, kuzynie, oczy ci błyszcz na jej widok. Ta kobieta jest dla ciebie niezwykle wa na. Dlatego te jest idealnym narz dziem mojej zemsty. Przecie gdybym po prostu chciał twej mierci, zastrzeliłbym ci , zanim wszedłby na drabink . Musisz poj , e to ja mam władz . - Wycelował i postrzelił Kane'a w rami .

Z ust Bethany wyrwał si krzyk. Nie mogła nic zrobi . Patrzyła bezradnie, jak Kane padł na kolana, powalony sił wystrzału. Chwycił si za rami . Krew ciekła mu mi dzy palcami.

Oswald stan ł nad nim, napawaj c si tym widokiem.

- Wolałbym, eby płaszczył si przede mn , kuzynie, jak pies ebrz cy o odpadki. Sam wiesz, e tylko to ci si nale y.

Kane zaciśn ł z by i spytał:

- Czego chcesz, Oswaldzie?

- Wszystkiego. Wszystkiego, co od pocz tku powinno by moje.

- Według moich prawników za to, co ukradł mi do tej pory, mógłby y jak król.



- A czemu nie? Gdyby nie ty, to ja byłbym spadkobiercą. Wszystkie twoje posiadłości, zwłaszcza Opactwo Penhollow, należałyby do mnie.

- Chcesz powiedzieć, że nienawidzisz go za to, że się urodził? - wtrąciła Bethany.

Oswald spojrzął na nią.

- Tak. Właśnie nie o to chodzi. Nienawidzę go za to, że przyszedł na świat. A jeszcze bardziej za to, że zaopiekowało się nim bezdzielne małżeństwo i dostał to, co zgodnie z prawem powinno należeć do mnie.

- Nie rozumiem. - Przeniósł wzrok z Oswalda na Kane'a.

- Aha. Jak widzisz, nie zwracałam sobie głowy powiedzeniem jej prawdy.

- Zrobiłbym to, gdybym miał trochę czasu.

- Och, na pewno. Może w noc po lubim, kuzynie? - Oswald, rycząc ze smutku, zwrócił się do Bethany. - Wiedziała o tym, że nie powiedział swojej wysoko urodzonej narzeczonej, że jego mamusia to jaka dziewczka, a mój wuj wziął go z przytułku i uczynił swym synem i spadkobiercą? Spadkobiercą fortuny, która prawnie należała do mnie ze względu na więzy krwi.

Bethany oniemiała. Znajda. Teraz wszystko nabrało sensu. Jego oddanie dla Jenny Pike i dzieci z przytułku w Mead. Pogarda dla bogactwa i tytułów. Tęsknota za swobodą wyboru sposobu życia. Zerknęła na nieruchomą twarz Kane'a, napiętą z bólu i gniewu. Na ten widok serce o mało jej nie pękło.

Utkwił wzrok w Prestonie.

- Ale ty jej powiedziałaś, prawda, Oswaldzie? Dobrze się bawiła, mówiła Caroline prawdę o moim pochodzeniu.

- O, tak. Powinieneś widzieć jej minę, kiedy dowiedziała się, że właśnie po lubim bierze kartę.

- Dlaczego osobiście nie wbiła jej tego noża?

Oswald rozejrzał się.

- Nie było takiej potrzeby. Sama si do tego paliła. Uwa ała, e lepiej umrze , ni zwi za si na całe ycie z m czynn , który... urodził si przez przypadek. Z kundlem. Wła ciwie wy wiadczyłem ci przysług . Po lubiła ci tylko dla twego bogactwa i tytułu.

- A teraz mnie równie zabijesz. Ale to nie przyniesie ci bogactwa i tytułu, których tak rozpaczliwie pragniesz, prawda?

- Nie. - Oswald zmru ył oczy. - Nawet kiedy ju zejdziesz mi z drogi, wszystko jest dla mnie bezpowrotnie stracone. W ramach rekompensaty dopilnuj , eby cierpiał przed mierci .

- Nie uwa asz, e zamordowanie mego ojca przyczyniło mi wystarczaj co du o cierpienia?

Oswald pobladł.

- A wi c wiesz. Jak do tego doszedł e ?

- Szpilka. Nosił j tamtej nocy, kiedy zgin ł. Gdy znalazłem jego ciało, szpilki nie było. Domy liłem si , e zabójca musiał j zabra . W ko cu władze przyznały mi racj . Wypuszczono mnie z Fleet, poniewa cała słu ba przysi gła, e byłem w domu, kiedy padł strzał. Mimo to niektórzy wci wierz , e to ja zabiłem. Gdyby nie sprzedał spinki mego ojca w tym sklepiku, nigdy bym si nie dowiedział, kto popełnił zbrodni . Ale te pewno nigdy nie przyszło ci do głowy, e odwiedz mały sklepik na wyspach Sicily, prawda?

- Nie. Ale to niewa ne. Stało si . Potrzebowałem pieni dzy.

- Zawsze potrzebujesz pieni dzy. adna suma ci nie zadowoli, Oswaldzie.

Preston machn ł pistoletem.

- Do ju powiedziałe . Le wi c cicho.

- Nie. Mam do . Zabij mnie. - Zerkn ł na Bethany trzymaj c ster. - A kiedy wyrzucisz moje ciało za burt ... - Spojrzał znacz co w kierunku relingu z nadziej , e

dziewczyna odgadnie jego zamiary. Je eli Oswald da si sprowokowa , ona zyska troch czasu na ucieczk - Nareszcie si mnie pozb dziesz, kuzynie.

- Chciałby tego, prawda? Chciałby , ebym skrócił twoje cierpienie? Wiesz, e gdyby wpadł w ten dół, który własnor cznie wykopałem, zamierzałem zostawi ci tam na wiele dni, zakrwawionego i połamanego, zanim „przypadkiem” natrafiłbym na twoje ciało. Postaram si , by twoja mier była powolna i bolesna. Skoro tamto si nie udało, wymy liłem lepszy sposób. - Zbli ył si do Bethany. - Czy to nie przyjemne? Mam swój własny statek, tak jak ty, Kane. Mego własnego kapitana. W dodatku niebrzydka z niej sztuka. Zgadzasz si ze mn , kuzynie?

Kane milczał.

Preston przyło ył pistolet do policzka Bethany.

- Pomy lałem sobie, e najlepszy sposób, by zada ci cierpienie, to powiadomi ci , e zamierzam za y przyjemno ci z twoj kobiet . Je li mnie zadowolili, zachowam j przy yciu, póki nie dopłyniemy do Hiszpanii. Mam tam przyjaciela, który prowadzi dom rozrywek. Mo e j jako wykorzysta. Co do ciebie, wrzuc twoje ciało do Atlantyku. - U miechn ł si . - Szkoda, e odkryłe , co robi . Jeszcze troch i nagromadziłbym na tyle du o, by y jak... jak mój kuzyn, lord.

- To twoja chciwo ci zgubiła, Oswaldzie. Gdyby ukradł tylko troch , mo e prawnicy by tego nie wykryli. Ale ty połaszczyłe si na tak olbrzymie sumy, e musieli si zorientowa . Zdumiewa mnie tempo, z jakim je wydawałe . Nic nie odło yłe ?

- Miałbym rezygnowa z przyjemno ci? W przeciwie stwie do ciebie, kuzynie, wci działam na pi kne, dobrze urodzone kobiety, które z rado ci b d płaci za moje... nałogi, tak długo, póki daj im rozkosz. - Spojrzał na Bethany. - Zapewniam ci , moja miła, e b dziesz wicej ni

zadowolona z moich... mskich umiejtno ci. - Wybuchn ł histerycznym, skrzecz cym miechem.

Bethany przeszył dreszcz zgrozy.

Ten człowiek to szaleniec. Nie miała co do tego najmniejszych w tpliwo ci.

Spojrzał na Kane'a, po czym zacisn ł r k na włosach Bethany i brutalnie odchylił jej głow . Widz c, e Kane usiłuje wsta , rozerwał jej sukni , odsłaniaj c czerwon pr g na szyi.

- Patrz, kuzynie, i nie łud si , e uda ci si j uratowa . Pierwsze ci cie było po to, by zada jej ból. Drugim poder n jej liczne gardziołko.

- Oszcz d j , Oswaldzie!

Na ten okrzyk wypu cił Bethany i podszedł do Kane'a.

- Czy bym wyczuwał nut bole ci w twoim głosie? Czy wyniosły Kane Preston jest gotów błaga ?

Kane skin ł głow .

- Tak. B d błagał. B d czołgał si jak pies, je li oszcz dzisz jej ycie.

Oswald ryczał ze miechu.

- Lord Alsmeth, najbogatszy człowiek w Kornwalii, błaga? To zbyt pi kne. Czego jeszcze mog da ? Mo e zrzekniesz si swego tytułu?

- Zrzekn si . I wszystkiego, co si z nim wi e. Tylko oszcz d ycie Bethany.

- Przyznasz si do zamordowania ojca? Wrócisz do Fleet?

- Daj mi kawałek pergaminu, a napisz , co zechcesz. Przysi gam, ale przedtem musisz j uwolni .

- Jak mam to zrobi , tutaj, po rodku oceanu?

- Daj jej łódk . Bethany doskonale radzi sobie na wodzie. Dostanie si do domu.

- Chciałby tego, prawda, kuzynie? - Powoli podchodził bli ej, trzymaj c pistolet wycelowany w czoło Kane'a. -Oczywi cie gdybym ci posłuchał, ona wiadczyłaby

przeciwko mnie. - miał si coraz gło niej. - Przez chwil twoje oczy rozbłyły nadziej . Widziałem to. I przypomniał mi si wyraz oczu twego ojca, gdy powiedziałem, e daruj mu ycie, je li wyznaczyc mnie swoim spadkobierc . Odparł na to, e ty jeste jego synem pod ka dym wzgl dem, jaki ma znaczenie. Jeszcze ci wychwalał, kiedy oddałem strzał. Strzeliłbym jeszcze raz, ale usłyszałem kroki na schodach i przestraszyłem si , e zostan złapany na gor cym uczynku. A wi c zabrałem jego spink i wyrzuciłem pistolet. I udało mi si doprowadzi do tego, e oskarono ci o to morderstwo. Fatalnie, e w ko cu wypuszczono ci z wi zienia. Powiniene do ko ca ycia gni we Fleet. Ale to... - przytkn ł pistolet do skroni Kane'a - b dzie najlepsza zemsta ze wszystkiego.

Kane zamkn ł oczy, przygotowany na najgorsze.

Usłyszał wystrzał i czekał, a poczuje ból. Po jakim czasie otworzył oczy. Ujrzał zadziwiaj cy widok. Bethany, mimo zwi zanych stóp, rzuciła si na Oswalda i powaliła go na pokład. Pistolet wypadł mu z r ki. Obydwoje potoczyli si po pokładzie, usiłuj c go pochwyci . Oswald był pierwszy.

Nabił bro , po czym odwrócił si i wycelował w głow Bethany.

Kane pokonuj c własn niemoc, wstał i kopn ł kuzyna z całych sił. Oswald zatoczył si na nadburcie, ale kiedy si odwrócił, wci trzymał pistolet, a jego oczy płon ły w ciekło ci .

- Teraz zapłacisz za wszystko. Rozmy liłem si . Nie mam ochoty na t dzik kotk . Po egnaj si z ni . - Ponownie wycelował w Bethany.

- Nie! - Kane rzucił si naprzód i zasłonił j własnym ciałem, przyjmuj c wymierzony w ni strzał.

- Och, Kane!

Bethany przypadła do nieruchomego ciała swego ukochanego. Z rany broczyła krew, której nie mogła zatamowa . T czerwom smu k uchodziło ycie...

Obj ła Kane'a ramionami i zacz ła kołysa jak dziecko, błagaj c, by jej nie zostawiał.

Oswald patrzył na t scen bez wzruszenia. W ko cu podszedł bli ej i zaniósł si szale czym miechem.

- Zostaw go. Teraz, skoro min li my te zdradliwe płycizny, nadszedł czas na przyjemno ci. - Chwycił j brutalnie za rami i poci gn ł, a stan ła na nogi. - Idziemy pod pokład. Kiedy sko cz z tob , wyrzuc go za burt .

Zawłókl j po stromych schodkach do kapita skiej kajuty. Wiedziała, co zamierza z ni zrobi , ale nie czuła strachu. Wła ciwie nie czuła nic. Jej ukochany Kane odszedł. Po wi cił swoje ycie dla niej. Teraz nic nie miało znaczenia. I tak ju zostanie.

## ROZDZIAŁ SZESNASTY

Bethany le ła na koi w kajucie ojca, ze zwi zanyimi stopami i dło mi zaci ni tymi w pi ci. Kane był martwy. To wydawało si niemo liwe. Ale widziała jego ran . Widziała, jak yciodajna krew płynie i płynie, plami c deski pokładu pod jego nieruchomym ciałem. Z dziwn oboj tno ci patrzyła, jak Oswald kładzie pistolet na stół, a potem zrzuca z nóg wysokie buty. Nim ci gn ł koszul , wyszarpn ł zza pasa nó Kane'a i umie cił go obok pistoletu. Odpinaj c spodnie, odwrócił si i ruszył w kierunku koi.

- Spodziewam si , e jeste dziewic . Tym słodsza b dzie moja zemsta.

Oczy miała utkwione w nó Kane'a. Zamrugła i poczuła, e zasłona alu ust puje. Jej miejsce zaj ła zwierz ca, o lepiaj ca furia. Nie zamierzała le e tu i pozwala na to, by ten potwór j upodlił. Nie, póki tchu w piersiach.

- Ofiarowałam swoje dziewictwo twemu kuzynowi.
- Kane był twoim pierwszym kochankiem?
- Pierwszym i jedynym.
- Ju nie. - Si gn ł do stanika jej sukni.

Uniosła podbródek.

- Trudno ci b dzie mnie wzi , je li nie rozwi esz mi nóg.

- Trafna uwaga. - Z u miechem odwrócił si i si gn ł po nó . Jednym zr cznym ruchem przeci ł kr puj ce j wi zy.

Rzuciwszy nó na stół, zwrócił si na powrót ku niej i ujrzał, e tymczasem zsun ła si z koi. Stała na wprost niego, twarz w twarz.

- Rozumiem. Chcesz si ze mn bi ? Tym lepiej, to rozgrzeje mi krew.

Wyci gn ł r k i chwycił przód jej sukni. Zanim zdołał przyci gn j do siebie, wyrwała si , a w dłoni pozostał mu jedynie strz p materiału.

- Chyba powinienem ci ostrzec, kobieto.

Uderzył j , a poleciała na cian kajuty, a przed oczami zata czyły jej złote iskierki, które próbowała rozp dzi , potrz saj c głów .

- Zdarzyło mi si zabi kilka kobiet, które nie zadowolily mnie w ło u. - Podszedł niebezpiecznie blisko. - Skoro tak bardzo pragniesz mierci, z przyjemno ci zastosuj si do twego yczenia. - Znów si zamachn ł, ale tym razem zd yła si uchyli i jego pi natrafiła na cian . – Zapłacisz mi za to.

Powoli ruszył ku Bethany. Cofała si , a oparła si o ostr kraw d stołu. Spostrzegła, e zacisn ł dło i zdała sobie spraw , e od tego ciosu straci przytomno . Nie mogła nic na to poradzi , póki nie znajdzie jakiej broni. Na o lep nerwowo przesuwawa r kami po blacie stołu. W ko cu namacała zimm r koje pistoletu.

Serce waliło jej jak młotem, kiedy wzi ła Oswalda na cel.

- Cofnij się albo strzelam.

Znieruchomiał i popatrzył na nią, zaskoczony.

- Czy kiedykolwiek strzelała z pistoletu, moja słodka?

- Wiele razy.

Spodziewała się, że podniesie ręce do góry. Tymczasem on odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął miechem.

- W takim razie powinna wiedzieć, że pistolet strzela tylko wówczas, gdy jest nabity.

Spojrzała na swój dół i uświadomiła sobie, że popełniła straszny błąd. Przecież Oswald złożył proch, strzelając do Kane'a.

Zbliżył się z dółmi zacięniymi w pięci.

- Z wielką przyjemnością błąd ciębił po tej licznej twarzyczce tak długo, że nawet twoja własna rodzina nie będzie w stanie jej poznać, moja słodka. A kiedy będziesz mnie błagała, abym cięzabił, wezmę cię jak dzikię kotkę, którą jesteś.

Napięła się nie w oczekiwaniu ciosu. Wtem drzwi gwałtownie się otworzyły i w progu stanął Kane.

- Kane! - Nie mogła uwierzyć własnym oczom. - Ty żyjesz!

Oswald obrócił się wokół własnej osi. Na widok Kane'a trzymającego się kurczowo drzwi, jego twarz wykrzywiło złowliwie.

- Spójrz na siebie. Jesteś tak słaby, że ledwie trzymasz się na nogach. Przyszedłeś popatrzeć, prawda? Tylko do tego się nadajesz, kuzynie. Prosz do rodka. Zjawili się w sam porę. Nie dobij cię od razu. Najpierw zażyję przyjemności z twoją kobietą.

- A co zrobisz z nami?

- Z wami... ?

Dalsze słowa zamarły mu w gardle, kiedy Kane usunął się z progu, a zza jego pleców wynurzyli się Geoffrey i Newton ze



szpadami, Darcy z nosem błyskającym w dłoni, a wreszcie panna Mellon i pani Coffey, a każda trzymała pistolet.

- Chcę mieć go żywego - powiedział Kane ochryple.

Czwórka nowo przybyłych otoczyła Oswalda, trzymając broń w pogotowiu, a stary Newton wysunął się naprzód i sprawnie skierował mu ręce i nogi.

Kane osunął się na podłogę. Bethany krzyknęła i natychmiast znalazła się przy nim, biorąc go w objęcia. Po jej policzkach płynły łzy.

- Och, Kane, moja miłości. Wytrzymaj. Nie może teraz umrzeć. Proszę, Kane. Proszę, zostań ze mną.

- Nie trafił w serce. Ma pan szczęście, milordzie. - Panna Mellon skończyła opatrywać rany Kane'a.

Bethany nie odstępowała go, odmawiając opuszczenia kabiny choćby na chwilę.

- Dziękuję, Winnie. - Uniósł głowę. - Nie ma pani nic przeciwko temu, abym tak się do pani zwracał, panno Mellon?

- Proszę bardzo. Powiedziałabym, że teraz, skoro już widziałam pana w niekompletnym stroju, może pan mówić mi po imieniu, milordzie.

Uśmiechnął się szeroko, mimo bólu.

- W takim razie proszę mówić do mnie Kane.

- Obawiam się, że nie mogę tego zrobić. To nie byłoby właściwe. - Odwróciła się, nie spostrzegając jego uśmiechu. Skinęła na Bethany. - Teraz popatrzmy na twoje rany, młoda damo.

Bethany machnęła lekceważąco ręką.

- To nic takiego, Winnie.

- Nic takiego? Pozwól, że sama o tym zadecyduję. Chodź no tu!

Widząc, że Kane uśmiecha się od ucha do ucha, z wahaniem podeszła do stołu. W trakcie przemywania i dezynfekowania ran syczała z bólu.

- Robisz wielki szum z powodu paru drobnych skaleczeń - jego lordowska mość z powodu swoich obrażeń.

- To dlatego, że z nim obchodziła się delikatniej.

- Jego rany są poważniejsze.

- Powiedz mi, Winnie, w jaki sposób się tu dostaliście?

- Wstyd się przyznać, ale Newt ukradł łódkę z przystani. Obiecał zwrócić ją najszybciej, jak się da.

- Przypomnijcie mi, abym podziękował temu staremu złodziejowi. - Kane spuścił nogi na podłogę i siedział, czekając, aż minie zawrót głowy.

- Co ty wyczyniasz? - spytała Bethany.

- Idź na pokład.

- W takim razie ja idę z tobą. - Natychmiast znalazła się przy nim i otoczyła go ramieniem w pasie.

Kiedy wychodzili z kajuty, Winnie zawołała:

- Powiedzcie pani Coffey, że za parę minut przyjdę jej zmienić!

- Zmienić? - Kane i Bethany przystanęli, zaintrygowani.

Starsza pani uśmiechnęła się do nich z miną niewiniątka.

- Podjęła się pilnowania naszego wianka, abym spokojnie mogła się zająć opatrywaniem waszych ran.

Na schodkach Kane wyszczerzył się do niej uśmiechem.

- Ma pani bardzo interesującą rodzinę, panno Lambert.

- Tak, milordzie. Niemal tak interesującą, jak pańska.

- Tak więc ja i Newt wiosłowaliśmy po kolei. - Geoffrey stał przy sterze i umiejętnie manewrował statkiem między zdradliwymi mieliznami.

Uczepiony want Newton krzykiem dawał znać o czyhających niebezpieczeństwach.

- To niezwykle wyczyn, je li si we mie pod uwag , jak wysoka fala była dzisiejszej nocy.

- Nie tak niezwykle, jak pa ski, milordzie. Za młodu byłem niezłym pływakiem, ale w tpi , czy zdołałbym popłyn tak szybko i tak daleko, jak pan.

- Zdziwiał ce, czego jest w stanie dokona człowiek, gdy ycie kogo drogiego jest w niebezpiecze stwie. - Kane opierał si o nadburcie, a Bethany nie odst powała go na krok.

Patrzył na dwie starsze panie. Obydwie trzymały pistolety wymierzone w Oswalda, który został skr powany tak ilo ci sznurów, e wystarczyłoby na dziesi ciu ludzi.

- Chyba nie musz go pilnowa . Nie ma szans uwolnienia si z tych wszystkich wi zów.

- Prosz to zostawi , jak jest - mrukn ł Geoffrey. - Staruszki wietnie si bawi . Prawd mówi c, ja te . - Zerkn ł na wnuczk i u miechn ł si - Nie bawiłem si tak dobrze od czasu naszej ostatniej przygody, malutka.

- Bawiłem? - Kane przeniósł wzrok z Bethany na jej dziadka.

Obydwoje zamienili znacz ce u miechy.

- Tak. To taka rodzinna tradycja.

- Skoro ju mówimy o tradycji... - Kane odchr kn ł. - Bethany, czy nie miałaby nic przeciwko temu, eby zej pod pokład, podczas gdy ja porozmawiam z twoim dziadkiem?

- Nie. Wolałabym raczej zosta i posłucha . - Na twarzy dziadka dostrzegła grymas. - No dobrze. Ale nie rozumiem, dlaczego musz sobie i .

- Wy wiadczy mi t uprzejmo - powiedział starszy pan.

- Dobrze, ju dobrze - mrukn ła.

Ruszyła w kierunku schodków, ale zanim zeszła, odwróciła si . M czy ni ju pogr yli si w rozmowie. S dz c po minie Kane'a to, co mówił, musiało by bardzo powa ne. Nawet doniosłe.

Serce Bethany zabiło mocniej. Cały Kane! Najpierw musi poprosi jej dziadka o pozwolenie na zawarcie mał e stwa, a dopiero potem zwróci si z tym do niej - obowi zek i honor przede wszystkim!

Nie nale ała do cierpliwych kobiet, ale tym razem postanowiła trzyma j zyk za z bami. Poczeka, a Kane do niej przyjdzie. Wówczas powie mu wszystko, co le y jej na sercu.

Nie było jednak czasu na rozmow na osobno ci. Ich powrót na wybrze e wywołał nowe zamieszanie. Kiedy tylko dotarli mał łódk na pla , Newton umie cił wi nia z tyłu wozu, po czym wdrapał si na kozioł i wzi ł lejce.

Kane, cho z trudem, dosiadł swego ogiera.

- Pojad z tob , Newt. Wyśłannicy burmistrza Londynu zatrzymali si w gospodzie. Uciesz si na wie , e człowiek, którego szukali, został pojmany.

Bethany przytrzymała uzd ogiera.

- Nie jed , Kane. Jeste ranny i wyczerpany. Musisz odpocz .

Poło ył dło na jej dłoni.

- Musz to zrobi , Bethany. Nie rozumiesz?

- Oczywiście, rozumiem, e zale y ci, by oczy ci si z zarzutów. Ale... martwi si o ciebie.

- Nie martw si . - Złagodził te słowa u miechem. - Nic mi nie b dzie.

- Wrócisz dzi wieczorem do MaryCastle?

Pokr cił głow .

- To mo e potrwa . A ty potrzebujesz odpoczynku.

- Nie odpocz , dopóki nie wrócisz.

- Nie mów tak. Musisz zatroszczy si o siebie.

Obiecuj mi, e tak zrobisz. - Poniewa milczała, powtórzył gor czkowo: - Obiecuj mi, Bethany.

Skin ła głow .

- Dobrze. Obiecuj . Prosz , wracaj szybko.

Dop dził wóz i jechał obok, za Bethany patrzyła w lad za nimi, póki nie pochłon ła ich ciemno . Wówczas odwróciła si i skierowała do domu, dziwnie zaniepokojona.

Powiedziała sobie, e nie poło y si spa do powrotu Kane'a, ale po gor cej k pieli i koj cej fili ance herbaty zasn ła na szezlongu przy kominku. Kiedy si przebudziła, w domu panowała cisza. Wszyscy dawno udali si do łó ek.

Gdzie jest Kane?

Wstała i wygładziła spódnic , po czym podeszła do okna. witało. Rami bolało j tak samo, jak rana na szyi. Ale nic nie mogło równa si z jej niepokojem o Kane'a.

Gdy spytała dziadka, o czym rozmawiał z lordem, starszy pan mrukn ł, e jest zbyt zm czony i e porozmawiaj rano. Teraz zastanawiała si , czy nie zataił przed ni czego bolesnego.

Z dziedzica dobiegł j stukot ko skich kopyt i skrzypienie kół. Pospieszyła do drzwi. Stary Newton wła nie zsiadał z wozu. W szarym wietle poranka wygl dał na steranego yciem człowieka.

Bethany rozejrzała si .

- Gdzie jest Kane?

- Milord nie przyjedzie, malutka.

- Jak to... nie przyjedzie?

- Powiedział, e zapisanie jego zeznania przeciwko kuzynowi zajmie ludziom burmistrza wiele godzin. A potem - starszy m czyzna uciekł wzrokiem - dodał, e b dzie musiał sam si do czego przyzna .

- Przyzna si ?

Newton nic nie odpowiedział, wi c oparła dłonie na biodrach.

- Czy dziadek o tym wie, Newt?

Wbił wzrok w ziemi .

- My l , e wie, malutka.

Odwróciła się i wbiegła na schody. Zapukała do drzwi sypialni dziadka i natychmiast wdarła się do rodka.

- Dziadku!

Dotąd go trzymała i szturchała, a otworzył jedno oko.

- Która to godzina, dziecko?

- W sam raz dobra, żeby powiesz mi, o czym ty i Kane rozmawialiście na pokładzie „Nieustraszonego”.

Usiadł, pocierając dłonie białym zarostem na brodzie.

- Powiedział mi, że cię kocha, Bethany, i właśnie dlatego musi być bezwzględnie uczciwy, nawet gdyby miało to oznaczać powrót do Fleet.

- Do Fleet?

- To tam wysyłają złodziei i morderców. Wyznał mi, że od dawna wyruszał na gościeciniec w przebraniu Władcy Nocy.

- I ty mu uwierzyłyś?

Starszy pan chwycił ją za rękę.

- Kane Preston sprawia wrażenie uczciwego człowieka. Jeśli mówi, że tak było, to na pewno jest to prawda.

- Czy ty słyszysz, co mówisz, dziadku? Uważasz go jednocześnie nie za uczciwego człowieka i za złodzieja?

- Fakt, to nie ma wielkiego sensu. - Uśmiechnął się szeroko. - Wierzę, że powiedział mi prawdę. - Gdy ruszyła w kierunku drzwi, uniósł głowę. - Dokąd się wybierasz, dziecko?

- Do Lands End. Powstrzyma Kane'a przed popełnieniem straszliwego błędów.

Bethany jeszcze nigdy nie jechała tak szybko. Pochyliła się nisko nad karkiem Lacey, zmuszając niewielki klacz do maksymalnego wysiłku. Przed gospodarzem zatrzymała się, przywiłażała konia i wbiegła do rodka.

Marynarze jak zwykle siedzieli grupkami przy drewnianych stołach w wielkiej sali na dole. W rogu pomieszczenia dostrzegła kilku mężczyzn, którzy z ożywieniem rozprawiali o rozbójniku. Jeden z nich z dumą

demonstrował wie y opatrunek. Podzi kowała losowi za swoje szcz cie. Wła nie jego potrzebowała.

Ober ysta stał za barem, podaj c cynowe kufle z piwem. Kiedy weszła do sali, zapadła cisza.

- Szukam przedstawicieli burmistrza Londynu.

- S tam. - Ober ysta wskazał r k . - Maj spotkanie z lordem Alsmeehem.

- Dzi kuj .

Skoro tylko ruszyła we wskazanym kierunku, zawołał:

- Chwileczk , panienko! Nie mo e pani tam wej .

Zignorowała go i wkroczyła do izby. Po paru sekundach wła ciciel wszedł za ni . Twarz miał zarumienion z zakłopotania.

- Prosz mi wybaczy , milordzie. Próbowałem zatrzyma t młod kobiet , ale odmówiła...

- W porz dku. - Kane i trzej m czy ni o ponurych twarzach podnie li si z miejsc.

Bethany widziała tylko Kane'a. Krew zaczynała ju przez cza si przez ubranie. Oczy miał przekrwione i przem czone. Zaciskał szcz ki, a na jego twarzy malowała si determinacja, która przeję ła j l kiem.

Zwróciła si do trzech nieznanym.

- Przysłałam zło y doniesienie o przest pstwie.

- Doprawdy? - M czy ni popatrzyli po sobie, po czym przenie li wzrok na Bethany.

Jeden z nich, o stalowych oczach i z krzaczast brod , władczym tonem stwierdził:

- Zdaje si , e to odpowiednia noc na takie rzeczy. Jego lordowska mo zło ył zeznanie obci aj ce kuzyna. - Wskazał na zwi zanego Oswalda, le cego w rogu pomieszczenia. - Wła nie o wiadczył, e teraz sam chce si do czego przyzna .

Odetchn ła! Zd yła w sam por . Słowa, które znów doprowadziłyby go do Fleet, jeszcze nie padły.

- O co chodzi, panienko? O czym chciałyby panienka nam powiedzieć ?

My li goniły jedna drugą . Zaciśn ła dłonie, nie patrz c na Kane'a.

- Dzisiejszej nocy zostałam porwana. Uczynił to Władca Nocy.

M czy ni wyprostowali si .

- Ten niebezpieczny przest pca?

- O, tak. Bardzo niebezpieczny. Zranił mnie w rami . - Wyci gn ła r k , eby mogli zobaczyć wie y opatrunek. -I o mało nie poder n ł mi gardła. - Rozpi ła perłowe guziczki i pokazała im czerwone pr g na szyi.

Wszyscy trzej ze wistem wci gn li powietrze.

- Podobno w nocy ten potwór napadł i obrabował kilka innych osób - ci gn ła.

- Tak. O niczym innym si nie mówi. Jeden z napadniętych został postrzelony. Miał szczęście, e udało mu si prze y .

- Rozpoznali złodzieja?

Trzej m czy ni popatrzyli po sobie, a potem pokr cili głowami.

- A pani potrafiłaby go rozpoznać ?

- Tak. - Wskazała na Oswalda i cofn ła si gwałtownie, jakby z przerażenia. - Oto on. To ten człowiek, ubrany na czarno, dosiadający czarnego ogiera. Przeważał si Władca Nocy. Poznałabym tę twarz wszędzie.

- Bethany... - zaczął Kane, ale najwłaśniejszy z wysłanników burmistrza uniósł r k , by uciszyć jego protesty.

- Proszę, milordzie. To bardzo ważne. - Podeszedł do drzwi i wezwał własciciela gospody. - Przylij tu tych ludzi, którzy padli ofiarą rabunku.

Po paru minutach do pokoju weszli trzej m czy ni. Wysłannik burmistrza wskazał Oswalda.

- Czy to ten człowiek was obrabował i postrzelił?



Wszyscy trzej podeszli do Oswalda, przyglądając mu się uważnie. Po chwili zgodnie skinęli głowami i przekrzykując się nawzajem, wyrażali swoje oburzenie.

- Tak. To on. Poznałbym te oczy wszędzie.

- Okrutnik. I miał się takim wysokim, przenikliwym miechem, a dreszcz przebiegł mi po krzyżu.

- To niebezpieczny człowiek. Po prostu wziął mnie na cel i strzelił. Nie obchodziło go, a gdyby pozbawił mnie życia, moja żona zostałaby wdową, a dzieci sierotami.

- Jesteście pewni, a to właśnie nie ten człowiek?

Mówczy ni energicznie przytaknęli.

- Dziękuję wam. Spisz wasze nazwiska. Muszę umieścić je w raporcie dla burmistrza. - Najważniejszy z wysłanników zwrócił się do Oswalda, który przez cały ten czas nie odezwał się ani słowem. - W tym, czy posiedzisz długo we Fleet. Oskarżenie o morderstwo będzie ci najprawdopodobniej kosztowało głowę. - Odwrócił się do Kane'a. - Słucham, milordzie. Chciał pan, zdaje się, coś wyzna?

Kane spojrzał na Bethany, a potem powoli wstał. Zanim jednak powiedział choć słowo, musiał uchwycić się brzegu stołu, bo pomieszczenie zaczęło wirować mu przed oczami. Nie zdążył upaść, bo Bethany znalazła się przy nim i otoczyła go ramieniem w pasie.

Rzuciła niespokojne spojrzenie w kierunku oberżysty.

- Jego lordowska mość potrzebuje łóżka. I to szybko.

- Tak, panienko. - Oberżysta wskazywał drogę, a dwaj z ludzi burmistrza zaoferowali się z pomocą.

Kane'a zaprowadzono do małej izdebki i położyłono do łóżka.

Kiedy wszyscy wyszli, Bethany przysunęła krzesło do łóżka i patrzyła, jak tors Kane'a miarowo wznosi się i opada.

## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Kane miał koszmarne sny. Snuł si ę po male kiej celi tam i z powrotem. Ściany i podłoga były liskie od krwi i ludzkich ekskrementów. Wi niowie wrzeszczeli i przeklinali. Noc j czeli, szlochali i złorzeczyli na nieludzkie warunki w tej piekielnej dziurze, któr nazywano Fleet. Spróbował zaczerpn ąć powietrza, ale było to niemo liwe. Otaczaj ąc go zewsz ąd fetor prze erał mu dusz ę

Uniósł głow ę i przez male kie okienko wyci te wysoko w kamiennej ścianie dostrzegł wiatło. Ale nie potrafiłby powiedzieć - dzie to czy noc? Zreszt ę, jakie to miało znaczenie? Dni i noce były tylko nieko cz ę cym si ę pasmem tortur.

Zacisnął dłonie w pi ęści i krzykn ął ochryple. Ten krzyk go przebudził. Otworzył oczy. I ujrzał nad sob ę twarz anioła.

- Beth... - Gardło miał wysuszone, obliżał wargi i spróbował ponownie. - Bethany, gdzie jeste my?

- W gospodzie.

- Aha.

Rozejrzał si ę wokół, zdumiewaj ąc si ę na widok nieskazitelnie białej pościeli. Okno było otwarte, a rze kiej morskie powietrze z przystani wydymało kotary i napełniało izb ę wie o ci ę. Odetchn ął g ęł boko. Poczował na dłoni jaki delikatny dotyk. Powiódł wzrokiem w tamtym kierunku i zobaczył Storma. Pies le ał na łó żku i wtulał mokry nos w jego dło ę, domagaj ąc si ę pieszczoty. Pogłaskany, zamachał rado nie ogonem.

- Miałe złý sen? - zapytała Bethany.

Kane przytakn ął.

- Boli ci ę ?

Znów przytakn ął.

- Mam rodek przeciwbólowy, który powinien pomóc.
- Nalała wody z karafki, podeszła i pomogła mu się unieść .  
Wypił, po czym opadł bezwładnie na poduszki.
- Która godzina?
- Dochodzi południe.
- Południe? - Spuścił nogi z łóżka i czekał, aż izba przestanie wirować . - Muszę porozmawiać z wysłannikami burmistrza przed ich powrotem do Londynu.
- Chcesz się przyznać ?
- Tak . - Na widok jej zmarszczonego czoła wzięła ją za rękę . - Posłuchaj mnie, Bethany. Zależy mi, żebyś zrozumiała.
- Jak rozumiem, wierzysz w to, co powiedział Oswald. Nie zasługujesz na bogactwo i tytuł, bo nie jesteś naturalnym dzieckiem twoich rodziców. Chcesz się wszystkiego wyrzec tym zeznaniem.
- Oswald mówił prawdę . Jestem białym kartem. Kundlem . - Zerknęła na psa obok siebie i Bethany zrozumiała, że czuli ich wściekłość . - Lord Alsmeth i jego żona nie mogli mieć dzieci. Tak więc wzięli mnie z przytułku i otoczyli miłością i wszystkimi rzeczami, o których mogłbym tylko marzyć . Nie wiedziałem o tym, oczywiście. Byłem tylko dzieckiem. Ale kiedy ojciec wreszcie mi o wszystkim opowiedział, to wiele wyjaśniło. Ta dziewczyna dziko ci we mnie mówi, że nigdy nie będzie taki, jakim chciałaby mnie widzieć . Nie jestem inteligentem. Wyruszałem nocą w przebraniu przestępcy i pozbawiałem ludzi ich kosztowności.
- I zwróciłeś je w taki sposób, że nie tylko odzyskali to, co zostało im zabrane, ale również mieli okazję zobaczyć , jak żyją inni.
- Westchnęła .
- Tak czy inaczej, jestem złodziejem. Nie mam prawa do tytułu lorda.
- Nie masz żadnych talentów? Nie pragniesz być wolny?

- Tak, Bethany. Marz o tym, by y tak jak ty. Pływa po morzach. Je dzi konno, kiedy i gdzie mi si spodoba. Prze y swoje ycie bez udawania.

- I dlatego uwa asz, e nie jeste d entelmenem?

Skin ł gów .

- Tak.

- Och, Kane. Co mam zrobi , eby zrozumiał, jak bardzo si mylisz?

Uniósł dło do jej policzka.

- Nic nie mo esz zrobi , moja miło ci. Musisz przesta mnie powstrzymywa . - Przeszedł przez izb i zacz ł si ubiera . - Zamierzam powiedzie wszystko wysłannikom burmistrza. Je li b d nalega , ebym pojechał z nimi do Londynu, niech tak b dzie.

Kiedy si gn ł po kaftan, podeszła i dotkn ła dłoni jego ramienia.

- Wysłannicy burmistrza wyjechali przed dwoma dniami.

- Przed dwoma dniami? Powiedziała , e dochodzi południe.

- Tak. Ale nie pytałe , jaki to dzie .

- Tak długo spałem?

- Tak, najdro szy.

- A ty była przy mnie przez cały ten czas?

Skin ła gów .

- Huntley przywiózł ci czyste ubranie. No i oczywi cie Storma, który wył z t sknoty. Pani Dove przysłała rodki przeciwbólowe i troch bulionu, który od czasu do czasu wlewałam ci do ust. Zagl dała tu te moja rodzina i wszyscy maj nadziej , e ka da przespana godzina sprawi, e obudzisz si wypocz ty i zdrowszy.

Na moment spu cił gów . Przyja i miło tak wielu ludzi go przytłoczyła. Nie zasługiwał na tak lojalno . Podj ł decyzj . Wyprostował si , uj ł dłonie Bethany w swoje r ce i

popatrzył jej gł boko w oczy z nadzieją , e zdoła w ten sposób złagodzi cios.

- Musz jecha do Londynu.

- Nie, Kane.

- Cii, kochanie. Wiem, e chcesz dobrze. Je li mam kiedykolwiek zasługiwa na to uprzywilejowane ycie, które mi podarowano, musz zaryzykowa wszystko w imi prawdy. Tylko wówczas b d wolny. Rozumiesz mnie?

Łzy wypełniły jej oczy, a potem popłyn ły po policzkach.

- Nie jed , Kane, prosz . Boj si , e je li to zrobisz, ju nigdy ci nie ujrz .

- Powiedz mi, e rozumiesz, najdro sza. Musz to usłysze .

Wargi jej dr ały. W gardle czuła dławicy ucisk. Pokonuj c szloch, udało jej si wyszepta :

- Rozumiem. I kocham ci za to. Ale nie mog znie my li o tym, co ci teraz czeka.

- Cii. - Nie musiała mu o tym przypomina . Pami o Fleet wryła mu si gł boko w serce i dusz . Gdy przycisn ł wargi do jej ust, poczuł smak łez. - Zaopiekuj si Stormem. Pami taj o tym, e ci kocham, Bethany.

Doko czył ubierania, po czym wyszedł z izby i ruszył ku zatoce.

Bethany stała w oknie. wiadoma, e m czyzna, którego kocha, mo e sp dzi reszt ycia w wi zieniu, patrzyła, jak łód lorda Alsmetha stawia agle przed wypłyni ciem do Londynu.

Kane zakuty w ła cuchy został doprowadzony przed oblicze s dziego. Podbródek i policzki wi nia pokrywał ciemny zarost. Zmierzwione włosy opadały w nieładzie na kołnierz brudnej koszuli.

Sensacyjna prawda o Władcy Nocy poruszyła cały Londyn. Wie o nim dotarła do Kornwalii. Niemal wszyscy

mieszkańcy Lands End i okolic utrzymywali, a padli ofiarą dementa bandyty. A odkąd dowiedzieli się, że Władca Nocy był nie kto inny jak sam lord Alsmeth, ich opowieści stały się o wiele barwniejsze. Kobiety, zarówno stare, jak i młode, opowiadały, że przystojny rozbójnik zatrzymywał je noc i całował. Biedacy twierdzili, że przestępca wspierał ich jałmużną, a bogaci, że zwrócono im więcej złota, niż zabrano. Tak powstawały legendy i wszyscy chcieli mieć w tym swój udział.

Wielka sala była wypełniona po brzegi ludźmi, którzy chcieli na własne oczy zobaczyć utytułowanego bandytę -- dementa. Na ulicy przed sędzią, gdzie również zebrały się tłumy, panowała wić teczna atmosfera. Sprzedawcy handlowali ciastkami, a rysownicy oferowali naprzeciwko sporządzone portrety przystojnego złodzieja. Młode kobiety tłoczyły się wokół drzwi i okien wielkiej sali, licząc na to, że go ujrzą choćby przelotnie. Były i takie, którym serca trzepotały w piersi w arliwej nadziei, że on je również zauważy.

W centrum tego wszystkiego stał bohater dnia - ze spuszczone głowy i wzrokiem utkwionym w podłogę. Minione trzy tygodnie spędzone w celi dały mu przedsmak ponurej przyszłości - o wiele gorszej niż jego nocny koszmar.

- Kane Preston. - Surowy, wyraźny głos sędziego przebił się przez szum głosów, uciszając tłum.

Dozorca wić zienny ze złości szarpnął ją cucha i Kane uniósł głowę.

- Tak, Wysoki Sędzie.

Sędzia przyjrzał mu się bacznie ze swego krzesła na podwyższeniu.

- Zeznałeś, że jesteś rozbójnikiem, który nazwał się Władca Nocy. Czy to prawda?

- Tak, Wysoki Sędzie.

- Czy rozumiesz, że karą za tak zbrodni jest dożywotni pobyt w więzieniu Fleet?

- Rozumiem, Wysoki Sądzie.

- Masz coś na swoją obronę?

- Nie, Wysoki Sądzie.

Sędzia rozejrzał się po zatłoczonej sali.

- Jak rozumiem, wielu świadków chce zeznawać w sprawie zbrodni tego człowieka. Niechaj wystąpi.

Słychać było szuranie nóg i w tłumie rozległy się szepty, gdy bogaci, utytułowani dżentelmeni z Kornwalii wystąpili naprzód i zaczęli opowiadać o swoich przeżyciach z Władcą Nocą. Co do jednego przyznawali, że rozbójnik, odbierając im złoto i klejnoty, traktował ich w nadzwyczaj uprzejmy sposób. A kiedy zgłosili się po odbiór swoich kosztowności w przytułku w Mead, ze zdumieniem odkryli, że wszystko zostało im zwrócone co do joty.

- Chcecie przez to powiedzieć, że jeden z was nie został lepotraktowany przez tego człowieka? - Sędzia przeniósł wzrok na świadka.

- Tak, Wysoki Sądzie. Zawsze postępował jak dżentelmen.

- A co powie ten z was, który został postrzelony?

Wymieniony wystąpił naprzód.

- To nie ten człowiek mnie postrzelił, ale tamten drugi, ten, który udawał Władcę Nocą. Teraz wiem, że był to Oswald Preston, który zamierzał uciec z Anglii w obawie przed karą za popełnione zbrodnie.

Sędzia odprawił świadków, złożył ręce i potoczył wzrokiem po zebranych.

- Sędzu, jeszcze jakiś świadek, który chciałby zeznawać?

W tłumie powstało poruszenie, gdy wystąpili diakon Welland i Jenna Pike, a w ślad za nimi dziesięć małych dzieci.

- Oto diakon Welland z Lands End i panna Pike prowadząca przytułek w Mead. I dzieci, które są pod jej opieką.

Sdzia przyjrzał się badawczo całej gromadce.

- Proszę powiedzieć, z czym pani przyszła, panno Pike.

- Gdyby nie hojność lorda Alsmeetha, nie byłabym w stanie utrzymać dzieci, którymi się opiekuję. Od dawna daje nam jedzenie i ubrania, a tak jest hojny zasilek w złocie. Pod imieniem Władcy Nocy zostawił u nas skradzione przez siebie przedmioty wraz z listami osób, do których owe kosztowności należały.

- Dlaczego wybrała pani przytułek, panno Pike?

- Wtedy tego nie rozumiałam. Ale teraz wiem. Myślałem, że chciał, aby ci szlachetnie urodzeni zobaczyli, jak żyjemy. Liczył, że w ten sposób zachęci ich do udzielenia pomocy, kiedy znajdziemy się w nagłej potrzebie.

- Zgadza się pan z panną Jenn Pike, diakonie? Młody mężczyzna kiwnął głową.

- Tak, Wysoki Sdzie.

Sdzia przeniósł wzrok na dzieci.

- Czy które z was chciałoby coś powiedzieć?

Dzieci początkowo milczały, oszołomione tłumem. Stopniowo, jedno po drugim, zaczęły mówić o licznych dobrodziejstwach, wywiadcanych im przez lorda. Kiedy już wszystkie prócz Noaha zabrały głos, Sdzia spojrzął na niego, chcąc usłyszeć, co chłopiec ma do powiedzenia. Ale ten tylko zwiesił głowę, nie patrząc na Kane'a.

- Dziękuję wam, dzieci. - Sdzia powiódł wzrokiem po sali, jakby znużony. - Kto jeszcze chciałby zabrać głos?

Teraz z kolei wystąpiła Bethany z całą rodziną.

Kane płonął ze wstydu. Chciał odwrócić głowę. Cierpiał na myśl, że Bethany widzi go w takim stanie. Zarazem nie mógł oderwać od niej wzroku. Wyglądała tak wiecznie, tak pięknie, tak oszałamiająco. Dla mężczyzny, który żył w



całkowitych ciemno ciach, była jak promień światła. Tak bardzo pragnął jej dotknąć, że musiał zacisnąć dłoń w pięści.

- Co macie do powiedzenia? - spytał Sdzia.

Geoffrey Lambert odchrząknął.

- W ubiegłym roku mój syn i wnuk zginęli na polu bitwy, w służbie króla. Myślałem, że nie znajdzie się nikt, kto wypełni pustkę po nich w moim życiu. Kiedy lepiej poznałem tego szlachetnego człowieka, zacząłem myśleć o nim jak o własnym synu. - Podszedł do Kane'a i położył dłoń na jego ramieniu, po czym powrócił na swoje miejsce.

Teraz do siedzącego na podwyższeniu Sdziego podszedł stary Newton. Jego drewniana noga stuknęła głośno w cisy sali.

- Nie umiem pani mówić. Dlatego powiem tylko jedno. Lord jest szlachetnym człowiekiem. Gdybym miał wybrać kogoś, kto stanąłby ze mną ramię w ramię podczas walki, wybrałbym jego. Zawierzyłbym mu swój majątek i swoje życie.

Powoli powrócił na miejsce, zostawiając Bethany samą po rodku sali.

Dziewczyna uniosła głowę i spojrzała na mężczyznę, który miał zdecydować o losie Kane'a. Jej głos drżał z powodu emocji.

- Wysoki Sdzio, ten człowiek zaryzykował swoje własne życie, ratując moje. Zasłonił mnie własnym ciałem i przyjął strzał przeznaczony dla mnie, nie myślał o sobie.

- Kto wystrzelił?

- Jego kuzyn, Oswald Preston.

- Mężczyzna oskarżony o zamordowanie twojej pani ci lorda Alsmetha?

- Ten sam, Wysoki Sdzio.

Sdzia przez chwilę rozważał jej słowa.

- To istotnie szlachetny postępek. Weźm to pod uwagę, wyznaczajcie karę. Zastanawiam się, czy cokolwiek może zrekompensować fakt, że lord istotnie był złodziejem. -

Poniewa Bethany nie ruszyła si z miejsca, powiedział surowo: - Prosz zaj swoje miejsce, kiedy b d ogłaszał wyrok.

Bethany ani drgn ła. Zanim s dzia zd ył wyda polecenie jej usuni cia, do Kane'a doskoczył mały Noah i obj ł go w pasie.

- Niech pan nie posyła lorda do wi zienia, panie s dzio. On... on jest dla nas wszystkich jak ojciec. Dzi ki niemu ka de z nas czuje si wyj tkowe.

- Dzi kuj ci, chłopcze. Mo esz ju usi .

- To nie wszystko. - Oczy Noaha zrobiły si okr głe z przera enia, ale uparcie wyrzucał z siebie słowa, które płyn ły prosto z serca. - Nie znam swego ojca. Zawsze my łałem, e powinien by taki jak lord. Ka dej nocy modliłem si , eby zabrał mnie do swego domu i uczynił swoim synem.

W tłumie powstało poruszenie.

S dzia uciszył wszystkich, po czym pochylił si i spytał:

- Dlaczego, chłopcze?

- Bo... bo jest tak dobry i szlachetny, i uczciwy.

- On jest złodziejem, chłopcze.

- Tak, panie. Był kiedy inny złodziej, który został nazwany dobrym złodziejem. W dniu jego mierci jeden z tych, którzy umierali obok niego przyrzekł mu, e znajdzie si w raju. -Przej ty do gł bi Noah zaczą ł płaka . - Jak mo e pan uczyni mniej, ni tamten uczynił dla dobrego złodzieja?

Zebrani zaczę li szepta mi dzy sob , a s dzia popatrzył gro nie na chłopca.

- Diakon nakłonił ci , by to powiedział?

- Nie, panie. To historia, któr opowiedział mi lord Alsmeech, kiedy przyłapał mnie na kradzie y. Najpierw zmusił mnie do zwrócenia monety wła cicielowi. A potem, poniewa było mi wstyd, opowiedział mi histori o dobrym złodzieju.

- Czy od tamtej pory ukradł co , chłopcze?

- Nie, panie. Chciałem, eby lord był ze mnie dumny i eby mo e pewnego dnia uznał, e... jestem go wart.

Przez tłum przeszedł szmer podniecenia. Ludzie, słysz c to, przepychali si do przodu, eby z bliska zobaczy tego wyj tkowego chłopca i m czyzn .

S dzia krzykn ł do stra nika.

- Natychmiast usun to dziecko!

- Tak, Wysoki S dzie. - Stra nik oderwał Noaha od wi nia i przekazał go diakonowi Wellandowi, który musiał niemal ci gn szlochaj cego gło no chłopca.

- Je li nie ma nikogo innego... - zaczą ł s dzia.

Zanim sko czył zdanie, Bethany podeszła do Kane'a i stan ła u jego boku.

- Prosz , Wysoki S dzie. Chc to powiedzie . Kane Preston to najszlachetniejszy, najuczciwszy człowiek, jakiego znam. Sp dził wiele miesi cy we Fleet oskar ony o zamordowanie ojca. Oskar ony o morderstwo, które, jak teraz wiemy, zostało popełnione przez jego kuzyna, Oswalda Prestona. Oczerniono jego imi , do wiadczył tak wielu niegodziwo ci od swoich bli nich, a mimo wszystko pozostał dobry i hojny. Mógł zabra swój sekret do grobu i nikt by si o niczym nie dowiedział. Jednak ujawnił prawd , bo wyznaje warto ci wiadcze ce o prawdziwym człowiecze stwie. Błagam, niech pan go uwolni.

S dzia spojrział na ni gniewnie.

- Sko czyła pani, panno Lambert?

Niezdolna przemówi słowa wi cej, skin ła głow i przelkn ła łzy, które j dławily.

- Bardzo dobrze. Po pierwsze, Kanie Prestonie, powiem, e nie darowuj kradzie y w adnej postaci. Poniewa jednak wszystko zostało zwrócone prawowitym wła cicielom, to, co uczynił, trudno nazwa kradzie . Wła ciwie nie wiem, jak to nazwa . Ale wiem jedno. Nie mog skaza ci na wi zienie.

Na sali rozległ się taki szum, że się działo gniewnie postukał w stół, by uciszyć tłum.

- Chcę powiedzieć, że w ciągu tych wszystkich lat się dziłem wielu złodziei i morderców i jeszcze nie widziałem takiej manifestacji miłości i szacunku, jak dziś. Mam nadzieję, że się dzisiaj resztę życia na udowodnianiu, że na to zasłużyłem. - Zwrócił się do dozorczy. - Rozkujcie lorda Alsmeetha. Jest wolny i może odejść.

Bethany zasłoniła usta ręką, by powstrzymać krzyk. Z jej oczu płynęły łzy, ale nie dbała o to.

- Słowo ostrzeżenia, milordzie. - Sądziłem, że zmrużył oczy. - Proszę znaleźć jakieś uczciwe wyjście dla tej... energii, która skłoniła pana, by się pan zachowywał jak przestępca.

- Tak, Wysoki Sądzie.

- Mam nadzieję, że jest zgodny z prawem.

- Tak, Wysoki Sądzie.

Gdy tylko Kane'a uwolniono z łańcuchów, Bethany przytuliła się do niego, a pozostali pospieszyli ku nim z okrzykami radości.

Kane zeszywniał i odsunął się od siebie.

- Nie powinna mnie dotykać, Bethany. Jestem brudny. Mierdz wi ziemiem.

- Nie, Kane. Dla mnie pachniesz wolno ci.

- Wolno ci. - Zamknął oczy i wciął się w nozdrza zapach Bethany, wciął się przez wiadczone, że nie ma prawa jej dotykać. - Ciekawe, czy kiedykolwiek będzie wolny? - Popatrzył na stłoczonych wokół ludzi. - Nie zasługuj na was. Naładne z was. Ale dziękuję wam za wasze dobro.

- Za dobro? - Geoffrey Lambert pokręcił głową. - To, co tu widzisz, synu, to miłość i szacunek.

- Ale ja was wszystkich zawiodłem.

- Nie, synu. Powiedziały prawdy, nie bacz na konsekwencje. W moich oczach jesteś człowiekiem honoru.

Człowiekiem, którego chciałbym nazywa swoim przyjacielem.

Zebrani przytakn li, a Bethany ujmuj c jego r k , dodała:

- Człowiekiem, którego chciałabym nazywa swoim m em.

Uniósł jej podbródek palcem i popatrzył w oczy. W jego własnych zał nił pierwszy promyk nadziei.

- Czy by mi si o wiadczła, moja damo?

- Tak. Wiem, e to miało z mojej strony. Nigdy nie przestrzegałam konwenansów. Jeste skłonny przyj moje o wiadczyny?

Kane z trudem powstrzymał miech.

- My l , e przedtem powinienem poprosi twego dziadka o pozwolenie.

Geoffrey natychmiast pospieszył z odpowiedzi .

- Najwy szy czas. Pozwolenie zostało udzielone.

Wszyscy mieli si i wiwatowali, kiedy Kane wzi ł Bethany w obj cia i okr cił j dookoła, a potem pocałował.

- Kiedy lub? - spytała z ustami na jego wargach.

- Gdyby to ode mnie zale ało, poprosiłbym s dziego, eby zaj ł si tym zaraz.

- Och, nie. - Jenna Pike kr ciła głow . - Musi pan pozwoli Ianowi udzieli wam prawdziwego ko cielnego lubu. To b dzie jego pierwszy po wy wi ceniu na pastora.

Bethany spostrzegła stoj cego samotnie i patrz cego w milczeniu Noaha i skin ła na niego, by podszedł bli ej.

- I musimy postara si , eby Noah stał si naszym synem, Kane.

- Tak. - Kane spojrzł na chłopca, który patrzył na nich z nieskrywan nadziej . - Naprawd chciałby by moim synem, Noah?

- Nie artuje pan? - Oczy chłopca rozja niła taka rado , e wszystkich, którzy obserwowali t scen , ogarn ło wzruszenie.

- Tak, Noah. W dniu mego lubu wezm sobie równie syna.
- lub. Rodzina. No i uroczce przyj cie w Opactwie Penhollow - mówiła pani Coffey. - Musz naradzi si z pani Dove. Zaraz po powrocie do Kornwalii.
- Och, jakie to cudowne. A ja musz zacz szy suknie dla Ambrozji i Darcy. I ubranka dla wszystkich małych dziewczynek i chłopców, którzy b d stali z Noahem przy ołtarzu. - Panna Mellon poło yła dło na sercu.

Perspektywa zbli aj cej si uroczysto ci wprowadziła ca ł rodzin w stan euforii. Tymczasem Kane odci gn ł Bethany na bok i gor czkowo szeptał:

- Moja miło ci, dam ci wszystko, czego pragniesz. Najwi ksze wesele, o jakim sły szał wiat. Przyj cie w Mead, w Lands End i w Opactwie Penhollow, je li sobie za yczysz. Zaadoptujemy wszystkie sieroty w Kornwalii, je li zechcesz. Ale teraz prosz , zlituj si nade mn i wymy l co , eby my zostali sami.

Stoj cy w pobli u stary Newton szepn ł:

- „Nieustraszony” stoi zakotwiczony na Tamizie. St d do rzeki jest par kroków, a potem trzeba kawałek podpłyn . W sam raz, eby zmy z siebie smród wi ziennej celi, milordzie. - Widz c, e Kane i Bethany wpatruj si w niego, mrugn ł i dodał: - Prosz si nie martwi , milordzie. Nasza mała doskonale pływa.

Bethany u cisa ła starego marynarza, po czym chwyciła Kane'a za r k i zerkn ła na reszt rodziny.

- S tak zaj ci planowaniem naszego wesela, e nawet nie zauwa , kiedy znikniemy.
- Zaryzykujemy?
- Oczy Bethany za wieciły łobuzersko.
- Czy sły sza te , eby które z nas kiedykolwiek oparło si wyzwaniu?

Kane pociągnął ją ku drzwiom. Od progu zerknął za siebie. Na razie nikt nie spostrzegł ich ucieczki. Zbiegli ze schodów i wyszli na słoneczny, pełen obietnic wiat.

Kane przytulił Bethany i szybko pocałował.

- Moje serce przepętnia taki ogrom miłości, a boję się, i zaraz powie.

- To tak jak moje, najdroższy. Nareszcie jesteście wolni. Oboje jesteście wolni.

Rozejmiani podali w kierunku białych ałli trzepoczących na wietrze.

Podczas gdy rodzina i przyjaciele snuli marzenia o wspaniałym, wielkim przyjęciu weselnym, Kane i Bethany na pokładzie „Nieustraszonego” snuli własne marzenia.

## EPILOG

Stary kociół w Lands End szybko zapełniał się gośćmi. Wszyscy mieszkańcy wioski poczytali sobie za punkt honoru zjawić się na zabawach jednej z nich z najbogatszym człowiekiem w Kornwalii. Kolejne losy Kane'a dodały całemu wydarzeniu otoczki tajemniczością, toteż przybyło również wielu utytułowanych bogaczy z Londynu, których przywiodła tu ciekawość. Fakt, że Kane przyznał się do tego, i to on był Władcą Nocy, przysporzył mu tylko atrakcyjności. W końcu ciele znalazła się ta cała sztaba - zarówno z MaryCastle, jak i z Penhollow - uradowana i zaszczycona zaproszeniem.

Panna Jenna Pike siedziała na chórze, przytulając do piersi harfę. Jej słodki, anielski głos oczarował wszystkich słuchaczy. Jej dzieci, w swoich najlepszych niedzielnych ubraniach, wierzęły się w przedniej ławce. Zostały zaproszone na przyjęcie weselne i miały otaczać szczerliwie parę jako cherubiny.

Młodzi i starzy, bogaci i biedni, posługaczki i marynarze, wszyscy siedzieli rami przy ramieniu, szczelnie wypełniając wi tyni .

W małym pomieszczeniu na tyłach ko cioła Huntley pomagał swemu panu nakłada nowy czarny kaftan. U stóp Kane'a le ał pies, który nie odst pował lorda od jego powrotu z Londynu. Kiedy słu cy odwrócił si do wyj cia, Kane wyci gn ł r k .

- Zaczekaj, Huntley.

- Tak, milordzie? - M czyzna zatrzymał si . - Czy o czym zapomniałem?

- Nie... tak... mo e napiłbym si piwa.

- Naturalnie, milordzie. - Lokaj napełnił kufel.

- Mo e napiłby si ze mn , Huntley.

Lokaj odruchowo uniósł brwi, ale bez słowa napełnił drugi kufel. Obaj m czy ni s czyli piwo w milczeniu.

- Ja... - Kane przełkn ł lin - chciałbym, eby wiedział, jak bardzo doceniam to, co dla mnie robię przez te wszystkie lata, Huntley.

- Słu y panu to zaszczyt, milordzie.

- Jako dziecko sprawiałem ci mnóstwo kłopotów. Na pewno nieraz miałe ochot złoć mi skór .

Lokaj, nie okazuj c po sobie adnych uczu , upił kolejny łyk.

- I przepraszam za moje podłe zachowanie po powrocie z Fleet.

- To całkiem zrozumiałe, milordzie. Był pan pogr ony w bólu i rozpacz. Słyszałem, e to przera aj ce miejsce.

- To prawda. Ale to nie tłumaczy tego, jak traktowałem ciebie i reszt słu by. Tylko e... było mi wstyd. Kiedy dowiedziałem si od swego ojca, e tak naprawd nie jestem jego synem... - Wzruszył ramionami, bojąc si powiedzie wi cej.



Huntley ostro nie odstawił kufel na srebrną tacę, po czym odwrócił się twarzą do Kane'a.

- Ja od początku o tym wiedziałem, milordzie.
- Znałeś ... okoliczności moich narodzin?

Stary człowiek skinął głową.

- Wszyscy w Opactwie Penhollow bołeli nad tym, że pańska droga matka nie może poczęć dziecka. Tego dnia, w którym pańscy rodzice przynieśli pana do domu, radowali się, że wreszcie są prawdziwą rodziną. Nikt nigdy nie kwestionował pańskiego pochodzenia. W pewien sposób, milordzie, wszyscy stali się rodziną. Wniósł pan w życie swoich rodziców wiele radości. I niech mi będzie wolno powiedzieć, wyrosł pan na mężczyznę, z którego byliby dumni.

- Dziękuję ci, Huntley. - Głęboko wzruszony Kane zrobił coś, co wszyscy wysoko urodzeni lordowie uznaliby za absolutnie nie do przyjęcia. Wyciągnął krzesło. Po chwili wahania lokaj uchylił je, po czym cofnął się o krok.

- Potrzebuje pan czegoś jeszcze, milordzie?
- Nie, Huntley.

Kane podszedł do okna i popatrzył na cichy ogród otaczający stary kościół. Czy to tylko jego wyobrażenia, czy słowo wieściło ją niejako zwykle? Czy kwiaty nie pachniały mocniej? Nawet powietrze wydawało się bardziej przejrzyste. To jest niezwykle dzieło. Zaprawdę natychmiast zobaczy swój przysiółek.

- Och. Tylko spójrz na siebie. - Ambrozja, smagła jak cyganka po miesiącu spędzonym na morzu, długo poprawiała welon siostry. Skończywszy, przyjrzała się jej odbiciu w lustrze. - Zmieniła się w ciągu tego miesiąca.

- Jak?

Ambrozja pokręciła głową.

- Po prostu wyglądasz... jak kobieta, a przecie gnałam się z młodszą siostrzyczką.

- Ona jest kobiet . - Darcy skończyła przyszywać ostatni guzik do lubnej sukni ich matki, która leżała na Bethany tak, jakby była szyta z myślą o niej. Delikatna koronka robiła wrażenie utkanej przez anioły. - W każdym razie w oczach Kane'a Prestona.

- Riordan zna Kane'a. Uważa go za delfinenta i przyjaciela.

- Tak się cieszy . - Bethany ucałowała obie siostry. - Chcę, żebyśmy zawsze były sobie bliskie. A to o wiele łatwiejsze, kiedy nasimi są ludzie, których znamy i lubimy .

- Skoro mówimy o mamach... - Ambrozja zwróciła się do najmłodszej z siostr - kiedy przybija statek Graya?

- Spodziewam się go na dniach. - Na policzkach Darcy pojawiły się dołeczki. - Nie mogła się doczekać . To już ponad rok.

- A ona nawet nie spojrzała na innego mężczyznę - powiedziała Bethany ze smutkiem.

- A po co? Moje serce należy do Graya, odkąd sięgam pamięcią .

- I tak już zostanie. - Ambrozja uniosła głowę . W drzwiach stanął w końcu dziadek z panną Mellon u boku. - Przyszli cię po ostatni paniński pocałunek Bethany?

- Tak. - Geoffrey Lambert przyjrzał się swojej wnuczce i zalała go fala wzruszenia.

- Jesteś piękna, Bethany.

- Dziękuję ci, dziadku. A ty jesteś najbardziej przystojnym mężczyzną w kościele, naturalnie prócz Kane'a. - Przytuliła policzek do jego policzka. - Tak się cieszy , że to ty poprowadzisz mnie do ołtarza.

- Ani w połowie tak jak ja się cieszy , moje dziecko.

Zwróciła się do starej niani.

- Czy wszystkie kwiaty są na miejscu, Winnie?

- Tak. Na ołtarzu jest więcej polnych kwiatów niż na ławkach otaczających Lands End.

- A Winnie dopilnowała, eby uło ono je jak nale y -  
obwie cił z dum Geoffrey.

Siostry wymieniły u miechy. Nie dałoby si ukry faktu,  
e tych dwoje staruszków ł czy co wi cej ni zwykła  
przyja .

- Och, mój Bo e. - Pani Coffey stan ła w drzwiach i  
otarła łzy z oczu. - Wygl dasz jak zjawisko, Bethany.

- Dzi ki pani, pani Coffey. Nie wiem, jak udało si  
pani przechowa lubn sukni mamy w tak doskonałym  
stanie.

- Tu nie chodzi o sukni . To ty, Bethany. - Stara  
gospodyni podeszła bli ej i ucałowała jej policzek. - Po prostu  
promieniejesz.

- Powiedziałam dokładnie to samo, pani Coffey. -  
Ambrozja wzi ła siostr pod rami . - Wróciłam z miesi ca  
miodowego i odkryłam, e moja mała siostrzyczka  
przedzierzgn ła si w pi kn kobiet .

Geoffrey widz c, e wszystkie panie s bliskie łez, zabrał  
głos.

- My ł , e czas wyj i powita naszych go ci.  
Bethany potrzebuje kilku chwil dla siebie.

Po ich wyj ciu na progu stan ł stary Newton.

- Wspaniale wygl dasz, dziecko.

- Newt! - Podbiegła do niego i wzi ła go za r k . - To  
samo mog powiedzie o tobie. Domy lam si , e to sprawka  
pani Coffey.

Zarumienił si .

- Tak. Nawet przyszła do mego pokoju sprawdzi , jak  
wygl dam, ebym, co nie daj Bo e, nie przyniósł wstydu  
rodzinie.

- Nie móglby tego zrobi , Newt. - Bethany ucałowała  
jego pomarszczony policzek. - Jeste my rodzin , a członkowie  
rodziny nie mog si siebie wstydzi .

Dotkn ł palcem policzka i u miechn ł si .

- Tak. Ty i twoje siostry zawsze były cie mi tak bliskie jak własne dzieci. A teraz trac ci na rzecz innego. Ale jego lordowska mo to wspaniały człowiek, malutka. B dzie dla ciebie dobry.

- Wiem, e tak. A ja b d dobra dla niego, Newt.

- Tak. Na pewno tak b dzie. - Uniósł jej dło do ust. - ycz ci wiele szcz cia, Bethany.

- Dzi kuj ci, Newt.

Ledwie wyszedł, wej cie zasłonił kolejny cie . Przez kilka chwil Kane stał w progu, pochłaniaj c Bethany wzrokiem.

Na jego widok poczuła ukłucie w sercu.,

- Kane.

Zanim zd yła zrobi krok, pospiesznie przemierzył pokój i uj ł j za r ce.

- Pozwól mi na siebie popatrze .

Zarumieniła si pod jego zachwyconym wzrokiem.

- Bethany, jeste taka czaruj ca. - Przyci gn ł j do siebie i przycisn ł wargi do jej skroni. - Nie znajduj słów, eby powiedzie ci, jak si teraz czuj .

- Tak jakby miał wła nie skoczy ze skały?

Skin ł głow .

- Tak. Tyle e zamiast spa , wiem, e pofrun .

- Tak. Wła nie tak. - Roze miała si z zachwytem. - Jeste jedynym m czyzn , który wie, co czuj .

- A ty jeste jedyn kobiet , która dokładnie wie, co ja czuj .

Kiedy do ich uszu dobiegły pierwsze tony harfy, Bethany podeszła do małego stolika i wzi ła swój bukiet. Na ten widok Kane szybko wyszedł na zewn trz, po czym powrócił z Noahem, który niósł nar cze wspaniałych białych ró . Obok niego biegł Storm, z biał kokard przewi zan wokół karku.

- Omal nie zapomniałem. Noah i ja zerwali my je dzi rano, w ró anym ogrodzie mej matki. Byliby my zaszczytzeni, gdyby zechciała je przyj .

- Och, Kane, Noah. Moi dwaj najdro si m czy ni. -  
Ukryła twarz w kwiatach i poczuła, jak jej oczy napełniają si łzami. - S takie pi kne.

- Ani w połowie tak pi kne jak kobieta, która wkrótce zostanie moj on .

- on . - Przełkn ła łzy i u miechn ła si . - Podoba mi si brzmienie tego słowa.

- To dobrze. Bo chc , eby ni była przynajmniej przez sto lat.

- Czy mam mówi do ciebie Bethany? - spytał Noah. - A mo e mógłbym nazywa ci mam ?

- Mo esz mówi do mnie tak, jak dyktuje ci serce. - Bethany ucałowała chłopca w policzek.

- W takim razie b d do was mówił mam i tato - powiedział rozpromieniony, wychodz c z pokoju. Storm pod ył za nim.

Wzruszeni, patrzyli na siebie w milczeniu. W ko cu Kane ruszył ku drzwiom, ale wrócił, by wycisn pocałunek na ustach Bethany.

- Pospiesz si , najdro sza. Nie mog si doczeka , kiedy zaczniemy wspólne ycie.

- Tak samo, jak ja.

Patrzyła, jak Kane i Noah id główn naw w kierunku ołtarza i staj przed obliczami dopiero co wy wi conego pastora Iana Wellanda i starego pastora Thatcher Goodwina, który z uporem dowodził, e dopuszczenie psa do uczestnictwa w ceremonii za lubin byłoby wysoce niewła ciwe. Ale Bethany nie omieszkała zauwa y , e rodzina Lambertów rzadko przejmowała si tym, co jest wła ciwe, a co nie.

Przy wej ciu do ko cioła Bethany zatrzymała si i wzi ła dziadka pod rami .

- Gotów, dziadku?

- Tak, dziecko. A s dz c po błysku w twoich oczach, nie popełni omyłki, je li powiem, e ty te jeste gotowa, Bethany.

- Jestem, dziadku.

Gotowa na ycie z ukochanym m czyzn . Gotowa zało y rodzin , bo ju kochała Noaha jak syna. Gotowa delectowa si ka d przygod . A miała wra enie, e ta, która wła nie si zaczyna, b dzie najwi ksz przygod jej ycia.

- Och, dziadku - szepn ła, sun c naw - spójrz na mnie. Nareszcie frun .